10067166

BOLESŁAW CHWAŚCIŃSKI
i JUSTYN WOJSZNIS

WŚRÓD GÓR MAROKKA

WSPOMNIENIA Z WYPRAWY WYSOKOGÓRSKIEJ

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO KSIĄŻEK SZKOLNYCH
WARSZAWA—LWÓW 1935

Centrala Biblioteki Ruchomych
Wydziału Powiatowego
w Chełmie
Nr. inw. 21221

Powiatowa Biblioteka Pedagogiczna w Chełmie
91

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
Chełmie
8504./c

Z DRUKARNI I LITOGRAFJI PILLER-NEUMANNA WE LWOWIE

WYPRAWA W ATLAS.

Opanowywanie ziemi przez człowieka dobiega już końca. Po okresie poznawania w starożytności nowych obszarów lądowych, po epoce wielkich odkrywczych wypraw morskich średniowiecza i czasów nowożytnych, po okresie wreszcie niezupełnie jeszcze skończonym wypraw polarnych, następuje okres ostatni. To zwiedzanie niezbadanych obszarów górskich.

Góry oparły się najdłużej zaborczości ludzkiej. Za największemi bowiem odkryciami stały zawsze pobudki ekonomiczne. Góry skaliste, nagie lub pokryte lodowcami i trudno dostępne, nie przedstawiały zbyt wielkiego interesu. Dopiero sportowy alpinizm, po doszczętnem wyeksploatowaniu gór europejskich, wyruszył na nowe zdobycze w góry egzotyczne.

Mimo rozwoju środków komunikacyjnych, mimo skrępowania kuli ziemskiej stalowemi obręczami kolei żelaznych, na ziemi jest jeszcze dzisiaj wiele miejsc, gdzie noga ludzka dotychczas nie stanęła. Zdobycie każdego takiego miejsca przez człowieka, to nowy krok naprzód w ogólnym pochodzie cywilizacji i nauki.

W powszechnym wyścigu narodów w tej dziedzinie, choć nie byliśmy ostatni, nigdy jednak, dotychczas przynajmniej, nie należeliśmy do przodujących.

W Polsce, kraju rozległych równin, taternictwo, czy używając terminu o znaczeniu szerszem, alpinizm, jest

bardzo mało znany. Trudności komunikacyjne, spowodowane granicami trzech zaborów, które tyle lat dzieliły nasz kraj na trzy części, następnie długotrwała zawierucha wojenna, wszystko to mało sprzyjało spopularyzowaniu Tatr, chociażby pod względem turystycznym.

A jednak mimo tych wszystkich trudności taternictwo polskie rozwijało się wciąż, przechodząc od słynnych czasów dr. Chałubińskiego, analogicznie do alpinizmu zachodnio-europejskiego, znaczną ewolucję.

Mianowicie nie wystarcza obecnie turyście samo bierne zachwycanie się i upajanie krajobrazem górskim. Chce on teraz wyładować w górach swój instynkt zdobywczy, który drzemie przytłumiony cywilizacją i mechanizacją życia współczesnego w każdym człowieku.

Dlatego też taternictwo od łatwych szczytów i przełęczy zwróciło się ku urwistym i niedostępnym graniom i ścianom. W ciągu dwudziestu kilku lat taternictwo polskie, podnosząc stale swój poziom, pokonało całkowicie wszystkie urwiska tatrzańskie. Osiągnięty poziom nie okazał się gorszy od zachodnio-europejskiego, jak tego dowiodły wyprawy alpejskie.

Postanowiono więc wzorem alpinistów zachodnio-europejskich ruszyć dalej, w nieznane góry egzotyczne. Tu oprócz świetnej propagandy imienia polskiego dochodzą także momenty naukowe. Bowiem każde wejście szczytowe w nieznanym pod względem geograficznym terenie jest już czynem naukowym. Wynikiem takiego wyjścia jest skorygowanie lub wprost nakreślenie nowej mapy, sprawdzenie lub ustalenie wysokości szczytu i t. p.

Pierwszą taką wyprawą była wyprawa w Andy, góry Ameryki Południowej w roku 1933. W następnym roku wyruszają wyprawy na Spitsbergen i w Atlas. Wyszliśmy swą działalnością i na tym odcinku życia poza Polskę, wspólnie z innemi wielkiemi narodami zachodu posuwając alpinizm naprzód.

Wyprawę w Atlas zorganizowali członkowie Klubu Wysokogórskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Kierownikiem został dr. Jan Kazimierz Dorawski alpinista pełen doświadczenia zdobytego na skałach Tatr, Alp i And. W skład ekspedycji weszli taternicy z całej Polski, mający za sobą szereg poważniejszych przejść tatrzańskich i alpejskich. Byli to: Bolesław Chwaściński, inż. Jerzy Golcz, dr. Ludwik Gorski, mgr. Stanisław Groński, inż. Jan Kiełpiński, mgr. Zbigniew Korosadowicz, Jan Alfred Szczepański i Justyn Wojsznis. Wyprawie również towarzyszył przez pierwsze dni jej pobytu w Atlasie prezes Klubu, dr. Kazimierz Piotrowski.

Góry Północnej Afryki, objęte zbiorową nazwą Atlasu, tworzą dość skomplikowany system masywów górskich. Wśród nich na pierwszy plan wysuwa się olbrzymie pasmo Atlasu Wysokiego, liczącego około 650 km długości.

Terenem działania wyprawy polskiej było właśnie to pasmo. Na jego obszarze wyszukano trzy ciekawe cele.

W masywie centralnym Marrakeszu, najwyższej grupie Afryki Północnej, można było wystąpić w charakterze alpinistyczno-sportowym i przez zdobycie największych urwisk i zbadanie wszystkich zakamarków zakończyć epokę poznawania tej grupy.

Masyw wschodni Wysokiego Atlasu pociągał czem innem. Niezbadana dotąd grupa Ait Mgun, dokąd mieliśmy się udać, zajęta przez Francuzów dopiero w roku 1931 i położona po dziś dzień w strefie niebezpiecznej, przyciągała przedewszystkiem białemi plamami na mapach.

Wreszcie masyw zachodni aczkolwiek bardziej od Ait Mgunu znany, nęcił trudnościami skalnemi i krył w swem wnętrzu niejedną jeszcze tajemnicę.

Z pośród licznych pasm górskich Afryki północnej jedynie masyw centralny wysokiego Atlasu posiada cha-

rakter wysokogórski [1]). Szczyty są tu postrzępione i mają naogół charakter Tatr Wysokich.

Grupa Ait Mgun kształtami przypomina raczej Tatry Zachodnie. Szczyty opadają tu naogół piarżystemi, łatwemi stokami, choć gdzie niegdzie widać wystrzelające wgórę skaliste iglice.

Lodowców Atlas nie posiada. Natomiast w głębokich wąwozach i żlebach przez cały rok utrzymuje się śnieg.

---

[1]) Dołem zbudowany on jest ze skał krystalicznych (diorytu), górą z law wulkanicznych przypominających andezyt.

DROGA DO AFRYKI.

Po kilku miesiącach przygotowań, po gorączkowej wprost bieganinie po urzędach i konsulatach, nareszcie ruszamy. Czwartego czerwca wyjeżdża nas dwóch z Warszawy do Krakowa, gdzie jest punkt zborny większości uczestników wyprawy. Stąd nazajutrz do Wiednia. Cały nasz bagaż w imponującej ilości dwudziestu jeden walizek wieziemy z sobą. Trochę nas przeraża myśl kilkakrotnego przesiadania się podczas jazdy przez pół prawie Europy z tak ogromną ilością pakunków. Z pomocą przychodzą jednak nasze władze kolejowe, dając nam przedział w wagonie Kraków—Wiedeń.

W Wiedniu krótki postój jednodniowy. Uzupełniamy ekwipunek i zwiedzamy miasto. Władze kolejowe i w Wiedniu odnoszą się do nas z całą życzliwością, znów dostajemy specjalny przedział, tym razem aż do Nicei. Jedziemy przez Semmering, Wenecję, Genuę.

W Ventimigli na granicy włosko-francuskiej, znanej z utrudnień celnych, cały pociąg zostaje opróżniony z podróżnych, którzy muszą udać się do specjalnego budynku, gdzie są rewidowani. My pokazujemy tylko urzędnikowi nasze pismo polecające od konsula francuskiego z Warszawy i nietylko że zostajemy jako jedyni w pociągu, lecz jeszcze zamiast otwierania walizek celnicy z miłym uśmiechem życzą nam powodzenia w Atlasie. Wkrótce jesteśmy już w Marsylji.

Zmęczeni jedziemy do niedrogiego hotelu w dzielnicy portowej. Za sąsiadów mamy z jednej strony grupę Ma-

lajów, z drugiej Japończyków. Wychodzimy na ulicę. Koło portu liczne postaci Murzynów, Indusów, Arabów i Chińczyków. Część z nich w swych barwnych narodowych strojach. Egzotyzm zaczyna do nas naprawdę się zbliżać.

W dwa dni później, stojąc u burty, 11.000 tonn liczącego, parowca „Djenné" żegnamy Europę. Jeszcze kilka przeraźliwych gwizdów syreny, jeszcze tylko zdjęcie pomostu i statek szarpnięty przez holowniki ruszył, żegnany trzepocącemi chusteczkami pozostałych na molo. Żebrzący muzykanci, dość licznie zbierający się w porcie przy podobnych uroczystościach, fałszując niemiłosiernie, grali marsyljankę. Miedziaki leciały zgóry, aż odległość statku od kamiennego mola stała się zbyt wielka.

Wolno lawirując między stojącemi w porcie olbrzymami oceanicznemi, „Djenné" wydostawała się na szersze wody. Holowniki, odwiązawszy się od lin, łączących je ze statkiem, zawróciły, a „Djenné" ruszyła już szybko na pełne morze.

Statek „Djenné", co znaczy po arabsku duch, kursuje stale między Marokkiem a Francją, na linji Marsylja—Casablanca. Jadą na nim prawie sami urzędnicy z Marokka lub ludzie tam pracujący. Jako jedyni cudzoziemcy budzimy z początku sensację. Biorą nas za drużynę footbalową, lecz wszyscy dziwią się, dlaczego jedzie nas dziewięciu, a nie jedenastu. Gdy wreszcie dowiadują się, że jesteśmy alpinistami i to z Polski, stajemy się na statku bardzo popularni. Jakiś jegomość z rozczuleniem chce nam służyć swoją pomocą w Atlasie, który podobno zna świetnie, gdyż... odbył wycieczkę autobusem z Casablanki do Agadiru. Jest temi górami zachwycony. Tu hotel, tam hotel, wszędzie po drodze restauracje. Najgorsze tylko te sto kilometrów, właśnie przypadające na Atlas Nie może się nadziwić, że jedziemy w inną część Atlasu, gdzie nietylko hoteli, lecz nawet map niema. Poco?

Tylko dostojna grupa szeików, wracająca z pielgrzymki z Mekki, nie zdradzała najmniejszego zainteresowania jasnowłosymi cudzoziemcami. Siedząc na leżakach z podkurczonemi pod siebie nogami, studjowali przez cały dzień jakieś mądre książki arabskie. Gdy wieczór się zbliżał, na rozłożonych na deskach pokładu zielonych dywanikach bili pokłony swemu Bogu i jego prorokowi.

Minęły czasy, gdy najpobożniejsi wyruszali na pielgrzymki, by po długich trudach i wielu niebezpieczeństwach dotrzeć do celu. Dziś za odpowiednią sumę pieniędzy każde towarzystwo podróży zawiezie tam sleepingiem, czy też luksusowym statkiem.

Brodaci szeicy otrzymują tytuł haż. Należy im się to za pielgrzymkę. Nawet ich synowie, którzy pozostali w Marokko, już na całe życie będą hażi.

Spokojna, a nawet monotonna podróż morzem rozleniwia. Błękitne bez najmniejszej chmurki niebo, tegoż koloru gładkie jak powierzchnia stawu morze, coraz bardziej wzrastający upał, wszystko to sprawiało, że pół dnia spędzało się — leżąc na leżakach na pokładzie. Znużony wzrok napróżno wypatrywał na morzu punktu, na którym mógłby się zatrzymać. Wszędzie tylko błękit, przecięty linją horyzontu.

Przyplątało się któregoś dnia do statku kilka delfinów. Olbrzymie stworzenia bawiły się beztrosko z niezwykłą lekkością wyskakując na parę metrów z wody. Goniły się, przewracały, to chowały wgłąb morza, aby po chwili ukazać się z drugiej strony statku. Niespodziewanie rzucały się naprzód w kierunku, w którym statek płynął, a przegoniwszy go, z dumą się odwracały, z wyższością patrząc na wielki, lecz jakże wobec nich niezdarny stwór.

Wisząca na pokładzie mapa naszej trasy, na której co kilka godzin oficerowie znaczyli przebytą już drogę, zwiastowała bliskie już ukazanie się brzegów Afryki.

Nad ranem jeszcze przed brzaskiem wychodzimy na pokład, aby obejrzeć Gibraltar, no i oczywiście Afrykę.

Ciemności nie pozwalały dojrzeć fortyfikacyj angielskich na skałach gibraltarskich. Uwierzyliśmy innym podróżnym na słowo, że je widać, podziwiając naród, który nie zamieszkując ziem położonych nad tem morzem, jest tu jednak jednym z gospodarzy i nawet zamknąwszy oba jego wyloty, potrafi zawsze narzucić swą wolę narodom, które to morze od tysiącleci obsiadły.

Maleńkie światełka woddali migocące z drugiej strony statku wskazywały Afrykę. Światełka jak światełka. Poszliśmy dalej spać.

Tanger. Na zboczu, wśród drzew srebrno białe domy, położone tarasowato jedne nad drugiemi.

Nie zdążyliśmy się jednak przyjrzeć temu naprawdę ładnemu miastu, gdy na statku wybuchło zamieszanie. Tłum brodatych patrjarchów arabskich, popychając i przewracając się, wtargnął na statek i dopadł naszych pielgrzymów, wydzierając ich sobie z rąk. Zaczęło się obcałowywanie i ściskanie. Dopiero gwizd syreny, oznajmiającej koniec postoju, pozwolił zmiętoszonym szeikom wyrwać się z rąk pobożnego tłumu. Widok był wspaniały, lecz chociaż pełen egzotyzmu dla ludzi zachodu, nam, którzyśmy widzieli powroty pielgrzymek z Góry Kalwarji, nie wydał się dziwny. Albowiem i wśród Mahometan panuje przekonanie, że ten, kto pierwszy się dotknie powracającego ze świętego miejsca, zostaje otoczony specjalnemi łaskami.

Z całego więc Marokka, często nawet własnemi autami, ciągnęli pobożni do Tangeru, aby wyprzedzić innych, którzy czekają na pielgrzymkę w Casablance.

Atlantyk za Tangerem był spokojny. Jednak długa, choć zupełnie płaska fala, dała się wkrótce we znaki. Sala jadalna przerzedziła się, a ekipa nasza, choć obiad cały dzielnie przetrwała, później gdzieś się rozproszyła. Część poginęła w kajutach. Co robili niewiadomo, po

dobno spali, bo drzwi od kabin były pozamykane, a ze środka nikt nie odpowiadał. Reszta, tłukła się po statku, beznadziejnie wyszukując punktu, w którymby najmniej kołysało. Wędrówki te poprzez wszystkie pomosty i pokłady, klasy i sale, kończyły się przeważnie w barze. Tu przy apéritifi'e najłatwiej jakoś znosiło się kołysanie „Djenné". Chociaż na statku ceny są dość niskie, dobrze się jednak stało dla naszych kieszeni, że biały brzeg Czarnego Lądu ukazał się niebawem.

Postawiliśmy całą ekipę na nogi i oblegliśmy burtę, przypatrując się ziemi, oznajmiającej nam koniec podróży morskiej.

Afryka. Napróżno jednak wzrok szuka tego, co mu wyobraźnia podsuwa. Zamiast szumiących gajów palmowych, pochylających się nad oceanem jak w filmach egzotycznych w takt wiatru — suchy, spalony słońcem piaszczysty brzeg. Żadnych drzew, nawet łanów zboża, ożywiających ten monotonny widok. Jedynie rzadkie kępy zeschniętej trawy, swym wyblakłym kolorem tak doskonale harmonizujące z białym wyżarzonym piaskiem, podkreślały egzotyk południowego słońca.

Wreszcie Casablanca. Na tle białych piasków ukazują się wdali białe domy. Mieli rację Arabowie, nazywając to miasto Dar el Beida, białym domem, a Portugalczycy, którzy już w szesnastym wieku przez kilkadziesiąt lat tem miastem władali, Casablanką.

W porcie wita nas attaché naszego konsulatu p. Radziwanowski, przedstawiciele Kolonji polskiej pp. inż. Zalewscy oraz prezes sekcji marokańskiej Francuskiego Klubu Alpejskiego p. de Mazières. Przepychając się przez tłumy Arabów, którzy tu znów przybyli witać pielgrzymów, schodzimy na ląd.

W urzędzie celnym idzie nam dzięki p. Radziwanowskiemu gładko. Ledwo zdążył przekonać jednego urzędnika, żeby nam zaraz ostemplował paszporty, a nie za trzy dni, jak nakazuje nietyle marokański, co wszech-

biurokratyczny zwyczaj, a już biegnie do drugiego, który nagwałt chce oclić nasze nowiuteńkie namioty. I tu poszło szczęśliwie, nie zapłaciwszy więc sułtanowi ani jednego franka, ruszamy do miasta, przyglądając się jeszcze po drodze bezlitosnej rewizji przeprowadzanej u Arabów.

Casablanca, miasto całkowicie właściwie zbudowane w przeciągu ostatnich lat kilkunastu, przedstawia się imponująco. Jadąc do hotelu szeroką ulicą wysadzaną palmami, mijamy wspaniałe nowoczesne żelbetowe gmachy. Szereg budynków monumentalnych w stylu nowoczesno-marokańskim. Budowle arabskie o płaskich dachach i wielkich płaszczyznach doskonale harmonizują ze współczesną architekturą. To też wykorzystano to znakomicie, wprowadzając do budownictwa motywy arabskie.

Jeszcze przed wojną Casablanca była małem nadbrzeżnem miasteczkiem arabskiem. Statki zatrzymywały się daleko od brzegu, na który dostawano się przy pomocy szalup. Rozpoczęto wtedy budowę portu. Jednak zamieszki wewnątrz kraju, a potem wojna światowa przeszkadzały wciąż temu przedsięwzięciu. To też właściwie na dobre budowa rozpoczęła się w roku 1922, przyczem jeszcze teraz nie jest zupełnie ukończona.

Budowa portu, zakrojonego na olbrzymią skalę, zadecydowała o losie tego miasta. Rozwój jego potoczył się w tempie nadzwyczajnem. Dziś Casablanca liczy sto siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców, w tem sześćdziesiąt tysięcy Europejczyków.

Zatrzymujemy się w hotelu, „Excelsior". Jedynie wielkie muślinowe moskitiery, spadające z sufitu nad łóżka, wskazywały, że nie jesteśmy w Europie. Z okien naszego czwartego piętra widok na całe miasto. Wdole kipi gwarna ulica, pełna krzyku, hałasu i pośpiechu ludzi południa.

Po asfaltowych ulicach mknie szereg aut. Wszak to kilkunastoletnie miasto ma prawie tyle samochodów,

co cała Polska. We wspaniałych limuzynach, prowadzonych przez białych szoferów, widać często dostojne pary. On w białym turbanie, ona zakwefiona. To arystokracja arabska.

Oprócz taksówek jest tu też sporo dorożek. Deszcze padają rzadko, słońce zaś grzeje stale. Zamiast budy, mają one przymocowane ogromne baldachimy. Na koźle kolorowy woźnica śmiesznie wyglądający w swym wysokim słomianym kapeluszu, o półtorametrowem chyba rondzie.

„Piechotą niema zwyczaju tu chodzić" mawiają biali mieszkańcy Casablanki. Dlatego też kryzys i samochód nie dały się bardzo we znaki miejscowym dorożkarzom Zresztą kurs kosztuje zaledwie dwa franki, około siedemdziesięciu groszy. Nic dziwnego, że nie chce tu się Europejczykom chodzić piechotą w upalne dnie arfykańskie.

Wieczorem wychodzimy na miasto. Przytłumione światła neonów dziwnie barwiły na bulwarach okwiecone drzewa. Na tarasach kawiarń odpoczywali po pracy Europejczycy, chłodząc się zimnemi napojami. Arabscy przekupnie zachwalali swój towar. Wolno, w milczeniu rozwijali długie barwne dywany i ze wschodnią cierpliwością czekali, aż który z Europejczyków odwróci głowę i spojrzy choć przez chwilę na ich dzieło. W znudzonym wzroku nie wyczytali widać ochoty kupna. Nie spiesząc się, zwijają bez słowa swój towar, aby, przesunąwszy się kilka kroków, powtórzyć tę historję przed następnym stolikiem od początku.

Nazajutrz trzeba się było wziąć do pracy. Dr. Piotrowski i dr. Dorawski jadą do Rabatu, aby złożyć wizytę rezydentowi francuskiemu w Marokku i wystarać się o pozwolenie na zwiedzenie grupy Mgunu.

Golcz udziela wywiadu dziennikarzom miejscowym na konferencji prasowej, zwołanej przez p. Radziwanowskiego, który od chwili naszego przyjazdu otoczył nas swą opieką, ułatwiając nam wszystko na każdym kroku

Kiełpiński i ja organizujemy przejazd do Marrakeszu. Wsiadamy w samochód, który poprzez tonącą w najróżnobarwniejszych kwiatach dzielnicę willową zawozi nas na dworzec. Okazuje się, że bilet trzeciej klasy Casablanca — Marrakesz kosztuje sześćdziesiąt siedem franków. Dość dużo. Jedziemy więc na dworzec autobusowy. Cena przejazdu autobusem do Marrakeszu wynosi zaledwie trzydzieści franków. Jak koleje mogą przy takiej konkurencji się utrzymać, nie wiem. Pewnie wożą tylko towar.

Choćby przyszło tłuc się dwa razy dłużej samochodem, to i tak się opłaci. Właściciel przedsiębiorstwa uspokaja nas jednak, twierdząc, że za trzy i pół godziny tam będziemy. Trochę nie dowierzamy mu. Przecież to prawie dwieście pięćdziesiąt kilometrów.

Przypuszczaliśmy, że wyjedziemy z Casablanki wieczorem, tymczasem autobus odchodzi o drugiej po południu. Całe szczęście, że o wpół do drugiej naznaczona została zbiórka na obiad. Czemprędzej więc jazda do hotelu i całą ekipę prowadzimy mimo wygłodniałych min zamiast na obiad wprost do autobusu.

MARRAKESZ, MIASTO HANDLARZY I ŻEBRAKÓW.

Gładka jak stół szosa asfaltowa wyprowadziła nas za miasto. Wjechaliśmy w okolicę równinną. Na spalonej przez słońce ziemi wegetowała jedyna roślinność — wyblakła trawa. Od czasu do czasu stadko pasących się wielbłądów lub osłów. Mijamy wsie arabskie. Szereg szałasów ze słomy, przypominających zdaleka sterty na polach. Kontrast z gmachami Casablanki, któreśmy oglądali jeszcze przed półgodziną, nadzwyczajny.

Na drodze ruch prawie wyłącznie samochodowy. Czasem ukaże się jednak, czy to ogromny wóz dwukołowy zaprzężony w muły, czy też jakaś rodzina, gdzieś wędrująca. Mężczyzna z reguły siedzi na mule lub ośle. ztyłu idzie jego żona.

Chociaż jest już popołudnie, żar coraz większy. Brak jakiegokolwiek wiatru, któryby chłodził tak jak w Casablance, położonej nad oceanem.

Ogromny autobus rzeczywiście jedzie ze znaczną szybkością, a strzałka na wskaźniku dobiega często setki. Teraz już wierzymy, że w Marrakeszu będziemy za trzy godziny. Droga prosta jak strzała, żadnych łuków, zakrętów nawet, gdyż teren jest idealnie płaski, a większych osiedli po drodze, z wyjątkiem jednego miasteczka Settat niema.

Nic dziwnego, że Francuzi położyli w Marokku tak wielki nacisk na budowę dobrych dróg. Opanowanie tego wojowniczego i wrogo nastawionego przeciw giaurom

kraju, to przedewszystkiem była kwestja wybudowania dróg.

Gdy pułki legji cudzoziemskiej posuwały się naprzód, oddziały odkomenderowane z pola bitwy, na tyłach budowały w skwarnym upale afrykańskim szosy. Teraz wewnątrz kraju, pokrytego setkami kilometrów gościńców, jest już nie do pomyślenia jakikolwiek ruch zbrojny. Oddziały legji cudzoziemskiej lub czarnych senegalskich wojsk murzyńskich w kilka godzin zwiezione z najdalszych części Marokka momentalnie zdusiłyby wszelki opór.

Zresztą znaczna część tubylców coraz bardziej zaczyna zupełnie szczerze sprzyjać Francji. Dawniej w czasach anarchji, gdy jeden szeik napadał co chwila na drugiego, palił i mordował, ludność uciekając traciła cały swój dobytek. Obecnie silna ręka francuska twardy utrzymuje tu porządek, karząc surowo wszelkie wybryki. Prawdopodobnie jednak cięższą była ręka samowładnego szeika.

Poza tem Francuzi naprawdę dbają o tubylców, starając się poprawić ich ciężki los. Życie ludzi miejscowych nie jest lekkie. Ciemnota, nędza i choroby, to plagi, które ich gnębią. Szereg lekarzy francuskich walczy z rozpowszechnioną tu nadzwyczaj jaglicą i palludyzmem, instruktorowie podnoszą kulturę rolną, wprowadzając nieznane tu jarzyny, kartofle, pomidory i zakładając winnice.

Ludność Marokka nie jest jednolita. Obok pradawnych Berberów, pochodzenia chamickiego, osiadłych tu jeszcze od czasów starożytnych, w niemniejszej liczbie znajdują się semiccy Arabowie, którzy, najeżdżając na początku ósmego wieku Hiszpanję, po drodze podbili Marokko, wówczas zwane Maurytanją.

Oprócz Arabów i Berberów, mahometan, których jest razem około pięciu miljonów, żyje tu jeszcze przeszło po sto tysięcy Żydów i Europejczyków, wśród tych ostatnich większość Francuzów.

Katedra katolicka w Casablance. Jedno z najpiękniejszych dzieł współczesnej architektury światowej.

fot. J. Kiełpiński.

Kobieta w czar-czafie niosąca na głowie miejscowym zwyczajem swoje sprawunki.

fot. J. Wojsznis.

Plac Dżemaa el Fna w Marrakeszu. W głębi widoczna wieża, t. zw. kutubja, sterczaca z murów obronnych miasta.

fot. J. K. Dorawski.

Żydzi marokkańscy przybyli tu w dwu okresach. Jedni przywędrowali bezpośrednio z Palestyny, zaraz po zburzeniu świątyni w Jerozolimie, drudzy później, bo dopiero w końcu piętnastego wieku, po wypędzeniu ich z Hiszpanji.

Żydzi palestyńscy mówią tu swym starożytnym językiem hebrajskim. Zajmują się oni nietylko handlem, lecz także rzemiosłem, a nawet rolnictwem. Są tu całe wioski żydowskie.

W miastach Żydzi zamieszkują specjalne dzielnice, t. zw. mellach. Średniowieczne przepisy sułtańskie są tu z całą surowością przestrzegane. Nie wolno też Żydom nosić białych burnusów czy też zawoju. Muszą oni ubierać się czarno.

O ile Arabowie są bardzo konserwatywni i przywiązani do swej religji, zwyczajów i strojów, to młodzież żydowska szybko się europeizuje, porzucając mellach i przenosząc się do dzielnic europejskich. Tu już nie podlegają prawom miejscowym lecz administracji francuskiej.

W Marokku jest też sporo murzynów i mulatów, potomków niewolników i wyzwoleńców.

Cała ta ludność w ilości pięciu przeszło miljonów żyje na obszarze większym niż Polska, Marokko bowiem liczy 520 380 km².

Marokko nie jest bynajmniej kolonją francuską. Teoretycznie jest to niepodległe państwo, pozostające jedynie pod protektoratem Francji i Hiszpanji.

Hiszpańskie i francuskie Marokko, a także wolne miasto Tanger, to oficjalnie jedno państwo pod władza sułtana. Cztery piąte jednak kraju znajduje się pod kontrolą Francji, reszta zależy od Hiszpanji. W wolnem mieście Tangerze co rok zmienia się komisarz angielski, francuski i hiszpański.

Marokko urzędowo nazywa się Empire Cherifien. Na jego czele stoi sułtan Sidi Mohammed III. Kraj posiada własne wojsko, monetę, urzędników i prawa. Nawet

Centrala Biblioteki Kuchennych
w Chełmie
Nr. inw. 8421

w Rabacie, stolicy Marokka, obok konsulów innych państw urzęduje konsul francuski. Francuzi są tu napozór jakby cudzoziemcami. W praktyce jednak posiadają oni wszystkie ośrodki przemysłowe, koleje i plantacje. Wyłączeni z sądownictwa i administracji miejscowej podlegają rezydentowi Francji, jak zresztą i reszta Europejczyków.

Ponieważ tworzą oni przeszło stutysięczną grupę, rezydent posiada pod swą władzą cały ogromny aparat administracyjny, który nie podlega oficjalnemu władcy. Ten ostatni zresztą pędzi sobie wygodny żywot w swych pałacach, niewiele mając do roboty. Choćby nawet okazał jakie zainteresowanie sprawami państwowemi, to i tak nie wolno mu nikogo przyjąć bez wiedzy i zgody rezydenta. Wystarcza mu to jednak. Pieniędzy ma dosyć, co pewien czas jeździ do Francji, gdzie jest przyjmowany z honorami, jako koronowany panujący. Francuzi dbają bardzo o zewnętrzne pozory władzy sułtańskiej. Podczas przejazdu sułtana przez miasta pompa jest nadzwyczajna. Defilady, parady, strzały armatnie.

Historja Francji w Marokku jest krótka. Pod koniec zeszłego stulecia władza sułtana stała się w kraju iluzoryczna. Szczepy berberskie w górach zaczęły się rządzić same. Wewnątrz kraju poszczególne prowincje zbuntowały się także, starając się narzucić innym swych władców. Rozpoczęła się anarchja, podczas której kilku pretendentów naraz walczyło o tron.

Jak zwykle bywa w krajach zamieszkałych przez ludność nieeuropejską, najwięcej ucierpieli podczas zamieszek Europejczycy, których każda z walczących stron mordowała. Dla ochrony swych obywateli, po paru większych rzeziach Europejczyków, w większości Francuzów, Francja w roku 1907 obsadziła wojskami Casablancę, a później nieco i całą prowincję Szauija. Teraz rebelja podniosła się na dobre.

Mulej Hafid, dążący za wszelką cenę do władzy,

oskarżył dotychczasowego sułtana, a swego brata o zaprzedanie Marokka chrześcijanom. Zdetronizowano więc sułtana, obierając na jego miejsce Mulej Hafida. Nie wszystkie jednak miasta uznały jego władzę. Gdy zaczął przegrywać jedną bitwę po drugiej, niepomny na sposób, w jaki dostał się do władzy, wezwał na pomoc Francuzów, oddając się im pod protektorat w roku 1912.

Teraz Francuzi zaczęli w imię Jego Sułtańskiej Mości zajmować kraj cały. Krwawe walki trwają bez przerwy aż po dziś dzień. Najdłużej broniły się górskie plemiona Atlasu. Obecnie można już uważać pacyfikację kraju prawie za zakończoną. Wewnątrz kraju panuje spokój zupełny. Tylko w górach słychać czasem o lokalnych powstaniach.

Patrząc z okien autobusu na mijające nas wciąż obładowane samochody ciężarowe, czy też eleganckie limuzyny, świadczące o rozwoju przemysłowym i zamożności kraju, aż się wierzyć nie chce, że dwadzieścia lat temu był to kraj jeszcze zupełnie dziki.

Monotonję krajobrazu przerywa niewielkie pasmo górskie Dżebilet, które przecinamy wprost. Potem pierwszy od wyjazdu z Casablanki gaj palmowy i po chwili samochód toczy się wśród wspaniałych willi aleją obsadzoną drzewami, pokrytemi fioletowem kwieciem. To Gueliz, europejska dzielnica Marrakeszu.

Rzeczywiście podróż nasza trwała trzy i pół godziny. Siedemdziesiąt pięć kilometrów na godzinę szybkości handlowej, to jest łącznie z postojami. Dobry to egzamin dla marokańskich szos.

Mijamy bramę, strzegącą wejścia do starej dzielnicy arabskiej, Mediny, i autobus nasz wpada w samo serce Marrakeszu, plac Dżemaa el Fna.

Momentalnie opada nas i nasze dwadzieścia pięć waliz tłum Arabów i Murzynów. Nie można zupełnie ich odpędzić. Łapią walizki, wyrywając je sobie z rąk do rąk. Bierzemy dwóch do pomocy i ci zaczynają znosić z da-

chu auta rzeczy, rozpychając się z trudem przez krzyczący i przeszkadzający tłum. Odrazu z dwóch tragarzy robi się trzech. Odpędzamy tego trzeciego, ponieważ jednak wszyscy Arabowie z początku wydają się do siebie podobni, a w międzyczasie i ilość tragarzy wzrasta już do czterech, więc mięsza nam się ostatecznie, którzy są nasi, a którzy nie. Dajemy więc wkońcu spokój i ruszamy całą karawaną do hotelu. Na przodzie wózek z rzeczami, ciągniony przez pięciu już Arabów, obok drugie tyle asysty, a na końcu my.

Wypoczynek, kolacja, która zastąpiła nam obiad i już wieczór; parny i gorący. Nawet noc nie przyniosła orzeźwienia. Leżąc pod muślinową moskitierą na łóżku, daremnie starałem się zasnąć.

Minęło jeszcze kilka dni na dalszych przygotowaniach wyprawy. Dr. Piotrowski i dr. Dorawski, którzy przywieźli pismo polecające z Rabatu do gubernatora okręgu Marrakeszu, gen. Catroux, udają się do niego z wizytą. On ma nam udzielić pozwolenia na zwiedzanie masywu centralnego i zadecydować, czy wpuścić nas do tajemniczego Ait Mgunu, czy nie.

Generał rzeczywiście pozwala na przebywanie w masywie centralnym. Obecnie prośba o to jest jedynie formalnością, którą jednak należy przestrzegać, choć wiadomo, że się nie spotka z odmową. Nie wiedzieliśmy jednak, co będzie z Ait Mgunem. Przecież dotychczas tam nikt nie był. Nawet turyści francuscy.

Nadspodziewanie i w tym wypadku poszło gładko Gen. Catroux nietylko że wyraża swą zgodę na zwiedzenie Ait Mgunu, lecz jeszcze obiecuje nam udzielić eskorty wojskowej i dopomóc w zorganizowaniu karawany. Wyprawa zatem w nieznane okolice staje się faktem. Narazie jednak w myśl programu udajemy się w masyw centralny Wysokiego Atlasu.

W przerwach między załatwieniem spraw związanych z wyprawą zwiedzam miasto. Najprzyjemniej jest, odrzu-

ciwszy drukowane przewodniki, wsiąknąć w ciżbę arabską i włócząc się bez celu, obserwować to, co jest tu najbardziej egzotyczne. Nie budynki i zabytki, lecz przedewszystkiem samo życie.

Ogromny plac Dżemaa el Fna zatłoczony jest ludźmi. Odbywa się tu codziennie targ, gdzie w szeregu kramów można wszystkiego dostać. To też zjeżdżają się tu Arabowie i Berberowie nawet z najdalszych okolic. Obliczają, że w Marrakeszu znajduje się stale przeszło dwadzieścia tysięcy ludzi, przybyłych z bledu na kilkudniowy pobyt do miasta.

Poprzez wrzawę głosów ludzkich, przebijają dźwięki monotonnej, a jednocześnie hałaśliwej muzyki. To żebracy.

Właśnie zbliża się do nas żebraczy korowód. Kilkunastu obdartych niewidomych starców posuwa się wolno. Każdy z nich położył jedną rękę na ramieniu towarzysza, a w drugiej trzyma wielki kij, którym się podpiera. Pierwszego prowadzi za rękę kilkuletni chłopaczek, który trzyma drewnianą miseczkę. Tak suną powoli wężem w milczeniu, przerażając swem kalectwem i budząc litość wśród zgiełkliwego tłumu. Datki padają gęsto.

Mrowie ludzkie otacza kramy. Wszędzie targi i kłótnie. Nic tu nie można kupić, nie wytargowawszy przynajmniej połowy. Towar właściwie ceny tu nie posiada. Zależy ona bowiem nie od wartości przedmiotu, ani od czasu produkcji, lecz jest jedynie funkcją sprytu, wymowy i ilości wolnego czasu, posiadanego przez kupującego.

W krótkim czasie nauczyliśmy się sztuki kupowania. Zbliża się do nas siwy Arab. Handluje on różnemi ozdobnemi drobiazgami. Nachyla się z tajemniczą miną nade mną i szepcze do ucha.

— Słuchaj, mam śliczne berberyjskie bransoletki. Kosztują one osiemdziesiąt franków, dla ciebie jednak tylko czterdzieści.

Sposób bowiem zwracania się do kogoś w formie „ty" jest wśród Arabów powszechny.

Wybuchamy wszyscy śmiechem i odchodzimy.

— Słuchaj — woła Arab, goniąc nas — a ile ty dasz...

— Pięć franków.

Teraz Arab wybucha śmiechem, łapie się za głowę i odchodzi. My spokojnie idziemy dalej. Po chwili znów nadbiega.

— Słuchaj — zaczyna jak zwykle — trzydzieści franków ostatnia cena.

Stukamy się w czoło i mówimy:

— Dziesięć.

Arab się oburza, my się znów odwracamy, lecz w tej chwili już on woła:

— No dobrze, daj.

Jesteśmy przed kramami z glinianemi naczyniami. Artysta i kupiec w jednej osobie siedzi wśród wielkich stosów mis, dzbanów i dwuusznych amfor, malując właśnie czarną farbą desenie na tych przedmiotach. Fabryczna standaryzowana tandeta jeszcze tu nie dotarła. Zbliża się zakwefiona kobieta. Z pod czar - czafu widać tylko wielkie czarne, mocno umalowane oczy i delikatny tatuaż nasady nosa. Kupiła dwuuszny dzban. Z wdziękiem umieszcza go na głowie i przytrzymując ręką, idzie kolebiąc się w biodrach.

Idziemy dalej, przepychając się przez ludzi. Bronzowi Arabowie w białych zawojach lub czerwonych fezach, wolno przechadzają się, otuleni w burnusy, najróżniejszych barw. Widać i Żydów. Ci w czarnych czapeczkach i takiegoż koloru dżellabach wyglądają zupełnie jak postacie biblijne. Twarze bardziej rasowe niż u naszych Żydów. Typ semicki zachował się tu czyściej niż w Europie. Tylko pejsami i czernią przypominają naszych.

Pomiędzy nimi przemykają się gęsto Murzyni, poubierani zresztą tak jak i Arabowie. Czasem widać Murzyna z kępką włosów na brodzie. To potomek Murzyna

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA Chełmie

i Arabki, śmiesznie wyglądający z tym niezdecydowanym zarostem.

Mijamy kramy pełne płócien i jedwabi. Obok na ziemi rozsiadły się kobiety. Handlują kolczykami, obrączkami i różnemi innemi ozdobami kobiecemi. Dalej siedzą krawcy i szewcy. Można się tu ubrać od stóp do głów. Dżellaby, haiki, burnusy, pantofle, wszystko, czego potrzeba.

Lecz nietylko można się tu ubrać; piekarze, rzeźnicy też gęsto usadowili się za kramami. Są nawet małe restauracyjki: minjaturowy ruszcik nad rozżarzonemi węglami. Na nim pieką się smakowite, pachnące przysmaki arabskie; maleńkie kawałki wątróbki nanizane na szereg cienkich drucików.

Jeszcze dalej rozsiedli się lekarze i aptekarze. Właśnie jeden medyk stara się uleczyć okazale ubranego starca z bólu głowy. Posadził go na ziemi, a sam usadowił się na krzesełku za nim. Starą, zardzewiałą brzytwą robi szereg nacięć na łysej czaszce, a potem szybko nakłada bańkę. Na głowie staruszka już sterczy kilka takich żelaznych baniek. Gapie z szacunkiem przyglądają się tej scenie. Nawet spahisi w mundurach, służący w wojsku francuskiem, nie dziwią się tej barbarzyńskiej kuracji.

Także i szpakowaty Arab o drewnianej kuli, z medalem z wojny światowej na burnusie, przygląda się uważnie, a na jego twarzy maluje się całkowite zaufanie do miejscowego lekarza.

Obok na ziemi gardłowym głosem zachwala swój towar aptekarz. Cały dobytek rozłożył przed sobą na płachcie. Szereg małych woreczków napełnionych różnemi proszkami. Tuż koło nich suszone łby szakali, bezmyślnie wpatrzone w niebo zamarłemi oczami. Nieżywe ptaki, węże i jaszczurki dopełniają tej dziwnej kolekcji leków.

W wolnych przestrzeniach między kramami popisują się muzykanci. Małe podłużne bębenki umieszczają sobie na ramieniu i przytrzymując je jedną ręką, drugą biją w nie otwartą dłonią. Rytmiczne odgłosy przebijają się

przez gwar ludzki, potęgując jeszcze wrzawę rozlegająca się daleko.

Wychodzimy na ulicę. Jest luźniej, lecz też hałaśliwiej. Małe arabięta i murzynięta biegają, sprzedając gazety.

„Vigie Marocaine", „Petit Marocain" rozlega się co chwilę. Tłumek brudnych, pół nagich o golonych czaszkach dzieciaków otacza Europejczyków zwartą masą. Tylko z ciemienia zwisa im mały zapleciony warkoczyk.

„Msiur voir soux, msiur voir soux" — jeden wrzeszczy przez drugiego łamaną francuszczyzną. Opędzić się trudno. Wiemy, o co im chodzi. Suk to stara dzielnica handlowa pełna oryginalnego egzotyzmu i chętnie zwiedzana przez turystów. Złożona z labiryntu krętych wąskich uliczek jest niemożliwa do zwiedzania bez przewodnika. Każdy tam zabłądzi.

Wygrzewający się przez cały dzień na słońcu ulicznicy witali nas okrzykami: „Dzień dobry, Polonais!" Wiedzieli już wszyscy, kim jesteśmy i pocośmy przyjechali. Skąd wiedzieli, niewiadomo. Były wzmianki w gazetach o naszym przyjeździe, ale ani razu nie widziałem takiego wyrostka czytającego gazetę. Może powiedziała im służba hotelowa, może starsi. Poczta pantoflowa jest tu tak wspaniale zorganizowana, że w tak krótkim czasie całe miasto o nas wiedziało.

Usłyszawszy od nas parę wyrazów polskich, ulicznicy momentalnie roznieśli je wśród całej, licznej tu gawiedzi. Co chwila rozlegało się: „chodź!" „trzymaj" i to wymawiane zupełnie poprawnie. Język arabski posiada tak samo jak i polski dużo takich dźwięków jak sz, ś, Arab więc zawsze dobrze powtórzy polski wyraz, czego naprzykład nigdy nie zrobi Francuz.

Arab, zwłaszcza młody, choć leniwy, jest bardzo sprytny. I tak ulicznicy często sami dochodzili do tego, co który z wyrazów znaczy. Nigdy nas nie powitali okrzy-

kiem: dowidzenia. Kupował kiedyś jeden z nas w suku jakieś drobiazgi skórzane. Targ był zawzięty.

— Dać mu dwadzieścia — zwraca się do mnie kupujący pytającym tonem.

— Czternaście wystarczy — odpowiadam.

— Czternaście — rzucił się kupiec, dodając już po francusku — to stanowczo mało.

Roześmieliśmy się i dostał oczywiście dwadzieścia franków oraz parę komplementów za swój spryt.

Włócząc się krętemi zaułkami, często ślepo się kończącemi, trafiamy na jakiś okazalszy gmach. Był to meczet zamkowy, założony jeszcze w roku 1195 przez sułtana Abu Jussef El Mansura. Do meczetów można wchodzić — jedynie do niektórych z grobami różnych świątobliwych mężów wstęp jest dozwolony tylko Mahometanom.

Znaleźliśmy się na ogromnym dziedzińcu, otoczonym ze wszystkich stron kolumnami. Dalszą penetrację przerwał wrzask jakiegoś Araba, który, dojrzawszy nas z ulicy, wpadł tu za nami. Wyrzucał z siebie z nieprawdopodobną szybkością gardłowe dźwięki. Na twarzy jego malowało się oburzenie, połączone ze zdumieniem. Dziwił się, że ktoś odważył się tu wejść.

Udawanie, że się nie rozumie, nic nie pomogło. Pociągnął nas zpowrotem i tu zaczął pokazywać tablicę, a na niej napis: wstęp dla Europejczyków wzbroniony. Trzeba było się wynieść. Był to jedyny wypadek, gdy my, Europejczycy, musieliśmy się podporządkować tubylcom.

Znów byłem na placu Dżemma el Fna. Małe berbecie, jak zwykle obskoczyły mnie, ciągnąc do suków. Byłem tam już, więc nie zważając na propozycję malców, udałem się sam w tamtą stronę. Żar afrykański palił nieznośnie. Po ulicach kręcili się sprzedawcy wody, dając znać o sobie dzwoneczkami. Z wielkich bukłaków, uszytych z koźlej skóry, nalewali spragnionym nieco wody do miedzianych miseczek.

Skręciłem wbok i znalazłem się w suku. Ze zdziwieniem spostrzegłem obok siebie małego murzynka, który na Dżemaa el Fna proponował mi swe usługi. Spryciarz szedł za mną, licząc, że nie trafię bez niego. W suku sklepiki jednej branży są zgrupowane koło siebie. Szukałem handlarzy skórą, gdzie byłem parę dni temu. Szukałem jednak napróżno.

W wąskich uliczkach, zasłoniętych od góry matami, znajdowałem inne sklepy i warsztaty rzemieślnicze. Minąłem farbiarnie przędzy i składy płócien, minąłem rzeźników i sprzedawców warzyw, a skór znaleźć nie mogłem. Mały murzynek uparcie szedł bez słowa obok, wiedząc, że wkońcu będę się musiał do niego zwrócić. Zawziąłem się. Zacząłem skręcać to wprawo, to w lewo, lecz, błądząc między kramami, ciągle wracałem w to samo miejsce. Murzynek z całym spokojem wszędzie szedł za mną. Postawił na swojem: zrezygnowany, musiałem go prosić o pomoc. W parę minut byłem już koło sklepów skórzanych.

Arabowie są kupcami z zamiłowania. Targowanie się to dla nich prawdziwa przyjemność. Nie czują oni niechęci do kupującego, że zmniejsza im zarobek. I tak nigdy nie liczą, żeby uzyskać odrazu proponowaną cenę, która czasami przecież dochodzi do dziesięciokrotnej wartości przedmiotu. Szukam w sklepie niebieskiej torby. Arab żąda sto franków, ja daję dziesięć. Nie możemy się pogodzić. Idę do następnego sklepu.

— Masz niebieskie torby — pytam.

— Mam — odpowiada kupiec.

Jak się później przekonałem, Arab zawsze będzie twierdził, że żądany towar posiada, pokazując zupełnie co innego.

— Pokaż — mówię.

Powoli sięga na półkę, gdzie leżały torby zawinięte w papiery. Zdejmuje pierwszą i z namaszczeniem odwija. Czerwona.

— Chcę niebieską — powtarzam.

Zdejmuje drugą, znów odwija z papieru. Czarna. Bierze następną. Pokolei odwija wszystkie. Niebieskiej nie było.

— Więc poco mówiłeś, że masz niebieskie — pytam zły za stracony czas.

— Mam za to inne piękne — tłómaczy się kupiec.

Idę dalej. Znalazłem wreszcie niebieską, ale wolałbym ciemniejszą. Pytam się właściciela sklepu, czy ma taką.

— Oczywiście, zaraz chłopak przyniesie.

Chłopak przynosi, ale identyczną.

— Przecież chcę ciemniejszą — mówię — nie rozumiesz.

— Aha, ciemniejszą — dziwi się kupiec i przynosi znowu taką samą. Poszedłem więc szukać dalej.

Zwiedziwszy w ten sposób kilkanaście sklepów, znów znalazłem się u kupca, u którego już byłem poprzednio. Nie odrazu go poznałem, choć ten musiał mnie pamiętać. Europejczyk jeszcze tu nie jest spowszedniałym gościem.

Znów historja z kolejnem odwijaniem torebek z papieru powtórzyła się dokładnie.

Jeszcze wędrówka po kilku sklepach i wreszcie znalazłem to, czego chciałem. Wyprowadzony przez mego małego przewodnika znów byłem na Dżemaa el Fna.

Było już ciemno i plac wyglądał inaczej. Handel powoli ustawał, lecz gwar bynajmniej nie malał. Przed kramami paliły się małe karbidowe lampki, a kupcy siedząc w kucki popijali swój narodowy arabski napój, herbatę z mięty.

Tworzą się grupy grających na prymitywnych instrumentach, bębenku i czemś w rodzaju skrzypiec. Śpiewacy, siedząc w koło na ziemi, zawodzą, akompanjując sobie również bębenkiem. Monotonna, a jednocześnie dzika i namiętna muzyka, podnieca ich. Jak w epilepsji bezwładnie wyrzucają na wszystkie strony głowy, wydając z siebie gardłowe tony. Czasem zerwie się który i tupiąc wście-

kle w ziemię w takt muzyki, śpiewa jeszcze głośniej, narzucając nowe melodje towarzyszom.

Tu i ówdzie gromadki Arabów, siedzących na podkurczonych nogach, otaczały opowiadaczy bajek, którzy z żywą gestykulacją odtwarzali jakieś historje.

Część przyjezdnych ułożyła się już na ziemi do snu. Mimo to życie tu wrzało. Cały plac rozbrzmiewał muzyką i śpiewem.

Zbliża się dwunasta. Przed domem paszy zbierają się brodate postacie. Jest ich z dwadzieścia parę. Powoli nasypują proch do luf swych staroświeckich strzelb i wolno ubijają go stemplem. Wreszcie, gdy naboje są już gotowe, ustawiają się na cokole domu. Na parę minut przed dwunastą wszyscy zaczynają celować w niebo, a najstarszy rozpoczyna śpiew. O dwunastej rozlega się salwa. To znak, że obywatele winni już iść spać.

I tak obok współczesności biegnie życie zupełnie jak z przed kilkuset lat. Naprzeciw dancingu — lekarz sprzedający zioła i łby szakalów czy oczy sępów na wszelkie dolegliwości; koło telegrafu zaklinacz węży czy opowiadacz bajek. Mimo inwazji cywilizacji Arabowie się nie zmienili.

NA NAJWYŻSZYM SZCZYCIE ATLASU.

Poprzez gęste, drgające od żaru powietrze majaczyły woddali na horyzoncie upstrzone śniegiem góry.

Adrar n'Deren, góry gór, jak nazywają je Arabowie, patrząc z bezkresnych płaszczyzn marokańskich na te piętrzące się nagle, cztery tysiące metrów liczące kolosy.

Choć bawiłem w Marrakeszu już kilka dni, góry dojrzałem po raz pierwszy. Odległe od miasta o kilkadziesiąt kilometrów za lada mgłą stawały się niewidoczne. Mimo że tu słońce prażyło dotkliwie, panowała tam na tych wysokościach niepogoda.

Zawróciłem w stronę miasta. Asfaltowa szosa przecinała pustynne piachy, aby wkońcu poprzez suchotniczy palmowy gaik wydostać się popod obronne mury Marrakeszu. Szedłem wzdłuż murów ulicą, stanowiącą granicę Mediny i Guelizu, starej i nowej dzielnicy. Mijałem luksusowe wille urzędników administracji francuskiej, tonące w powodzi najróżnobarwniejszych kwiatów. Stały głuche i puste. Czerwiec. Zbliża się pora letnich upałów, upałów niszczących zdrowie i wysysających wolę z białego człowieka. Pustoszeje wtedy miasto z białych ludzi. Pozostają tylko te puste, czerwone wille, tak doskonale harmonizujące z czerwoną ziemią Marokka.

Z drugiej strony ulicy stare, rozwalające się mury obronne symbolizowały epokę, która się dla Arabów skończyła zdaje się na długo. Epokę hegemonji w kraju rodzinnym.

Koło wysokiej Kutubji, wieży sterczącej z murów, skręciłem w boczną aleję, która wyprowadziła mnie na plac Dżemaa el Fna. Wrzało tu jak zwykle zgiełkliwe wschodnie życie. Setki kramów i kramików otoczone wrzaskliwym, kolorowym motłochem.

Z trudem przecisnąłem się do hotelu. Zastałem towarzyszy w humorach doskonałych. Wszystko już załatwione, jutro więc ruszamy dalej. W świetnych nastrojach idziemy spać.

Na drugi dzień zrywamy się wcześnie. Na dworze zimno, aż się trzęsiemy. Spoglądam na termometr: dwadzieścia kilka stopni. Już zdążyło nas wydelikacić obezwładniające słońce południa.

Zamówiony autobus warczy. Czarni tragarze wynoszą z hotelu i ładują na dach samochodu skrzynie z żywnością oraz nasz osobisty ekwipunek. Jest nas dziesięciu, a przeszło dwa tygodnie mamy zamiar nie wracać z gór. Nic dziwnego, że rzeczy mamy sporo.

Brodaty szofer w turbanie zasiadł przy kierownicy. Nad sobą na szybie miał namalowany białą farbą święty znak, rękę Fatmy, córki proroka, której oddawał w opiekę tę rozlatującą się budę.

Przelecieliśmy szybko przez Dżemaa el Fna, mignęła nam po drodze Kutubja i wyjechaliśmy za miasto. Przed nami leżała wielka czerwona płaszczyzna, zrzadka usiana sterczącemi kaktusami. Czerwony kolor nadawał specyficzny charakter krajobrazowi. Gleba, mury, domy, wszystko to utrzymane w jednym tonie rudej glinki.

Jedziemy wprost na południe w stronę gór — około sześćdziesięciu kilometrów. Krajobraz zaczyna się zmieniać w oczach. Giną palmy, giną wspaniałe większe od człowieka kaktusy, a na ich miejsce ukazuje się roślinność, coraz bardziej zbliżona do naszej. Łany zboża, zagajniki liściastych drzew. Gdyby nie ten czerwony kolor gleby, miałoby się wrażenie, że się jedzie przez Mazowsze czy Lubelskie. Afryka zupełnie znikła. Coprawda na-

leżałoby dodać, że u nas tak wspaniałych szos asfaltowych niema.

Wzdłuż szosy z obu stron ciągną się kanały, prowadzące wodę do użyźniania pól. Symbol dzisiejszych czasów w Marokku: z jednej strony kanał, ulepiony z gliny jeszcze przez Arabów, z drugiej — nowy betonowy, zbudowany przez Francuzów. Kanały takie nieraz ciągną się dziesiątkami kilometrów, niosąc wodę, a więc i życie. Bez wody najżyźniejsza ziemia jest tu pustynią, tak spala wszystko bezlitosne słońce Afryki.

Czasem ukaże się opustoszała kazba, stara twierdza arabska, aby wnet zniknąć z widnokręgu pędzącego samochodu. Na wieżach tych przeważnie już ruin widać zawsze duże gniazda, a w nich rodzonych braci naszych poczciwych boćków. Jak wiadomo, nasze bociany podczas odlotów zimowych kierują się częściowo do Marokka. Dlaczego część pozostaje tu stale, a część wędruje na daleką północ — niewiadomo.

Obserwujemy ciekawą rzecz. Im bliżej gór, tem roślinność staje się obfitsza, wprost przeciwnie niż u nas w Europie. Tłumaczy to się większą ilością wody w okolicach podgórskich, która płynąc dalej, wsiąka i paruje stopniowo nieraz aż do zupełnego zaniku rzeki.

Jednak autobus nasz, mimo niepozornego wyglądu, ciągnął niezgorzej, tak że po godzinnej jeździe dotarliśmy wreszcie do widniejących na horyzoncie gór. Wykute w skale i nieokolone żadnemi nawet barjerami serpentyny zaczęły nas wieść coraz wyżej. Brodaty szofer z niezwykłą brawurą ścinał ostro wiraże, tuż nad skrajem urwiska, aż osiągnęliśmy w ten sposób najwyższe wzniesienie tego pasma górskiego. Podziw brał, gdyśmy patrzyli na naszego kierowcę, bądź co bądź już nie młodego Araba, który z zimną krwią i spokojem prowadził auto z ogromną szybkością tuż nad przepaścią.

Teraz szosa zaczęła raptownie spadać i po chwili mijamy Asni, nie zatrzymując się. Spotyka nas rozczaro-

wanie. Chociaż Francuzi nazywają je miejscowem Chamonix, daleko mu jeszcze nawet do Zakopanego. Kilkadziesiąt ruder arabskich oraz kilka prymitywnych budynków europejskich, hoteli i restauracyj — to wszystko. Po wspaniałych i luksusowych willach urzędników francuskich w Marrakeszu Asni wydaje się nam najwyżej jakimś Poroninem.

Jeszcze kilkanaście kilometrów coraz bardziej urwista szosą i wreszcie stajemy. Czekają tu już na nas zamówione muły oraz kucharz, który, chociaż nie rozumie ani słowa po francusku, jest dla nas niebylejakim nabytkiem. Kucharzował on już wyprawom szwajcarskiej i włoskiej. Jest więc nadzieja, że potrafi coś więcej, niż ugotować narodową potrawę arabską, kus — kus, kaszę jaglaną z mięsem lub rodzynkami. Zna on przytem doskonale góry.

Następuje przeładowanie i nasza karawana rusza zwolna. Wygląda to niezwykle malowniczo. Malutkie muły, objuczone wielkim ładunkiem, lub niosące na grzbiecie nas, strojnych w hełmy tropikalne, otoczonych całą falangą, wydających gardłowe okrzyki, biało poubieranych mulników. Na końcu strojny w fioletowy płaszcz i biały turban na kształt obręczy obejmujący nagą czaszkę, Si Aomar — kucharz.

Karawana posuwała się wąską doliną, głęboko wciętą pomiędzy górami. Z bezchmurnego nieba leciał żar. Rododendronowe krzaki osypane jaskrawo różowemi kwiatami, czy też rosnące samotnie kaktusy nie dawały wielkiego cienia.

Wdole szumiała rzeka. Przepyszna roślinność nad wodą zachwycała kolorami. Im wyżej jednak — roślinność się zmniejszała, zieleń traciła na soczystości. Pokryte kwiatami krzaki przechodziły stopniowo w osty sterczące z trawy, a ta pięła się coraz wyżej i wyżej, wkońcu już tylko kępami. Dalej czerwony wysuszony piach, okrywający zbocza wierchów. A nad tem wszyst-

Jedyna roślinność w skalistych słońcem spalonych górach, oset.
fot. J. Wojsznis.

Na wierzchołku Dżebel Tubkalu. Stoją od lewej do prawej L. Gorski, Z. Korosadowicz i B. Chwaściński.
fot. J. Wojsznis.

Południowa ściana Dżebel Tubkalu. Z siodełka pod szczytem spada urwisty żleb, którym przeszli ścianę polscy alpiniści.

fot. J. K. Dorawski.

Widok z Tubkalu na ośnieżone góry.

fot. J. Wojsznis.

kiem błękitne pastelowe niebo, tak błękitne jak tylko w Marokku być może. I ten niezamącony kolor nieba to chyba najpiękniejsza rzecz w tym kraju.

Po kilku godzinach wąska dolina otworzyła się nagle. Wśród drzew orzechowych stał mały domek. To schronisko Francuskiego Klubu Alpejskiego w Arrund. Oczywiście niezagospodarowane, gdyż za rzadko odwiedzane jest przez turystów. Zatrzymujemy się tu tylko na odpoczynek, ponieważ mamy zamiar założyć obóz gdzieś w głębi gór.

Z zaciekawieniem oglądamy książkę, w której zapisują się przechodzący turyści. Książka taka jest zwykle alpinistyczną kroniką danej grupy górskiej. Niestety została ona założona dopiero parę miesięcy temu. Lecz odrazu mile rzucają się nam w oczy jedyne notatki. Dwie nieudane próby na najwyższy szczyt Atlasu, Dżebel Tubkal (4 165 m.).

I znów idziemy w potokach słońca. Obok niewielka rzeka toczy się wąskim strumieniem, poprzez ogromne pole naniesionego przez siebie żwiru, jakby przypominając, że i ona potrafi być żywiołem.

Dochodzi południe. Upał daje się coraz bardziej we znaki. Temperatura około pięćdziesięciu stopni. Daremnie wzrok wypatruje na niebie choćby najmniejszej chmurki.

Rododendrony i kaktusy zostały za nami. Także akacje i orzechy już się skończyły. Krajobraz zmienia się coraz szybciej. Zjawiają się, zresztą dość rzadko, pierwsze drzewa liściaste, tuje i drzewa jałowcowe. Jedynie barwne osty oraz ogromne kępy kwiatów, przypominających macierzankę, wprowadzały nieco żywsze barwy w zeschniętą trawę. Aż proszą się te kwiaty, żeby zmęczony marszem i spiekotą podróżnik spoczął na nich. Jeden z nas probuje to zrobić. Lecz w tej chwili zrywa się z bolesnym okrzykiem. Tak ładnie wyglądająca kępka

kwiatów ma twarde jak drzewo łodygi, pokryte ukrytemi kolcami.

Zniknęły wreszcie ostatnie drzewa i otoczył nas kraj skalnych turni doliny Ait Mizan. Mimo że śnieg leżał gęsto w żlebach i załomach skalnych, słońce dokuczało tak jak przedtem.

Coraz bardziej stromą ścieżką docieramy wreszcie do opuszczonego niedawno azibu, to jest schronu pasterskiego. Pierwszy kawałek równej ziemi w tej dolinie. Azib to koliba kamienna z małym placykiem, otoczonym wzniesionym z kamieni murkiem.

Ustawiamy tu trzy białe namioty z proporczykami o barwach narodowych. Obok w kolebie Si Aomar zakłada swą kuchnię.

Znalezienie w tak dogodnym dla nas miejscu azibu jest bardzo korzystne. Jak wiadomo skorpjony, które w Atlasie licznie się znajdują, nie znoszą zapachu owiec. Zwierzęta te są zupełnie bezpieczne przed ukąszeniem przez te jadowite stworzenia. I do azibu więc, gdzie owce przebywają przez parę miesięcy, skorpjon się już nie wślizgnie.

Zmierzch zapada tu wcześnie i szybko. Wraz z nadchodzącą nocą robi się chłodno. Choć jesteśmy w Marokku, jednak wysokość 2 500 m, jaką wskazują nasze aneroidy, robi swoje.

W dodatku z za potężnego, ciemniejącego na tle granatowego nieba Dżebel Aguelzimu, zaczęły wybiegać chmury i gnać wraz ze zrywającym się właśnie wiatrem w stronę Dżebel Tiszki.

Jest już późno, idziemy spać. Jutro mamy w planie wyjście na najwyższy szczyt Atlasu, Dżebel Tubkal, trzeba więc dobrze wypocząć po dzisiejszym marszu.

W nocy budzi nas dziwny stuk, jakgdyby uderzenia ogromnych kropel deszczu w ściany namiotu. Jest zupełnie zimno, więc naciągnąwszy sweter, wysuwam głowę z namiotu. Poprostu oczom wierzyć nie chcę. To

grad niezwykłej wielkości. Przed namiotem już zupełnie biało. A kilka godzin temu pociliśmy się w upale.

Grad przechodzi w śnieg, potem znów w deszcz i znów w grad. Do tego dołączają się grzmoty. Wszystko to w różnych kombinacjach trwa do rana i później przez cały dzień do wieczora.

Temperatura spada do trzech stopni ciepła. Leżymy w workach do spania, unieruchomieni w namiotach, wydziwiając geografów, którzy uważają Afrykę za najgorętszą część świata, gdy my tymczasem szczękamy zębami.

Ściany namiotu uginają się pod grubą warstwą śniegu. Tak jak wszystko w Marokku i śnieg ten ma odcień czerwonawy. Jest on bowiem pomięszany z pyłem, który tu naniosła w wichrze burza, idąc od południa, z niedalekiej stąd Sahary.

Mulnicy z poświęceniem okopują nasze namioty rowami, odprowadzającemi wodę. Widok Araba w burnusie i zawoju, świecącego gołemi piętami, wystającemi z sandałów, na śniegu, wygląda dziwnie. A jednak mimo że u nas pojęcie Araba łączy się ze spaloną słońcem pustynią lub palmowemi oazami, ludność, zamieszkująca górskie wioski Atlasu, znosi zimę, krótką wprawdzie lecz zato ciężką i obfitującą w duże opady śnieżne.

Na wyprawie każdy pozornie wolny czas przydaje się. I teraz więc przerysowujemy francuskie mapy i szkice, robione przez poprzednie wyprawy. Różnice dosyć znaczne pomiędzy niemi. Większa ilość szkiców tych okolic zawsze się przyda. Będziemy się przecież rozdzielać na mniejsze grupy, wychodząc na różne szczyty.

Ale wszystko ma swój koniec. Następnego dnia znów pogoda. Nie jest coprawda zbyt ciepło, ale zwykła polska październikowa temperatura. Wczorajsza burza pozostawiła jednak po sobie ślady. Okoliczne wierchy pokryte są gęsto młodym śniegiem. Nawet namioty nasze swemi

obecnie poczerwienionemi ściankami przypominały wczorajszą zawieruchę.

Wyruszamy na Dżebel Tubkal. Piotrowski, Gorski Korosadowicz, Wojsznis i ja. Bierzemy z sobą kilka mułów, któremi można podjechać doliną wgórę i ruszamy W przewidywaniu upałów, jakie poznaliśmy już w Marrakeszu, mamy na sobie tropikalne kaski. Jest jednak dopiero piąta rano, a więc zimno, poubierani dlatego jesteśmy w swetery i wiatrówki. Kontrast ten jest tak zabawny, że śmiejemy się, oglądając się nawzajem.

Droga nasza wiodła stromo wgórę, aby wydostać się na górne piętro doliny Ait Mizan, położone tuż pod największemi kolosami skalnemi tych gór. Od wschodu opadał stromą ścianą Dżebel Tubkal, zasłaniając swemi potężnemi grzędami, położone koło siebie niższe szczyty. Na przeciwległym końcu doliny, obejmując jakby dwoma ramionami dwie śnieżne przełęcze Tizi n'Uanums (3650 m) i Tizi n'Uagan (3700 m), wznosił się Dżebel bu Uszab (3760 m). Zachodnią stronę doliny ograniczał zwarty mur skał z postrzępioną fantastycznie granią. To Dżebel Agudel n'Mzier (4080 m), Dżebel Amgharas n'Igliua (4030 m) i Dżebel Assif n'Timellilt (4040 m).

Koło napotkanego azibu postój. Z kamiennej nory wysuwa się stara pomarszczona twarz pasterza, który patrzy na nas nieufnie. Nie odzywa się jednak ani słowem. Rzucamy mu parę pytań , okazuje się jednak, że nie rozumie ani słowa po francusku.

Odprawiamy mulników zpowrotem, a sami kierujemy się pieszo w stronę przełęczy Tizi n'Uanums. Pogoda typowo tatrzańska. Niby pogodnie, coraz to jednak mgły zasłaniają wiszące nad nami szczyty, aby za lada powiewem wiatru pognać gdzieś dalej. Dochodzimy do gęsto tu już leżących płatów śniegu i niemi wędrujemy wygodniej niż po usuwającym się z pod nóg, męczącym piargu.

Na przełęczy powitał nas lodowaty, idący z południa

wicher. Przycupnęliśmy za kamieniem; było tu znacznie cieplej. Odpoczywamy i posilamy się, czekając aż się wiatr nieco uspokoi. Niestety hulał on sobie nadal w najlepsze, więc chcąc nie chcąc trzeba było iść w wichurze.

Zmitrężyliśmy jednak sporo czasu. Odpoczynek, poza tem w międzyczasie czekanie na jednego z towarzyszy, który się wracał po zostawiony po drodze aparat fotograficzny, sprawiło, że dochodziło już południe. Możliwość noclegu w skale jest bardzo prawdopodobna. Nie przewidywaliśmy tego, jednak na wszelki wypadek zabrałem z sobą celtę Zdziarskiego. Może się w niej jednak zmieścić tylko czterech ludzi. Dr. Piotrowski postanawia więc nas opuścić i powrócić do obozu. Namawiamy go, aby szedł z nami, jednak rozumiemy dobrze powody, które nim kierują. Rzeczywiście lepiej jest, aby było tylko czterech.

Pożegnanie i po chwili już trawersujemy po południowej stronie popod turniami Uanums i Zachodnim Tubkalem łatwym, ogromnym zachodem. Pod nami daleko leżało szmaragdowe, tajemnicze jezioro Ifni. Z jeziora wypływał wąski strumień wody, który, zbierając po drodze potoki spadające z wciśniętych w skały żlebów, rósł i rozszerzał się w dużą rzekę. Obie strony rzeki były obramowane pasmem zieleni, przez które przebijały od czasu do czasu żółte plamy poletek dojrzewającego jęczmienia. Wytężywszy wzrok, można było nawet około pól dojrzeć małe jak pudełka zapałek domki berberskie.

Droga nasza była łatwa lecz uciążliwa. Zachód to się wznosił, to opadał, trawersowaliśmy już około dwu i pół kilometrów poprzez żebra, a końca naszej drogi nie było widać. Potężna, rozłożysta kopuła Kopy Ifni, w której stronę posuwaliśmy się, była wciąż jednakowo odległa.

Wszystkie ściany ociekają wodą z topniejącego śniegu.

Od czasu do czasu wspaniałe siklawy. Minęliśmy już południową ścianę Zachodniego Tubkala, przekroczyliś-

my parę śnieżnych żlebów i za każdem nowem żebrem twierdziliśmy, że to już ostatnie, a wierzchołka Dżebel Tubkalu nie było widać.

Wreszcie ukazał się, opadając ku nam swą wspaniałą skrzesaną południową ścianą. Z tej strony jeszcze nikt na szczyt ten nie wyszedł, choć wszystkie wyprawy o tym problemie wiedziały.

Drogę zagrodził nam ogromny, śnieżny żleb, wiodący gdzieś do góry. Dosyć mieliśmy już tłuczenia się po piargach. Związani linami i rąbiąc czekanami stopnie rozpoczynamy posuwanie się do góry. Na tej wysokości był mróz. Twardy zmarznięty śnieg nie zapadał się pod nogami, szło się więc dość szybko. Wznieśliśmy się w ten sposób kilkaset metrów, gdy żleb nagle rozdwoił się, obejmując odnogami, piętrzącą się nad nami grzędę.

Iść prawem ramieniem, czy lewem? Rozpoczyna się narada. Jest nas czterech, oczywiście więc jest kilka zdań. Ja chcę iść prawem, jeden towarzysz lewem, drugi grzędą. Ostatniemu niestety zabrakło już możliwości, przyłączył się więc zapewne dlatego do zwolennika lewego kierunku. Była ich więc większość, poszliśmy też lewą odnogą. Niedługo się jednak cieszyli. Żleb się zatracał w skałach, uciekliśmy więc na grzędę.

Tu mieliśmy już czysto skalną wspinaczkę, przyczem odkryliśmy nowy rodzaj trudności alpinistycznych w górach Atlasu. Trudności te nie istnieją ani w Tatrach, ani w Alpach.

Mianowicie gdy człowiek wciąga się na rękach na wąską półkę skalną, czy też gramoli się pod przewieszką, odpycha go od skały szerokie rondo kasku tropikalnego.

Pokonaliśmy jakoś szczęśliwie dla siebie i kasków te trudności, gdy nowa przeszkoda zagrodziła nam drogę. Skały grzędy stanęły nagle dęba. Napróżno szukamy jakiegoś obejścia. Wygładzone spaszty nie puszczały. Niema rady, trzeba wracać do prawego żlebu.

Ale i to nie było łatwe. Żleb ten był nawet niedaleko

od nas. Jakieś dwadzieścia metrów, tylko że pionowej skały. Powoli opuszczając się na drobnych występach skalnych, schodzę kominem na dół i jestem już kilka metrów nad śniegiem, leżącym w żlebie.

Teraz olodzoną rynienką próbuje zejść niżej. Jeszcze z dwa metry opuszczam się, dalej jednak ani rusz. Skały urywają się przewieszonym progiem. Wracam na górę, gdyż w oślizgłej rynience trudno się utrzymać.

Trzeba zjechać na linie. Byłoby to najprostsze wyjście z sytuacji, cóż kiedy mimo najstaranniejszych poszukiwań, nie dało się nigdzie liny umocować.

Musimy się jednak dostać do żlebu, gdyż inaczej czekałby nas jedynie odwrót. Odwrót po tylu godzinach ciężkiej pracy, gdy cel jest już niedaleko. Nie możemy na to pozwolić.

Wojsznis zapiera się silnie w ściany komina i opuszcza mnie powoli rynną, na linie, po której na domiar złego cieknie zimna woda.

Powoli posuwam się na dół, a jeszcze wolniej posuwa się struga lodowatej wody, która, dostawszy się za kołnierz, wolno spływa poprzez całe moje ciało aż do pięt. Zgrabiałemi rękoma zapieram się o ściany wąskiej rynny. Wreszcie znalazłem się na dole w śniegu zadowolony, że skończyły się te tropikalne afrykańskie przyjemności, przy których mało palców u rąk sobie nie odmroziłem.

Za chwilę byli już przy mnie Gorski i Korosadowicz. Tylko Wojsznis został na górze. Jego już nie miał kto opuścić na linie.

Ale i na to znalazł się sposób. Wchodzę na ramiona Korosadowicza i opierając się o skałę, wyciągam ręce do góry, podtrzymując nogi schodzącego Wojsznisa. Oczywiście tak skomplikowana żywa drabina nie była bezpieczna. Mogliśmy w każdej chwili stracić równowagę i polecieć wówczas po stromym zlodowaciałym śniegu wdół.

To też Gorski, wyszedłszy nieco wyżej i wkopaw-

szy się w śnieg, na głęboko wbitych czekanach pozakładał liny, do których byliśmy przywiązani.

Opuszczam powoli ręce, aż Wojsznis postawił nogi na mych ramionach. Teraz już szybko zsunąwszy się z nas dwóch, skoczył na śnieg.

Znów stopień za stopniem pniemy się wgórę przy metalicznych dźwiękach sopli lodowych, spływających ważiutkim strumyczkiem wdół. Coraz częstsze przystanki i coraz dłuższe odpoczynki. Zmęczenie, głód a nadewszystko wysokość czterech tysięcy metrów, na której znajdowaliśmy się poraz pierwszy, wyczerpywały nas. Jednak zacięliśmy się. Nocujemy po drodze, a wyjdziemy na szczyt. Dość szeroki dotychczas żleb, zamienił się w stromszą i węższą gardziel. Słońce tu nie dochodziło nigdy, śnieg stał się odrazu sypki i kopny.

Wolno wyciągam nogę zagłębioną po kolano w śniegu i z wysiłkiem stawiem wyżej. Wówczas łapię oddech. Co kilkadziesiąt kroków zmieniamy się w prowadzeniu. Posuwanie się wydeptanemi już śladami jest bez porównania mniej męczące.

Na szczęście grań była już niedaleko. Poprzez niewielki nawis wydostaliśmy się na nią, płaską, i ośnieżoną Na prawo, jakieś siedemdziesiąt metrów od nas, wznosił się wierzchołek Dżebel Tubkalu.

Krzyknęliśmy z radości wielkim głosem. Przypuszczaliśmy, że czeka nas jeszcze długa wędrówka granią Szybko więc, jak tylko nasze siły pozwalały, idziemy już granią w stronę wierzchołka.

Wierzchołek. Sciskamy sobie dłonie. Jesteśmy na najwyższem wzniesieniu Afryki północnej (4165 m), dokonawszy nań pierwszego wyjścia południową ścianą. Ze wszystkich stron widok na góry. Na południu pasma górskie stopniowo maleją, przechodzą w pustynne piaski Sahary.

Jest już późno. Godzina szósta. Nie uśmiecha się nam nocleg w skale w przemoczonych ubraniach. Zwłaszcza

teraz, kiedyśmy już wyszli na wierzchołek. Zbiegamy więc szybko łatwą granią na przełęcz Tizi n'Tubkal (4.010 m), a stąd wdół, wykorzystując płaty śniegu, po których doskonale przy pomocy czekana można zjeżdżać. Gdy śnieg się skończył, mozolnym piargiem w zmroku nadchodzącej nocy zeszliśmy na górne piętro doliny Ait Mizan.

Na trawie koło potoku rozsiedliśmy się, gotując herbatę. Nad nami wznosił się Dżebel Tubkal. Choć sam wierzchołek był schowany w głębi, masyw wierchu wybiegał aż do nieba ogromną czarną plamą. Patrzyliśmy nań z uczuciem triumfu. Dokonaliśmy pierwszego przejścia południowej ściany, ściany dziewiczej, której nikt dotąd nie przeszedł.

Świecąc latarkami, ruszyliśmy wdół, gdzie po paru godzinach ujrzeliśmy światełka naszego obozu.

NA AFRYKAŃSKICH KOLOSACH.

Nieznany teren ma dla każdego szalony urok. Po odpoczynkach następowały zaraz nowe wyprawy, na inne szczyty. Odkryto szereg grani i dolin, nieoznaczonych nietylko na mapach, gdyż są one dla Marokka dotychczas opracowane w zbyt dużej podziałce, lecz nawet na szczegółowych szkicach, robionych przez poprzednie wyprawy. Każdy dzień przynosił jakieś odkrycie.

Wkońcu po doszczętnem wyeksploatowaniu całej okolicy obok naszego obozu, przenosimy się dalej, wyżej w dolinę Ait Mizan. Jest nas tylko dziewięciu, gdyż dr Piotrowski musiał wracać już do kraju. Z żalem żegnaliśmy miłego towarzysza.

Z Gorskim i Wojsznisem idziemy naprzód, aby znaleźć odpowiednie miejsce pod obóz. Bierzemy z sobą muły, które dźwigają na sobie część bagażu.

Nie jest to łatwa rzecz rozbić obóz. Przedewszystkiem trudno jest znaleźć w wysokich i skalistych górach kawałek płaskiego i poziomego miejsca, gdzie mogłyby się pomieścić aż trzy duże namioty. Poza tem pożądane byłoby, aby rozbić namioty nie na niewygodnym do spania twardym piargu, lecz możliwie na trawie lub przynajmniej ziemi. Z drugiej strony, aby zmniejszyć podejście do szczytów, chcielibyśmy założyć obóz jak najwyżej. Jednakże im wyżej, tem stoki doliny są bardziej strome i skaliste.

Idziemy więc wolno ścieżką, robiąc wypady na prawo i lewo w poszukiwaniu jakiegoś dogodnego miejsca

Napróżno jednak. Przeszukując w ten sposób okolicę, dochodzimy wreszcie do azibu Uanums tego samego, któryśmy mijali, idąc tydzień temu na Dżebel Tubkal. Jest on teraz już opuszczony przez pasterzy. Dalej iść nie warto, gdyż można tu się doskonale zagospodarować Wyrównujemy czekanami ziemię i wybieramy co większe kamienie, gdyż w obozie tym mamy przebywać przeszło tydzień. Noclegi muszą być wygodne i dawać maksimum wypoczynku.

Upał nieznośny. Zwykłe kopanie ziemi męczy nas, więc co chwilę musimy pracę przerywać i odpoczywać.

Wreszcie miejsce przygotowane. Rozbijamy swój namiot, w którym w trójkę śpimy i czekamy na resztę towarzyszy. Tymczasem nadbiega mały obłoczek i po chwili wali grad. Temperatura się oziębia. Naciągamy swetry i wiatrówki. Po paru minutach znów upał.

Raptowne skoki temperatury, dochodzące nawet na szczytach do kilkudziesięciu stopni, to jedna z właściwości Atlasu. Dlatego też kask tropikalny i sweter, to nieodłączne części ekwipunku, który zabiera się na szczyty.

Po południu przybywa nasza karawana i zaraz cała Ait Mizan znów rozbrzmiewa mową polską, ściśle mówiąc gwarą taternicką, to znaczy bynajmniej nie salonową. Całe szczęście, że zarówno nasz kucharz, jak i mulnicy o pięknych długich imionach, a mianowicie Si Aomar ben Ali ibn Said, Ibrahim ben Mohammed ibn Hażu i Lahssen ben Abd er Hmen ibn Lahssen, a tembardziej wszystkie okoliczne Dżeble, to jest mówiąc po polsku szczyty, nie rozumieją ani słowa.

Wreszcie nadchodzi wieczór. Natychmiast po zachodzie słońca robi się zimno. Zachód następuje tu dużo wcześniej niż w Polsce przedewszystkiem ze względu na mniejszą odległość od równika, a po drugie dlatego, że jesteśmy zewsząd otoczeni wysokiemi górami. Wysokość trzech tysięcy metrów nad poziomem morza daje się odczuwać.

Si Aomar, chociaż najbardziej postępowy ze swych towarzyszy, jako że przydomek Si oznacza tu człowieka umiejącego pisać i czytać, jest jednocześnie najbardziej pobożny. Jak zwykle co wieczór, tak i teraz wyłazi na największą wantę i, wznosząc ręce do góry, długo i głośno modli się.

Raz po raz pada na kolana i bije głową o zimny kamień. Ibrahim i młody Lahssen stoją po środku obozu i wpatrują się w księżyc. Półgłosem i monotonnie śpiewają swoje modlitwy. Wreszcie i oni idą spać, tylko długo jeszcze widać postać Si Aomara na wysokim głazie, kiwającego się pobożnie.

Pogoda w Atlasie ustaliła się, to znaczy w dzień mamy upał dochodzący do sześćdziesięciu stopni Celsjusza, a w nocy woda przed namiotem zamarza. Deszczu ani na lekarstwo. Widocznie mamy szczęście, bo bawiący tu przed nami świetny alpinista niemiecki Kröner pisał, że w grupie tej ciągle leją deszcze. Wogóle w Atlasie mamy sporo niespodzianek, na szczęście przeważnie miłych.

Przedewszystkiem woda. Według tegoż Krönera wody w Atlasie przeważnie niema, co zresztą stoi w sprzeczności z wielką ilością deszczów opisywanych przez niego. Poza tem te niewielkie ilości wody, mające się tu znajdować, zupełnie się ponoć nie nadają do picia. Niewielka ilość wypitej wody miała sprowadzać natychmiastowy tyfus, czy też inną chorobę. Tymczasem wody tu pod dostatkiem. W każdym żlebie, w każdym załomie skalnym leży śnieg, z którego wdole tworzą się potoki. Od czasu do czasu znajdują się w dolinach wodniste młaki, zupełnie tak jak w Tatrach. Pijamy tę wodę codzień i to w znacznych ilościach i jakoś jesteśmy zdrowi.

Z potokami mieliśmy z początku zabawne przygody Wybierając się któregoś dnia z Wojsznisem na jeden ze szczytów, zerwawszy się wcześnie rano, wyruszyliśmy z obozu. Przeskoczywszy po paru kamieniach po-

tok płynący dnem Ait Mizan, po chwili byliśmy na przeciwległym stoku doliny.

Powrót do domu nastąpił pod wieczór. Stojąc w miejscu, gdzie rano przekroczyliśmy potok, stwierdzam obecnie absolutną niemożność dokonania tego samego. Zamiast niewielkiego strumyka rwie tu groźna, górska rzeka, rozbryzgując się o olbrzymie głazy, zalegające jej łożysko. Cóż się okazało? Oto słońce, grzejąc swemi promieniami płaty śnieżne, leżące na zboczach wierchów, roztapiało je, a te zkolei wydatniej zasilały wodą potoki

Gdy nadchodziła noc, mróz ścinał nadtajały śnieg i nad ranem znowu sączył się tylko mały strumyczek.

Długo trwało poszukiwanie brodu. Wkońcu znaleźliśmy przejście.

Zabawniejszą jeszcze przygodę miała inna grupa. Ona także nie mogła wrócić swą poprzednią drogą, gdyż woda była zą duża. Znaleźć dogodniejszego miejsca nie można było, przejście zaś wprost przez wodę groziło porwaniem przez spieniony nurt, no i oczywiście roztrzaskaniem o sterczące głazy.

Po związaniu się więc linami i zabezpieczeniu jak na stromej ścianie górskiej, rozpoczęto skoki przez wodę. Odległość była zbyt wielka. Każdy pokolei zażył gruntownej i zimnej kąpieli.

Nagłe zmiany temperatury miały sprowadzać u wszystkich alpinistów tu przebywających ciężkie zaziębienia. Jak dotychczas to nikt z nas, nie licząc krótkotrwałego przeziębienia Golcza, jeszcze poważnie nie chorował.

Jedyne niebezpieczeństwo narazie zagrażające nam ze strony Atlasu, to — skorpjony. Wielkie, dochodzące do dziesięciu centymetrów, wylegują się pod nagrzanemi kamieniami, oczekując na swe ofiary, które zabijają ogonem zaopatrzonym w żądło z jadem. Chodzimy zawsze w butach, więc nas to nie przestrasza, jednakże codziennie rano oglądamy starannie wnętrza butów, pozostawionych przed namiotem.

Coprawda skorpjon nie powinien wejść do azibu, jednak na wszelki wypadek robimy to, gdyż czasem taka bestja potrafi ulokować się w trzewiku.

Dotychczas jednak uchroniliśmy się od skorpjonów szczęśliwie. Jeden z nas tylko, poza tem bardzo odważny teoretyk i ideolog alpinizmu, znalazł u siebie w bucie jakiegoś wielkiego „gada", co ogromnym i przeraźliwym krzykiem natychmiast wszystkim obwieścił. Okazało się jednak, że to zwykły, poczciwy — znany bardzo dobrze w Polsce — żuk gnojownik.

Mieliśmy też w Atlasie niespodzianki alpinistyczne, dowodzące, jak pobieżnie były te góry zwiedzane przez naszych poprzedników.

Szereg ścian, uchodzących za najpoważniejsze problemy alpinistyczne w Atlasie, okazał się kupą piargów. Z drugiej strony — zupełnie nieznane, nigdzie nawet niewspomniane ściany i granie, przy bliższem poznaniu Atlasu okazały się przedmiotem ciężkich i wspaniałych wypraw.

Przedewszystkiem wybraliśmy się we dwójkę z moim przyjacielem na Dżebel bu Uszab, aby przejść jego słynną i rozreklamowaną wschodnią ścianę. Nawiasem mówiąc, przyjaciel mój jest z zamiłowania archeologiem. Dostał on od jakiegoś innego archeologa z Casablanki — jako że ich jest tylu na świecie, iż wszyscy się znają — dokładniejszą mapę tych okolic, gdzie obecnie przebywamy. Na mapie tej, w okolicy jeziora Ifni, dużego i jedynego jeziora w Atlasie, gdzie było dotychczas zaledwie kilku Europejczyków, nie licząc legji cudzoziemskiej, znajdowało się pięć tajemniczych, równoległych czerwonych kresek, nakreślonych ręką tegoż archeologa z Casablanki.

Otóż przyjaciel mój ubrdał sobie, że te pięć czerwonych kresek, to musi być wspaniałe stanowisko neolityczne, czy też zgoła nawet z paleolitu. Na nic nie pomogły moje perswazje, że równoległe kreski na mapie, jak mnie w politechnice uczyli, są to zwykłe błota, co na-

wet w okolicy jeziora mogło być zupełnie prawdopodobne.

Nieszczęście chciało, że wschodnia ściana Dżebel bu Uszab leży właśnie w okolicy Jeziora Ifni. Poszliśmy więc. Najpierw musieliśmy wyjść na znaną nam już przełęcz Tizi n'Uanums. Potem zeszliśmy na drugą stronę grani do doliny Ifni. Pod nami leżało rzeczywiście wspaniałe, jak na Atlas, jezioro. Wielkie, zielone. Z jeziora wypływał potok Ifni, który ginął gdzieś wraz z zakrętem doliny. Widok ten zresztą był już nam znany, gdyż oglądaliśmy go, idąc na Dżebel Tubkal.

Przed nami wschodnia ściana Dżebel bu Uszab. Wspaniała, wysoka, na siedemset chyba metrów. Zaczyna się wielkim, szerokim, piarżystym żlebem. Wgórze jakieś groźne, piętrzące się skałki.

Do jeziora Ifni dość jeszcze daleko, do ściany blisko. Instynkt taternicki u mego przyjaciela zwyciężył archeologję. Być może, że podziałały też moje łagodne perswazje. Idziemy więc na ścianę.

Narazie nie wiążemy się liną, bo przed sobą mamy tylko piargi. Idziemy i idziemy, aż wreszcie doszliśmy do pierwszych skałek. Stęskniony spinaczki, włażę na skały, lecz towarzysz mój, o kilka kroków zaledwie znajduje mały żlebek, również z piargów. Po skałkach nastąpił wielki taras. Ogromny, jak przystało na wielkie góry, tylko niestety znowu z piargów. Potem, mała ścianka, dość trudna, którą też można było ominąć, potem znów piarżysty taras i wreszcie jakaś skalista grzęda. Niestety grzęda niebawem znów przeszła w piarżystą grań, a po chwili stanęliśmy na szczycie, nie związawszy się liną ani razu. Padła ściana. A my mocno klęliśmy, żeśmy tu przyszli i drapali się po piargach w tak męczącym upale.

Na szczycie mała niespodzianka. Grad przy upale. Słońce świeciło sobie z jednej strony, a z przeciwnej wiatr przynosił nam grad z niewielkiej chmurki.

Nie było to jednak zbyt ciekawe, więc zbiegliśmy szybko na przełęcz Tizi n'Uagan, a stąd do obozu.

Innym powiodło się lepiej. Golcz i Groński przeszli jeszcze jedną, niezwiedzoną ścianę północno-zachodnią Tubkalu, zaś Dorawski ze Szczepańskim zdobyli wschodnią ścianę Dżebel Aguelzim. Ładną, urwistą i przepaścistą grań Dżebel Assif n'Timelliltu przeszli Gorski, Kiełpiński i Korosadowicz.

Na drugi dzień, jak zawsze, odpoczynek. Dzień chodzimy na wspinaczki, dzień odpoczywamy. Niesposób inaczej w afrykańskim upale.

Gdy nie wychodzimy w góry, roboty mamy dość w obozie. Opisujemy nasze przejścia, kreślimy poprawki na mapach, a przedewszystkiem zajmujemy się kuchnią. Okazało się bowiem, że zacny Si Aomar potrafi tylko zmywać naczynia. Zamiast więc on nas, my musimy karmić jego.

Nie jest to rzecz łatwa, ani przyjemna, ugotować obiad dla dziesięciu ludzi. Choć więc nikt specjalnie nie wykręca się od tego, wszyscy są najbardziej zadowoleni, gdy przy patelni stanie Korosadowicz, łączący w sobie obok talentu taternickiego, niemniej wspaniały kunszt kulinarny.

Menu nasze jest dosyć monotonne. Nie jest to jednak wina Kiełpińskiego i moja, którzyśmy jako żywnościowi zakupywali zapasy w Marrakeszu, lecz jedynie konieczność życia obozowego w górach.

Napozór wydawałoby się, że żyjemy bardzo luksusowo. Możemy obiad rozpocząć homarem lub langustami, czy też w najgorszym razie sardynkami, następnie zupa, dwa dania mięsne, jarzyny. Na zakończenie kompot z ananasów lub krem z konfiturami. Potem oczywiście czarna kawa.

Wszystko to jednak konserwy, bajecznie tanio zakupione w Marrakeszu. Okolice, gdzie obecnie przebywa-

my, są niezamieszkałe, cały więc zapas żywności na czas naszego tu pobytu, mamy z sobą.

Konserwy mięsne, których mamy tylko dwa gatunki, szybko się bardzo nudzą w tym upale. Również ostre konserwy rybne, jedzone z sucharami, których używamy zamiast chleba, prędko przestają smakować. Jemy więc chętnie kaszę, ryż, a zwłaszcza owoce. Te ostatnie też oczywiście w konserwach.

Z napojów używamy herbatę, kawę, kakao i ovomaltinę.

Przed wyjściem w góry jest najlepsza ovomaltina, jako najbardziej pożywna. Niestety, niewszyscy ją lubią. Gdy wracamy wieczorem z wyprawy, wszyscy bez wyjątku piją zato niezliczone ilości herbaty.

Do życia obozowego jesteśmy w górach przyzwyczajeni. Nie sprawia nam ono przykrości. Trudniej przyzwyczaić się do upału, a przedewszystkiem do ogromnej ilości much. I żeby to jeszcze jakieś egzotyczne muchy. Ale to zwykłe, domowe muchy, które przywędrowały razem z mułami z dolin. Wewnętrzne ściany namiotu aż czernią się od nich. Przybyło nam jedno nowe doświadczenie. W Ait Mgun zabieramy muślinowe moskitiery.

Po odpoczynku znowu ruszyliśmy w góry. Tak więc w dwa dni po wyjściu na Dżebel bu Uszab, znów szedłem na wspinaczkę. Tym razem wyprawa zapowiadała się ciekawie. Mieliśmy wyjść na dwa potężne, czterotysięczne szczyty: Dżebel Agudel n'Mzier (4080 m) i Dżebel Uenkrim Południowy (4089 m), a następnie przejść niezwiedzoną dotychczas granią na jeszcze jeden czterotysięczny szczyt Dżebel Amgharas n'Igliua (4030 m). Szczyty te już samą nazwą straszyły.

Tym razem szedłem w towarzystwie Gorskiego i Golcza. Wojniszowi zrobił się złośliwy wrzód podskórny na nodze i musiał zostać w obozie.

Droga nasza wiodła najpierw przez przełęcz Tizi n'Uagan, stary szlak komunikacyjny pomiędzy Marrake-

szem a Saharą. Myliłby się jednak ten, coby sądził, że to jakaś szeroka droga jezdna. Jest to bowiem wąska, kręta perć, którą przejść może jedynie człowiek lub muł. Przejście to i obecnie służy tubylcom, stanowiąc jedną z główniejszych arteryj komunikacyjnych.

Odrazu spotkaliśmy jakąś rodzinę arabską, złożoną z męża, żony i małego dziecka, wędrującą z jarmarku w Marrakeszu do Negui. Góralki, w przeciwieństwie do kobiet z dolin, nie noszą zasłon, mogliśmy więc dokładnie widzieć jej tatuaż na twarzy. Na czole i brodzie coś w rodzaju jodełki pionowej. Między oczami dwie pionowe kreski. W ten sposób tatuują się prawie wszystkie kobiety arabskie i berberskie w Marokku, przyczem każde plemię posiada swoje własne, specjalne znaki, mało się zresztą różniące pomiędzy sobą. Czasem można spotkać w Casablance lub Marrakeszu wytworną panią, ubraną po europejsku, której jedyną oznaką pochodzenia, według tutejszych poglądów niższego, są właśnie te, nie dające się zniszczyć, znaki na twarzy.

Spotkana przez nas kobieta, jak przystało na miejscową elegantkę, miała ręce i stopy barwione henną na czerwonawo. Mimo elegancji, wielu bransoletek, ogromnych dziesięciocentymetrowych kolczyków w kształcie kółek w uszach i barwnych chustek na sobie, Arabka ta, jak każda tutejsza góralka, była wprost przeraźliwie brudna i obdarta. Była jakby symbolem egzotycznego południa, a także i wschodu. Błyskotliwość i barwność, a obok tego — brud i nędza.

Nie umieli oni słowa po francusku, więc „rozmowa" z nimi prowadzona na migi była dość męcząca. Zostawiliśmy ich szybko za sobą, podążając dobrem tempem w stronę przełęczy. Na przełęczy przywitał nas ogromny, kilkumetrowy nawis śnieżny.

Tuż nad przełęczą wznosi się Dżebel Agudel n'Mzier. Ruszamy granią. Droga nietrudna, lecz uciążliwa i mozolna. Zmęczeni gorącem wolno posuwamy się naprzód.

Od czasu do czasu widać wysoko wgórze orła, szybującego w powietrzu i wypatrującego ofiarę. Cóż on może tu znaleźć wśród nagich skał i kamieni? Po chwili zagadka się rozwiązuje. Z za załomu skały wypada stadko muflonów, górskich baranów, pierzchając w popłochu.

Jednak orłów w Atlasie jest niewiele. Rzadko je tu spotykamy. Zato bardzo dużo ptaków, podobnych do naszych kruków. Wielkie, czarne, jedynie dzioby mają czerwone. Poza tem ćwierkają wesoło, jak wróble. Fruwają fenomenalnie zwinnie. Dłuższy czas przypatrywaliśmy się loopingom i innym akrobacjom, wyczynianym przez te wielkie ptaki.

Wkońcu wyszliśmy na wierzchołek. Zupełnie czyste niebo pozwalało dostrzec z jednej strony daleki Atlantyk, z drugiej masyw saharyjski Sirua.

Zostawiamy tu worki i — krótki wypad granią na sąsiedni, nieco z boku położony, Uenkrim Południowy. Wielka kopulasta bałucha. Wracamy znowu na Agudel n'Mzier, skąd dopiero mamy rozpocząć taternicką robotę. Schodzimy granią, wprost na przełęcz pomiędzy Dżebel Agudel n'Mzier i Dżebel Amgharas n'Igliua. Grań ta, dotąd wprost nierobiona, okazuje się zaledwie dość trudna. Już myśleliśmy, że cała nasza droga będzie równie nietrudna, aż stanęliśmy na przełęczy; tu dojrzeliśmy piętrzącą się nad nami grań Dżebel Amghars n'Igliua. Zaczynała się potężną, skrzesaną turnią, opadającą ku nam dachówkowatą, płytową ścianą. Przez chwilę myśleliśmy nawet, że trzeba będzie zawrócić, gdy zboku dojrzeliśmy wąski komin, wcinający się pomiędzy pierwszą, a następną turnię. Jest więc wejście na kant grani. Co dalej będzie, zobaczymy, chyba jakoś damy radę.

Zdejmujemy buty w oczekiwaniu ciężkiej wspinaczki i nakładamy trzewiki do wspinania, zwane w taternickiej gwarze kleterkami. Wiążemy się liną. Prowadzić mamy na zmianę. Mnie przypada zaszczyt rozpoczęcia drogi. Biorę młotek, parę haków i — do góry.

Komin jest dość ciężki, lecz jakoś tam posuwamy się coraz wyżej. U samej góry widać zaklinowany w nim ogromny blok skalny. Podchodzę bliżej, przeczuwając trudną przewieszkę, gdy wtem spostrzegam popod głazem wąskie przejście, zaledwie pozwalające się przesunąć. Zmieściłem się jakoś, nie zdjąwszy nawet plecaka. Moim towarzyszom poszło gorzej. Grubszy ode mnie Gorski i większy Golcz nie mogli tak łatwo zmieścić się w szczelinie. Jednakże zdjąwszy worki, wbrew wszelkim prawom fizyki pokonali wąskie przejście.

Wychodzimy na grań i idziemy teraz jej ostrzem. Po pewnym czasie grań urwała się. Na wszystkie strony szukamy ześcia, lecz bezskutecznie. Trzeba zjechać na linie. Zakładamy naszą czterdziestometrową linę i każdy z nas pokolei opuszcza się na dół, na duży piarżysty taras.

Tu dalszą drogę narzuca nam już teren. Piętrzącą się przed nami turnię przerywają trzy kominy. Idziemy środkowym, jako że to „najhonorniej" jest iść środkiem ściany. Po przejściu komina znowu ostra, wąska grań, potem trawers, wreszcie ścianka zbudowana z ogromnych, zaklinowanych bloków, spiętrzonych jeden na drugim.

„Zleci na mnie, czy nie zleci" — myślę, włażąc na najniższy. Jednakże przy tylu setkach ton, moje sześćdziesiąt kilka kilogramów niewiele zaważyło, tak że, choć z trudnością, znów znalazłem się na grani.

Przed nami wznosił się teraz niższy wierzchołek Amgharas n'Igliua. Golcz idzie pierwszy. Zdołu obserwuję, jak się biedak męczy na jakiejś potwornej przewieszce. Pokonał ją wreszcie. Po głośnem sapaniu poznaliśmy odrazu, że przewieszka musi być bardzo trudna.

Pomiędzy dwoma wierzchołkami znajduje się głęboka przełęcz. Zejść wprost na nią niepodobna, bowiem niższy wierzchołek opada w stronę przełęczy kilkudziesięciometrową przewieszką. Zjechać — też niepodobna. Skała tak potwornie krucha, że zupełnie niema gdzie wbić haka.

Nie można też znaleźć odpowiedniego bloku do zaczepienia liny.

Obchodzimy więc miejsce to bokiem i po chwili jesteśmy tuż pod wielką szczytową ścianą głównego wierzchołka. Podchodzimy z nieufnością. Zdaleka wygląda ona tak groźnie, że nawet śmiesznem się wydaje przypuszczać, że tam przejdziemy. Cały mozolny dzień byłby zmarnowany. Już poraz drugi dzisiaj zdawało się, że grań zwycięży. Jednakże dużo już ścian w życiu widziałem i często ściana, wyglądająca zdaleka na niemożliwą do przejścia, przy bliższem obejrzeniu odsłania swe ukryte rysy, kominy, zacięcia.

I tu okazało się to samo. Jakaś ryska, przykryta ogromnym, jakby przylepionym do ściany głazem, pozwalała przypuszczać, że może coś z tego będzie. Byleby do niej dotrzeć.

Po czarnych, silnie nachylonych dachówkowatych stopieńkach trawersuję z przełęczy w stronę tej rysy. Po chwili jestem tam. Jedna ręka i jedna noga w niej się mieści — to zupełnie wystarcza. Rysa jest tak wąska, że klinując jedną ręką nad drugą i to samo robiąc z nogami, przechodzę ją całą. Ciało wywieszone nazewnątrz. Wkońcu wydostaję się na łatwiejsze już stopieńki. Na prawo widać dobrze postrzępiony komin, którym już łatwiej będzie wyjść na szczyt. A więc grań zrobiona.

Szybko wychodzimy kominem na wierzchołek i tu leżymy, grzejąc się ostatniemi promieniami zachodzącego słońca. Nie można jednak odpoczywać za długo; czas już wracać. Tłuc się po nocy i narażać na biwak w skale nie warto.

Łatwą już drogą schodzimy na przełęcz pod Dżebel Assif n'Timellilt. Stąd wdół, łatwym, piarżystym żlebem do małej, bocznej dolinki. Przypominają się czasy Chałubińskiego w Tatrach. Zejście z przełęczy, choć zupełnie łatwe, dotychczas nie było jeszcze robione; my pierwsi

tędy schodzimy. Czegoś podobnego nie spotka się już w Tatrach, ani w Alpach.

Gdy zeszliśmy na dół, księżyc był już wysoko, rzucając cudne odblaski na śnieg zalegający całą dolinkę. Naokoło nas strzępiły się w fantastycznych zerwach czarne, nieznane turnie i granie. Szliśmy dolinką — zmęczeni, podziwiając tyle już razy widziany, choć tym razem zupełnie dla nas nowy, krajobraz górski, — zadowoleni i szczęśliwi. Pozostawiliśmy za sobą jeszcze jedno piękne przeżycie.

W DOLINIE IMMINEN.

Panujące we dnie upały zachęciły nas do opalania się, Ostrożni, pomni na zdradzieckie słońce południa, zlewając się obficie oliwą, leżeliśmy porozbierani nad potokiem.

Temperatura dochodziła do sześćdziesięciu stopni Celsjusza powyżej zera. Żar lecący z nieba osłabiał i obezwładniał, to też po krótkim czasie wycofaliśmy się do obozu, gdzie i tak zresztą wzywały nas głośne uderzenia w patelnię, imitującą gong, na obiad.

Rozpoczęło się teraz układanie planów na jutro: Grońskiego i Kiełpińskiego namówiliśmy na pd.-zachod. grań Amgharas n'Igliua, którą wczoraj z tego szczytu odkryliśmy. Górski, polujący na czterotysięczne olbrzymy, postanowił iść na Tubkal Zachodni, na którym nikt z wyprawy jeszcze nie był.

Dorawski, Golcz, Korosadowicz i ja mieliśmy zaatakować północno-wschodnią ścianę Dżebel Amgharas n'Igliua.

Wojsznis, ze swoim wrzodem na nodze był narazie unieruchomiony. Szczepański po rannem opalaniu się dostał gorączki i nie czuł się na siłach, aby następnego dnia wyruszyć z obozu. Tworzyli więc oni na jutro tak zwaną przez nas „izbę chorych".

Niespodziewanie jednak, zwłaszcza dla mnie, „izba chorych" powiększyła się nazajutrz o jednego delikwenta. Gdy o piątej rano do namiotu naszego wpełznął Korosa-

dowicz i silnem pociągnięciem za nogę, zastępującem całkowicie dzwonek budzika, oznajmił czas wstawania, poczułem na całem ciele ogień. To spalona wczoraj skóra dawała dopiero dzisiaj znać o sobie. Z bólem wydostałem się ze śpiwora i wyszedłem na zewnątrz. Nie, stanowczo nie mogłem iść na żadną poważniejszą wyprawę. Przy najmniejszym ruchu całe ciało boleśnie paliło. Tak zemściła się na mnie wczorajsza nierozwaga.

Towarzysze tymczasem wyruszyli z obozu. Nam trzem zaś w kilkanaście godzin później przypadł zaszczyt kolejnego witania wracających grup.

Obu grupom, które wyruszyły na Amgharas n' Iglina, poszczęściło się jednakowo dobrze. Jedni przeszli grań urwistą, postrzępioną w fantastyczne kształty, drudzy znów ścianę skrzesaną i groźną. Obie te drogi okazały się bardzo trudne. Będą mieli cudzoziemscy alpiniści niemało kłopotu z powtarzaniem w Atlasie polskich przejść.

Prawie wszystkie ściany i granie wierzchołków otaczających dolinę Ait Mizan, pokryliśmy siecią polskich przejść. Nie mamy tu już nic do roboty.

Po tygodniowym pobycie w Ait Mizan w azibie Uanums na wysokości 3.100 metrów postanawiamy przerzucić się do doliny Imminen. Pakujemy worki, zabijamy skrzynie z żywnością i rozpoczyna się ładowanie mułów. Poczciwe ośle syny są bardzo łagodne; mamy jednakże wśród nich jednego przyrodniego ich brata, właściwie mówiąc nietyle przyrodniego, co odwrotnego. Jednem słowem, trudno określić ten rodzaj pokrewieństwa. Dość, że muł ten, jak przystało na potomka mustanga jest większy od innych i pełen temperamentu. Naładowanie nań ciężkich skrzyń, to sztuka nielada.

Przedewszystkiem Ibrahim, Lahssen, Si Aomar i kilku innych jeszcze mulników, specjalnie sprowadzonych dodatkowo na nasz przemarsz, wyprowadziło go z obozu na nieco większą przestrzeń, pozbawioną głazów i zarzuciło mu płachtę na głowę. Teraz dwóch mulników sil-

nie trzyma go przy pysku, reszta zaś umieszcza na specjalnej uprzęży skrzynie. Załadowali — zdawałoby się, że cała historja skończona. Tymczasem, ledwo mułowi zdjęto ze łba zasłonę, jeden mulnik poleciał w jedną stronę, drugi w inną, a samo zwierzę, zrobiwszy parę susów w górę i potrząsnąwszy grzbietem, rozrzuca nasze skrzynie wokoło — i z najobojętniejszą miną zaczyna spożywać sobie trawkę.

Widać zwykła to historja, dlatego z pewnością mulnicy nasi sprytnie wyprowadzili bydlę z obozu. Tam porozbijałoby skrzynie o sterczące głazy. Za drugim jednak razem muł zrozumiał, że człowiek bardziej jest uparty od niego, dał więc spokój i pozwolił się załadować. Od tej chwili był już cierpliwy.

Ruszamy wdół stromą ścieżyną. Za każdym mułem idzie mulnik i w bardziej spadzistych miejscach przytrzymuje go za ogon. Karawana coraz bardziej się rozwija. Na przodzie muły, z tyłu zaś nasza ekipa z trudem nadążająca za temi silnemi i zwinnemi zwierzętami. Podziwu godne jest naprawdę, jak muł daje sobie radę w górach. Z wielką zręcznością przesuwa się pomiędzy głazami, zawsze znajdując najwygodniejsze miejsce do przejścia. Na ostrych przepaścistych serpentynach robi zwrot w miejscu i idzie dalej po śliskich głazach.

Pogoda jak zwykle wspaniała. Schodzimy coraz niżej, dosięgamy już zasięgu drzew. Od czasu do czasu ukazuje się wielkie drzewo jałowcowe lub też wspaniała tuja. Wielkie tłuste koniki polne, którym z wielkiego dobrobytu nawet skakać się już nie chce, wolno schodzą nam z drogi.

Po drodze minęliśmy u zbiegu dwu dolin znajdujące się Sidi Szamszarusz. Jest to przez synów proroka czczone miejsce wiecznego spoczynku jakiegoś marabuta. Puste i niezamieszkałe, bo dość wysoko położone, jest właściwie niczem innem, jak tylko doliną usianą mnóstwem kopczyków ułożonych z kamieni. Pojedyńcze kopczyki tego

rodzaju występują zresztą w wielu miejscach i w innych pasmach górskich, będąc wyrazem kultu dla duchów, zamieszkujących na szczytach. Do niedawna w Sidi Szamszarusz mieszkał w jakimś azibie pewien mokkadem. Tu też zmarł. Tego rodzaju stopnie religijne jak marabut czy mokkadem, o tyle trudne są do przetłumaczenia, że nie mają w hierarchji kościelnej odpowiedników. Niezbyt zgodne z czystą doktryną mahometanizmu, czerpią swe niewątpliwie duże znaczenie raczej z moralnej potęgi, jaką jest przewodzenie w organizacjach o charakterze częściowo podobnym do naszych zakonów świeckich.

Na samym dole zatrzymujemy się w schronisku Arrund. Sprowadzamy szeika z najbliższej wioski, który jest jednocześnie stróżem schroniska. Jest to pulchny staruszek z długą, białą, patrjarchalną brodą o dobrodusznem spojrzeniu. Właściwością Arabów jest, że im bardziej taki wygląda solidnie, tem większym jest oszustem. Oszustwo zresztą i cygaństwo nie są bynajmniej uważane przez Arabów za wady. Wprost przeciwnie nawet — są to zalety, dowodzące większej lub mniejszej inteligencji.

Szeik nasz zupełnie nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Za trochę jaj i chleba zażądał od nas takiej sumy, za którą prawdopodobnie możnaby kupić wszystkie kury w jego wsi. Gdy wreszcie dostał jedną piątą żądanej sumy, co i tak było przynajmniej wielokrotnie przepłacone, skorzystał z naszej nieuwagi, porwał część kupionych przez nas jaj i kazał je córce odnieść do wioski. Mulnicy, widząc nas szukających dokonanych zakupów, opowiedzieli całą historję. Poważny starzec oczywiście wyparł się swego uczynku i, chwytajac się za czoło i brodę, wzywał Mahometa oraz wszystkich innych marabutów i mokkademów na świadków.

Nieszczęście chciało, że biedak zgubił otrzymany od nas banknot dwudziestofrankowy. Banknot ten znalazł jeden z nas. Oczywiście nie chcieliśmy oddać mu pienię-

dzy, dopóki nie dostaniemy zpowrotem swojej własności. Przysięgający się dotąd na swą uczciwość szeik, zaczął wołać na córkę, która w tym czasie dochodziła już do wioski. Wszystko znalazło się w należytym porządku, a chytry Arab, któremu nie udała się sztuczka, próbował nas naciągnąć jeszcze pod różnemi innemi pretekstami.

Trzeba było przejść do środków energiczniejszych. Choć alpinista niemiecki Kröner, bawiący tu dwa lata temu, dopiero, jak pisze, po użyciu czekana doszedł z szeikiem tym do porozumienia, my postąpiliśmy łagodniej. Wzięło się poprostu go za ramiona, odwróciło i w sposób wykluczający wszelkie wątpliwości pokazało, żeby sobie poszedł. Orazu zaczął salamować i kłaniać się w pas.

Ruszyliśmy dalej. Po drodze przechodzimy wioskę Imulę. Maleńkie, prostokątne chatki, ulepione z gliny, są położone jedna tuż nad drugą, z reguły na zboczu górskiem. Na dnie doliny, koło potoku, znajduje się zawsze trochę urodzajnej ziemi. Ziemi tej jest tak mało, że nie można jej marnować i stawiać tam domów. W lepiankach zamiast okien — dziury w murach.

Na płaskich dachach usadowili się tłumnie mieszkańcy, patrząc na nas nieufnie. Uliczki wioski kręte i strome opustoszały. Niewiadomo dlaczego wszystko na nasz widok pierzchnęło. Przed jednym z domów widać nawet mokrą bieliznę, porzuconą przez piorące kobiety.

W jednakowych tropikalnych hełmach z mułami załadowanemi jakiemiś tajemniczemi, jednokolorowemi workami, wydajemy się im może oddziałem wojskowym. Przypomniały im się niedawne jeszcze czasy „pacyfikacji" Atlasu przez Legję Cudzoziemską.

Gdy przeszliśmy wioskę i spojrzeliśmy na nią zgóry, zdaleka, wieś znów roiła się od ludzi. Kobiety wróciły do swych zajęć i znów dolatywał nas odgłos kijanek przy praniu bielizny.

Minęliśmy poletka arabskie, które mogą tu istnieć jedynie dzięki wspaniałej, pajęczej wprost sieci kanalików

irygacyjnych i weszliśmy znów w górską dolinę. Stąd na przełęcz Tizi n'Tamatert, a potem do doliny Imminen.

Na końcu doliny, tuż pod łagodną trawiastą przełęczą leżała wioska Taszdirt. Zdaleka widać już było ciemnozieloną plamę drzew orzechowych na czerwonawem tle ugorów.

Zaczyna się dysputa, czy nocować we wsi, czy też gdzieś bliżej łańcucha skalistego, który zamykał z jednej strony dolinę. Niespodziewanie do dysputy wtrącają się mulnicy, tłumacząc, że w wiosce jest brudno i nieprzyjemnie.

Rozbiliśmy więc trzeci obóz naszej wyprawy na dużej łące, podchodzącej prawie pod same góry.

Wysoko, w postrzępionej grani wyodrębniały się cztery szczyty: Dżebel Inghemar (3 895 m), Dżebel Igenuan (3 875 m), Dżebel Likumt (3 910), Dżebel Axual (3 860 m). Gładkie, skrzesane ściany jakby przyzywały ku sobie.

Na drugim stoku znajdowała się wieś. Spoglądaliśmy w tę stronę trochę nieufnie. Dlaczego nasi mulnicy odradzali nam, aby tam rozłożyć obóz? Nieufność nasza wzmogła się jeszcze bardziej, gdy Si Aomar wysłany po jaja do wioski, która odległa była o pół godziny drogi, wrócił po kilku godzinach. Przyciśnięty do muru wyznał, że po jaja był w innej wiosce.

Tego było już zawiele. Postanowiliśmy zbadać tajemniczą wieś, której tak obawiali się nasi mulnicy. Kiełpiński i ja wybraliśmy się do Taszdirtu. Na nasz widok kobiety szybko poznikały z krzykiem w głębi domów, mężczyźni natomiast przyjęli nas niezwykle uprzejmie.

Młody jakiś Arab, sądząc z zamożniejszego stroju, ktoś z arystokracji wioskowej, zaprosił nas do siebie. Natychmiast zjawiła się ogromna miedziana taca z poustawianemi na niej małemi szklaneczkami. Rozpoczęło się rytualne picie herbaty z mięty. Po chwili wjechała na misie pieczona kura w tłustym pieprznym sosie. Tajemnicza wioska okazała się wcale przyjemna. Serdecznie

podejmowani przez młodzieńca siedzieliśmy na tarasie jego domu, gwarząc beztrosko, aż zaniepokojeni towarzysze wybierali się już zbrojnie nas odbijać.

Przy pomocy lornet dojrzeli jednak dwie postacie niearabskie, swobodnie poruszające się na tarasie. Niepokój o nas minął; domyślili się, że jesteśmy tam goszczeni.

Wróciliśmy do obozu i tu w kilka godzin potem tajemnica się wydała.

Już podczas naszej nieobecności przylatywał do obozu jakiś Arab z pretensjami obwieszczanemi niezwykle hałaśliwie. Ponieważ nie znał francuskiego języka, towarzysze nie mogli się z nim rozmówić. Nasi ludzie użerali sę z nim do syta, objaśniając, że to „ot taki śmieszny warjat". Teraz przyszedł znowu, tym razem jednak w towarzystwie kilku innych. Po godzinnej walce na języki, gdy co chwila zdawało się, że już chwycą się za brody, nastąpiło zawieszenie broni. Krzykiem spracowane płuca odpoczywały, a Ibrahim ben Mohammed, zlitowawszy się nad pokonanym w dyspucie, prosił o dwa franki dla „śmiesznego warjata". Okazało się, że jest to właściciel łąki, który przyszedł z pretensjami o zniszczenie trawy wskutek rozbicia obozu.

Pretensja jego była zupełnie słuszna, więc dziwnem się nam wydało, dlaczego mulnicy ją kwestjonowali, odsyłając biednego pasterza parę razy. Okazało się, że między mieszkańcami wioski Doliny Ait Mizan i Doliny Ait Imminen trwa stan ciągłej waśni. Dlatego mulnicy nasi poprostu bali się iść do Taszdirtu, teraz zaś pod osłoną białych cudzoziemców postanowili się odegrać, znęcając się nad biednym właścicielem łąki.

Antagonizmy i porachunki takie całych nieraz szczepów świetnie umieli wykorzystać Francuzi przy opanowywania Marokka. Całe połacie kraju często bez walki oddawały się pod ich władzę, za cenę możności przetrzepania skóry innym.

Ubawieni przygodą poszliśmy spać. Obóz nasz był

położony na wysokości około 2 100 m. Niższe położenie niż azibów Uanums a także i inny kierunek doliny sprawiły, że noc była gorąca i parna. Jeszcze poprzedniej nocy spaliśmy w sweterach i śpiworach, teraz zmęczone płuca daremnie szukały nieco wilgoci w dusznem powietrzu. Noc była cicha, najmniejszy wiatr nie zakłócał spokoju. Tylko cienki brzęk komarów męczył i denerwował swą natrętną monotonją.

Rano formujemy ekipę: Dorawski, Golcz, Korosadowicz i Chwaściński. Układamy plan. Wychodzimy jednego dnia rano, atakujemy północną ścianę Likumtu, schodzimy potem na przełęcz, tu biwakujemy i następnego dnia próbujemy zdobyć północną ścianę Axuala. Reszta towarzyszy, za wyjątkiem Wojsznisa, który na skutek chorej nogi musi stale siedzieć w obozie, wybiera się na inne potężne szczyty: Dżebel Inghemar, Dżebel Taszdirt i Dżebel Igenuan.

Następnego dnia wyruszamy o świcie z obozu, obładowani ciężkiemi worami. Liny, haki, celty Zdziarskiego do biwakowania, żywność na dwa dni.

Choć słońce stało jeszcze zupełnie nisko, gorąco było już bardzo wielkie. Wąwóz, którym posuwaliśmy się do góry, dusił ckliwym zapachem nagrzanych łopianów i ostów. Z każdym jednak metrem, osiąganym przez nas, bujna roślinność malała, nikła i wkrótce już pchaliśmy się do góry ogromnym żlebem po śniegu, pod którym huczał i rwał potok.

Było już dobre południe, gdy postanowiliśmy żleb porzucić i trawersować popod ścianą. Przez grzędy i żebra, przez nagrzane do żaru od słońca płyty i zacienione progi, ociekające lodowatą wodą ze śniegów, zbliżamy się do szczytu. Coraz bliżej. Zmęczeni afrykańskim upałem idziemy coraz wolniej i wolniej.

Jak zwykle, uskok szczytowy postanowił nam się opierać. Wyglądał groźnie i niesympatycznie. Skała żółta, pełna rdzawych plam wróżyła niezwykłą kruchość.

Poza tem na dole jakaś rysa, na górze komin, ale co w środku? Jak przejść pas potwornych, wybrzuszonych przewieszek? Jedyna rada podejść bliżej i spróbować.

Idziemy w dwie partje. Golcz i Korosadowicz pierwsza, Dorawski ze mną — druga. Jutro ma być naodwrót. Golcz wchodzi pierwszy w ścianę. Czego się tam trzyma — nie wiem, bo formalnie wszystko z pod nóg leci. Jakoś jednak wyciągnął ze dwie długości liny i stanął pod przewieszkami. Korosadowicz doszedł do niego, zaś my z Dorawskim przycupnęliśmy gdzieś pod koniec rysy. W jednem miejscu przerzyna przewieszkę wąska, gładka rysa, właściwie pęknięcie. Golcz włazi tam, lecz skała tak odpycha, że wisząc jedynie na zaklinowanych rękach, ma pomiędzy sobą, a ścianą sporą odległość. Nawet mowy niema, żeby przewieszka dała się pokonać. Schodzi więc.

Rozpoczyna teraz długi trawers, pod całym pasem przewieszek. Skurczony, gdyż tuż nad nim piętrzące się skały nie pozwalają nawet głowy wyprostować, po zupełnie pionowej ścianie, trzymając się jakichś wytrzeszczków, wolno, krok za krokiem, posuwa się.

My na dole siedzimy, a właściwie wisimy zaklinowani w rysie. Mamy emocję, niemniejszą chyba, niż trawersujący nad nami towarzysz. Skała wściekle krucha, a my znajdujemy się właśnie w linji obstrzału. Schować się niema gdzie. Golcz stara się iść jak najostrożniej, a mimo to leci prawdziwy deszcz kamieni. Gramy z niemi właściwie w ciuciubabkę. Trafi, czy nie trafi. Zabawa o tyle jest nieciekawa, że niewielki nawet kamyk, spadający ze znacznej wysokości, uderzywszy w głowę, może ją całkowicie nazawsze unieszkodliwić. Wreszcie dostaję kamieniem, całe szczęście, że niewielkim i to w ramię. Na wiatrówce robi się dziura, a koszula zabarwia się na czerwono.

Wreszcie na szczęście dla siebie i dla nas Golcz trawers zakończył. Wbija hak i z triumfującą miną woła do Ko-

rosadowicza: „chodź"! Ten idzie, a my skwapliwie zajmujemy jego miejsce, położone bardziej z boku, aby przeczekać bezpiecznie, aż on znowu przejdzie trawers. Przeszedł. Potem idę ja i Dorawski i niebawem jesteśmy na szczycie.

Mamy znowu jeszcze jedną piękną ścianę za sobą. Teraz tylko musimy wrócić pod przełęcz, gdzie wypatrzyliśmy kawałek niezłego miejsca pod biwak.

Na przełęczy byliśmy niebawem. Stąd, wypełniony głębokim śniegiem żleb, sprowadził nas wdół. Nieco niżej miejsca, gdzie śnieg zalegający żleb już się kończył, wywieszone skały formowały kolebę o dnie względnie płaskiem i równem.

Po chwili zasyczały nasze maszynki spirytusowe, świecące w zapadającym mroku coraz silniejszym blaskiem. Zapach buljonu drażnił nozdża i podniecał apetyt. Głodni byliśmy porządnie. To też noc była już głęboka, gdy, świecąc latarkami, kończyliśmy gotować nie wiem już którą menażkę herbaty.

Tysiąc metrów pod nami migotało światełko. To obóz nasz, gdzie oprócz mulników znajduje się teraz jedyny zpośród nas Wojsznis. Dwie pozostałe grupy, które równie jak my wyruszyły w góry, też gdzieś nocują. Zbyt wielkie są te kolosy tutaj, aby można było jednego dnia wyjść i wrócić ze szczytów. Siedzącemu w obozie Wojsznisowi dajemy znaki latarką, zataczając nią wielkie koła. Nie odpowiada jednak. Albo nie patrzy, albo zbyt wysoko nad nim jesteśmy, aby nas mógł dostrzec.

Aneroid wskazywał wysokość 3450 metrów. Nic też dziwnego, że po zachodzie zrobiło się bardzo zimno. Otuleni w celty wsuwamy się pod skały, chowając się przed zimnemi podmuchami wiatru.

Miejsce noclegowe okazało się znakomite. Najważniejsze, że można było wyciągnąć nogi zmęczone całodziennem posuwaniem się do góry. Miękko było tak, jak tylko na to pozwalały piargi, na których leżeliśmy. Zauważy-

Obóz w dolinie Ait Mizan w azibach Uanums (3.100 m).
fot. J. Wojsznis.

Rodzina berberska wędrująca do Negui.
fot. J. Wojsznis.

Marrakesz. Scena uliczna. *fot. J. K. Dorawski.*

Podejście pod ścianę śnieżnym żlebem.
fot. J. K. Dorawski.

łem zresztą, że na wszystkich biwakach górskich, choćby leżało się na nie wiem ilu kamykach, uwiera zawsze tylko jeden. Rzecz inna, że gdy ten się wysunie, uwiera natychmiast drugi, a gdy i ten zkolei, to trzeci i t. d. Naraz jednak czuć zawsze tylko jeden kamień, tak że nocleg nasz można było nazwać zupełnie wygodnym.

Nazajutrz ciepłe promienie słoneczne nieprędko dotarły do naszego głębokiego ukrytego w skałach żlebu. Roztapiając na śniadanie śnieg na maszynce do gotowania, gdyż mróz nocny ściął sączącą się z płatów śnieżnych strugę, marzniemy. Mimo wszystko chwalimy sobie założenie biwaku tak wysoko. Teraz zamiast dwu tysięcy metrów podejścia, mamy tylko dwieście. Zbieramy się pod ścianę Dżebel Axualu, a ta tymczasem zrobiła nam niespodziankę. Choć czytaliśmy w francuskiej monografji alpinistycznej Atlasu, że jest to piękny problem i choć sami tak myśleliśmy, oglądając ją wczoraj zdołu, ściana Axualu okazała się nietrudna. Źli, wyszliśmy łatwo na szczyt.

Powrót był krótki. — Na przełęcz Wielkiego Potoku, a stąd po małym wypadzie na szczyt tej samej nazwy zaśnieżonym żlebem wprost wdół. Tu śnieg był twardy, to też zpoczątku baliśmy się wchodzić nań bez czekana. Wziąwszy młotek do ręki, ostrożnie zaczynamy zsuwać się po nim. Niżej było mniej strasznie, to też poszusowaliśmy wdół jak na nartach, wymijając christjaniami, sterczące od czasu do czasu wanty.

Z żalem zeszliśmy ze śniegu, gdy ten się skończył. Do obozu już jednak niedaleko; niebawem byliśmy tam.

Następnego dnia raniutko ostatnie w tych górach zwinięcie namiotów, ładowanie worów i zabijanie skrzyń. I znów nasza karawana ruszyła wężem, wąską drogą górską. Celem naszym było miasteczko Asni, odległe o dwadzieścia kilometrów, które opuściliśmy dwa tygodnie temu.

Monotonną drogę urozmaicały krótkie postoje w mija-

nych wsiach. Tam chłodząc się w cieniu rozłożystych orzechów, krzepiliśmy się mlekiem, jedyną rzeczą, którą we wsiach tych można było dostać.

A potem znowu marsz. Marsz w upale, gdy nogi z trudnością podnosiły ciężkie, podkute buty, a pot kroplami spływał z czoła. Każdy metr drogi sprowadzał nas na dół. Tu już nie było wiatrów, które wgórze, na wysokości 4 000 metrów, wiejąc, chłodziły znakomicie. Przechodząc wbród przez szeroko rozlaną rzekę, daremnie spodziewaliśmy się ochłody. Woda była zupełnie ciepła.

Wreszcie dotarliśmy do zdala widniejącego zieloną plamą gaju. Stąd już parę kroków do Asni, gdzie wkrótce też jesteśmy.

Telefonujemy do Marrakeszu po autobus. Czekając aż przyjedzie, żegnamy się z mulnikami, wypłacając im należność. Zdaje się, że biedacy otrzymali pierwszy raz tak wielką ilość pieniędzy naraz, gdyż choć umówiliśmy się z nimi zgóry, według urzędowej taksy, teraz mało nie poszaleli z radości. Może też byliśmy pierwszymi Europejczykami, którzy ich nie oszukali.

Autobus przybył. Ładujemy się do środka i ruszamy do Marrakeszu, aby powrócić znowu do cywilizacji.

W DRODZE DO DEMNAT.

Kiedy wieczorem po powrocie z gór, zaczęliśmy się myć w ciepłej wodzie, okazało się, że nabiera ona ceglasto-czerwonego koloru. To pustynny pył, unoszący się wszędzie w powietrzu, wżarł się nam głęboko w skórę, zapełniając wszystkie w niej pory. Odtąd już, przez cały czas pobytu w Atlasie i długo jeszcze po wyjeździe z Marokka nie mogliśmy się go pozbyć. Można było, myjąc się zmieniać wodę i dziesięć razy, a ona stale miała ten sam czerwonawy odcień.

Ale wtedy nie wiedząc jeszcze o tem, po znakomicie przespanej nocy, rankiem zaczęliśmy się znowu dokładnie szorować. Raz drugi i trzeci. Wreszcie wypędził nas z hotelowego pokoju głód i pragnienie zajrzenia na pocztę, gdzie na każdego zpośród nas czekała cała fura listów z kraju.

Godzina była jeszcze wczesna i słońce niebardzo dopiekało, to też tłok panował, na placu Dżemaa El Fna i w cienistych wąskich uliczkach suku. Wszędzie pełno było postaci strojnych w szaty, spływające luźnemi fałdami do ziemi. Jak zwykle powoli i leniwie torowały sobie wśród tłumu drogę maleńkie osiołki. Jeźdźcy, siedzący na nich z obiema nogami zwisającemi z jednej strony, bijąc je po bokach, szybko wymachiwali nagiemi piętami, bezskutecznie usiłując zmusić swe wierzchowce do szybszego biegu. Być może niedługo już, w pogoni za błyskawicznem tempem dnia współczesnego zamienią oni swe

kłapouchy na coraz popularniejsze tu rowery. I dziś już nawet w najwęższym zaułku spotkać można szalejącego na stalowym rumaku syna pustyni.

Co krok w tłumie zwracały uwagę czarne twarze, łyskających białemi zębami Senegalczyków i Sudańczyków, dumne oblicza nieomal zupełnie białych Maurów, śniadych Arabów, Berberów i dziesiątki odmian rasowych wśród sprowadzonych z tajemniczego wnętrza Czarnego Lądu Murzynów — niewolników. Czasem widać było u mężczyzn twarze przeorane głębokiemi krechami po przez oba policzki, czasem u kobiet naznaczone fioletowo-niebieskim u nasady nosa między oczyma i na brodzie znakiem przynależności plemiennej. Wszystko to jak w kalejdoskopie przewijało się przed oczyma całą gamą kolorów i odcieni.

Podczas naszej nieobecności wojsko wróciło z pustyni na wypoczynek do miasta, to też w całym tym olbrzymim, rojnym tłumie nie brak było i żołnierzy. Ubrani w mundury ochronnego koloru, który tu przypomina ciemną i brudną żółtość pustyni, różnią się zależnie od formacji ich krojem. Spahisi noszą szerokie bufiaste spodnie, bardzo długie marszczone płaszcze i na głowach coś, co przypomina kozackie papachy. Za to legja cudzoziemska ma mundury bardzo proste. Płócienne spodnie ściągnięte na dole owijaczami i płócienna kurtka — wszystko koloru ochronnego. Na głowie kepi francuskie z białym otokiem

Tyle się człowiek nasłuchał o legji cudzoziemskiej, iż nic dziwnego, że się nią bardzo zainteresowaliśmy. A na terenie Marokka można się chyba najwięcej o niej dowiedzieć, ponieważ ma ona tu ogromne znaczenie i niemal cała się koncentruje w tym kraju. Poza Marokkiem tylko nieliczne jej oddziały przebywają w Indochinach i w Algerze. Widać tu jest dziś najpotrzebniejsza, nieprędko bowiem zapanuje w całym Marokku zupełny spokój.

To co się odrazu rzuca w oczy na widok maszerującego oddziału legji, to niski naogół wzrost żołnierzy i wiel-

ka ilość twarzy przybranych okularami. Zamiast olbrzymich groźnych zabijaków, jakich nam zawsze pokazywało kino, widzimy typowe twarze przeciętnych mieszkańców miast europejskich. Przeważnie półinteligencja. Najwięcej Niemców i Słowian. Nie brak też i Polaków, tylko jakoś do nich nie mamy szczęścia. Ale pewien Niemiec, gdy dowiaduje się o naszej narodowości, mówi, kiwając głową: wiem, wiem.

Dżendobry. Kleb. Matka.

Popisując się tak przed nami znajomością naszej mowy, powtarza widać najczęściej w rozmowach swych polskich towarzyszy słyszane wyrazy.

Upał, unieruchomiający w południe całe życie, spędza nas z placu. Zebrani w pokoju hotelowym zapuszczamy żaluzje w oknach i, coraz to biorąc prysznic z zimnej wody, układamy plan załatwiania oficjalnych wizyt i zakupów. Przez te kilka dni pobytu w mieście czeka nas cała fura pracy. Tym razem porzucimy cywilizację na dłużej i dalej od niej odjedziemy. Każdy więc szczegół przygotowań musi być dokładnie przemyślany i wykonany. Drobne tutaj niedopatrzenie może się w terenie srogo zemścić.

Dopiero gdy słońce zaszło, wychodzimy na miasto. Plac znowu huczy gwarem tysięcy głosów, dźwiękami bębnów tebel i kastanietów. Włócząc się po zakamarkach miasta zaczynamy nawiązywać nowe z legjonistami znajomości. Najciekawszą z pośród nich było poznanie pewnego Czecha, przypominającego nieco swym typem postać Szwejka. Zaprzyjaźniliśmy się z nim bardzo i przez cały czas pobytu w Marrakeszu często spotykali. Dobry był z niego kompan, chłop bardzo wesoły, a że służył już w legji drugie pięciolecie, miał wiele do opowiadania.

Od niego dowiedzieliśmy się, że dzisiejsza legja, to już nie to, co było jeszcze kilka lat temu. Nie jest to już bezpieczna ucieczka i ostatnia deska ratunku dla tych wszystkich, którzy gdzieś tam w swoim kraju coś po-

rządnie przeskrobali. Od czegoż bowiem istnieją międzynarodowe listy gończe. Ściganych przez nie, nie wciela się do legji, tylko wsadza do więzienia.

Pewnie, że i dziś są między nami tacy — tłumaczył Czech — którzy coś mają na sumieniu. Ale to mogą być najwyżej jakieś drobne przewinienia. Większość zgłaszających się obecnie, to ofiary kryzysu i biedy, jaka tam u was w Europie panuje. A nie brak też i takich jak ja, którzy, naczytawszy się za młodu romantycznych historyj, ze wszystkich zakątków starego lądu pędzą tu, bo im się zdaje, że zaraz zostaną bohaterami. A tymczasem służba tu nietylko niebezpieczna, ale i przedewszystkiem bardzo ciężka.

Obecnie panuje w Marokku niby spokój. Ale w tym kraju spokój znaczy to samo co chwilowe zawieszenie broni. W danym momencie przeciwnik jest niezorganizowany. Zresztą pora roku nie nadaje się do walki. Za gorąco. Ale na skraju zajętych przez Francję terenów trwa stała walka. Tam w każdej chwili mogą na nowo powstać plemiona, które się dobrowolnie poddały sułtanowi. Jeszcze mniej pewne są te, które zostały ostatnio podbite siłą. Te zaś, które żyją zupełnie wolno na terenach Marokka nieobjętych jeszcze przez Francję w imieniu sułtana, i w czasie zawieszenia broni potrafią szarpać wysunięte placówki. Każdej chwili mogą w bój ruszyć koczownicze plemiona pasterskie albo z gór wypaść całą hordą Berberowie.

We wszystkich bowiem krajach w górach, które są zawsze trudniej dostępne, kryją się ci, co zamiast poddać się, wolą walczyć. A w Marokku jest przecież gór bardzo dużo.

Kiedyś naprzykład — opowiada dalej Czech — budowaliśmy drogę na terenie podgórskim. Legjonista często musi zmieniać karabin na łopatę. Na straży stali wtedy Senegalczycy. Dzień był bardzo parny, to też gdy jedne warty pospały się, inne po cichutku sprzątnęli Berbero-

wie. My niczego nie podejrzewając, pracowaliśmy spokojnie dalej. Nagle ze wszystkich stron zabrzmiały salwy i zaczęto nas zasypywać strzałami. W przeciągu niecałego kwadransa, z dwustu przeszło ludzi zostało przy życiu niespełna pięćdziesięciu. Wyginęli prawie wszyscy oficerowie. Napad i odwrót były tak szybkie, że nawet nie wiemy, ilu ich było. Gdy udało się nam doczołgać do ustawionych w kozły karabinów, nie mieliśmy już z kim walczyć. Wróg przyszedł i odszedł jak podmuch pustynnego wiatru. Zostawił za sobą tylko śmierć i zniszczenie.

Ciężka służba! Każdy legjonista jest jednocześnie robotnikiem. Jak tylko zajmiemy nowy szmat kraju, żołnierz odkłada na bok karabin i bierze za łopatę. Gdy pierwsza linja walczy, druga buduje drogi. Bo inaczej nie doszedłby przecież ani tabor, ani artylerja. Przed nami w Marokku nie było zupełnie dróg bitych, tylko pustynne szlaki, któremi sunęły karawany mułów i wielbłądów.

A i z aprowizacją bywało nieraz w pustyni lub w górach ciężko. Pewnego razu przez całe dwa tygodnie jedliśmy tylko ryż i ryż i nie mieliśmy wcale wina. A wiadomo, bez wina legjonista nie pójdzie.

Wobec takiego oświadczenia zjawia się przed naszym Czechem cała butelka rubinowego płynu. Zapalamy papierosy i słuchamy dalej ciągnącej się opowieści.

Ostatni raz byłem w ogniu w marcu tego roku. Tym razem nam się udało. Po cichu, nie budząc żadnych podejrzeń zgromadzili Francuzi na granicy całą armję z olbrzymim zapasem aprowizacji i amunicji. Wszystko to ruszyło pewnego dnia kilkoma szlakami na południe. Arabowie nie spodziewali się wznowienia działań wojennych tak wcześnie, to też plemię po plemieniu, musiało się poddawać i gdzie niegdzie tylko spotykaliśmy zbrojny opór. W bardzo krótkim czasie zajęliśmy olbrzymi szmat ziemi, docierając do granicy tajemniczego terytorjum Ifni.

Ja należałem w tym czasie do kompanji monterów,

którzy zawsze idą w pierwszej linji. Jest to specjalna formacja przystosowana do szybkiego poruszania się w terenie. Dwu żołnierzy posiada jednego muła, na którym jadą na zmianę po godzinie. W ten sposób pomimo upału osiąga się przeciętną szybkość około 7 km na godzinę.

Zaciekawieni pytaliśmy go, dlaczego podpisał kontrakt na drugie pięciolecie służby, kiedy nie bardzo ją sobie chwali. Tłumaczył nam, że tylko z tego powodu, by nabyć prawo do przysługującego mu po dziesięciu latach odszkodowania za poniesione rany. Wtedy nie wyjdzie stąd bez grosza, a inaczej dostałby tylko przejazd do granic Francji.

Kontrakt na służbę można zresztą teraz podpisywać i na krótszy przeciąg czasu. Tylko nie opłaca się to zupełnie, ponieważ w pierwszym roku żołd jest minimalny i zwiększa się dopiero z biegiem czasu, w miarę dłuższej służby.

Opowiadał jeszcze ciekawe rzeczy o silnie rozwiniętem wśród legjonistów koleżeństwie, powstałem wskutek wspólnych niebezpieczeństw i wspólnej pracy. Oficerów również naogół chwalił. Wielu z pomiędzy nich, to starzy legjoniści, którzy sami przeszli przez twardą szkołę żołnierskiej służby. Legja większą część roku spędza nie w koszarach, a w terenie. To tworzy najlepszą spójnię w jej szeregach.

Długo jeszcze ciągnie się barwna opowieść, a zmięte fotografje ze skrytki w portfelu ilustrują ją, i mówią także o drobnomieszczańskiej rodzinie, wiodącej spokojny żywot gdzieś w dalekim Bohuminie, i o matce, która bardzo tęskni za swym jedynym synem, walczącym za obce sprawy na obcej ziemi.

Późno już bardzo, więc żegnamy się, bo następnego dnia trzeba wstać wcześnie do pracy.

Nie raz jeszcze i nie z jednym legjonistą rozmawialiśmy. Jak wszędzie między ludźmi są tu tacy, którzy

się skarżą na służbę, są i tacy, którzy są z niej zadowoleni. Pewien Szwajcar mówił nam.

— Młody i głupi byłem, jak tylko kontrakt mi się skończy zaraz wracam do kraju. Tam co prawda zamkną mnie do więzienia za karę, że służyłem w legji, ale wolę więzienie od tej służby. Tu jest prawdziwe piekło.

Inny znów, Niemiec, oświadczył:

— Chciałbym całe życie służyć w legji. Jeść dają mi dobrze, wina też mam dosyć i jeszcze dostaję pieniądze na papierosy i różne przyjemności. Myśleć o niczem nie trzeba. Nawet człowiek nie zauważy, kiedy rok przeleci. Czy można mieć w życiu lepiej? Jak nas w terenie zmordują ciężką pracą, to potem tem więcej smakuje odpoczynek w mieście. Panowie, ja wam z serca jak najlepiej radzę: zapiszcie się zaraz do nas.

Prędko nam biegły dni spędzone w Marrakeszu. Spiesznie kończyliśmy przygotowania do nowej wyprawy w nieznane dotąd strony.

Gdy wreszcie wszystko już było do drogi gotowe, ładujemy pewnego ranka stos skrzyń i worów do autobusu, zdążającego do Demnat.

Normalny bilet na przejechanie 117 kilometrów odległości kosztuje 7 franków to jest około dwu złotych. Miejscowa ludność płaci jeszcze taniej. Kiedy to nareszcie u nas w Polsce będzie się jeździć tak prędko i tak tanio, jak w tem niby dzikiem Marokku.

Po przez piękną stylową bramę Bab Dukkala, położoną koło El Hara, leżącej po za obrębem murów dzielnicy trędowatych, wydostajemy się z miasta.

W pewnem miejscu rysuje się ponad murami smukła sylwetka blaszanej rury pykającego dymem komina. Niedawno dopiero przestano tę bramę zamykać na noc, a dziś już ulokował się przy niej jakiś przemysłowy zakład. Marokko dnia wczorajszego zaczyna przysłaniać dzień dzisiejszy. Czyżby niedalekie jutro miało cały czar jego zupełnie zniszczyć?

Wspaniała asfaltowa szosa prowadzi początkowo poprzez palmowe gaje otaczające miasto. Zieleń jednak prędko się kończy i teraz zaczynają nam towarzyszyć niskie, zupełnie nagie, okrągławe szczyty gór Dżebiletu. Zaledwie gdzie niegdzie wystrzela z pomiędzy nich nieco smuklejsza piramida skalna. Mijamy gliniane kazby i okrągłe płócienne namioty nomadów.

Na horyzoncie od strony południa ukazuje się daleki, lecz wysoki mur łyskającego śnieżnemi plamami Atlasu. Poznajemy odległe o dziesiątki kilometrów Tubkal, Likumt, Inghemar.

Jedziemy teraz płaską równiną, przez którą droga biegnie prosto jak strzała. Słońce wzniosło się już wysoko i żar staje się coraz większy. Gdy patrzymy przed siebie, wydaje się, że szosa wprost prowadzi do maleńkiego jeziorka położonego na jej końcu. Ale to tylko złudzenie wzroku. Jeziorko stale pozostaje w jednakowej odległości i w żaden sposób nie możemy w nie wjechać A przydałaby się zimna w niem kąpiel.

W pewnym momencie na tle pustynnego krajobrazu, nagle za niziutkim murkiem ukazuje się nam gwarny i rojny targ. To El Khemis Szaara, gdzie co czwartek odbywa się jarmark. Dziwne bardzo wrażenie sprawia ta zwarta gromada ludzi, wielbłądów, mułów i osłów, oddzielona od roztaczającej się wokół pustyni tylko tym niskim półmetrowym murkiem.

Wreszcie na widnokręgu ukazują się znowu góry. Teren staje się coraz bardziej falisty i szosa zaczyna się wznosić serpentynami. W miarę zbliżania się, potężnieje sylwetka panującego nad horyzontem masywu Dżebel Rhat (3 788 m). Ostatnie skręty drogi pomiędzy pagórkami porośniętemi kępami kaktusów i wjeżdżamy na wzgórze między rozrzucone budynki: „Bureau des affaires indigénes". Tu w Demnat, zostawiwszy za sobą wygodne pasemko przebytej szosy, przejdziemy na tak nieraz wąskie i urwiste zygzaki ścieżek mułowych.

Wysiadamy z auta. Rozżarzona biel zabudowań razi przez chwilę oczy. W łagodnym mroku drzwi wejściowych znika Dorawski. Podczas gdy konferuje z władzą, my tworząc nigdy tu dotąd niewidziany „tłum" białych cywili, skupiamy na sobie zapatrzone spojrzenia siedzących grupami w cieniu drzew krajowców.

Po chwili wychodzi z wnętrza domu w bieli obcisłego munduru i czerni lakierowanych butów oficer francuski, porucznik Gauthier, pan i władca niemal stu tysięcy tubylców, rozrzuconych na obszarze kilku tysięcy kilometrów kwadratowych.

Gdy przechodzi wśród siedzących, zrywają się oni błyskawicznie na nogi i sztywno stoją przez cały czas, gdy z nami rozmawia.

Władze wyższe w Marrakeszu zakreśliły nam na mapie szczupłe granice dla naszej eksploracyjnej pożądliwości. Poza niemi miały przeważnie pozostać najbardziej nas pociągające białe na mapach plamy. Mówiono nam: My sami dopiero za rok dowiemy się, co tam jest i wtedy dopiero ewentualnie moglibyśmy udzielić pozwolenia na ich zwiedzenie. Zresztą w Demnat porucznik Gauthier będzie wszystko wiedział najlepiej.

Teraz ciekawie przyglądaliśmy się temu człowiekowi, od którego zależał ostateczny wyrok. Przystojny i bardzo sympatyczny Francuz godnie reprezentował całą potęgę swej ojczyzny i cały majestat Jego Sułtańskiej Mości. Mimo powagi i pewnej dozy dostojności odznaczał się ujmującą grzecznością. Widać jednak było odrazu, że na swoim terenie jest nieomal udzielnym panem.

Decyzja jego była dla nas bardzo przychylna. Miała nam towarzyszyć tylko niewielka ekskorta, a granice naszej działalności zostały bardzo rozszerzone, pod warunkiem nie robienia żadnych zmian w raz już w porozumieniu z nim ustalonym planie. Gdyby zachodziła konieczność krótszego lub dłuższego pozostania w jakimś punkcie, winniśmy go niezwłocznie zawiadomić przez

gońca. Poza tem obiecał, jeśli czas mu pozwoli, odwiedzić nas w górach.

Bardzo zadowoleni z takiego obrotu spraw, udaliśmy się do rozłożonego w dolinie miasteczka na obiad, wywołując w malutkiej restauracyjce, mieszczącej się w lokalu nie posiadającym nawet podłogi, wielką sensację. Nic w tem dziwnego, bowiem z naszem przybyciem ilość Europejczyków wzrosła tu o kilkadziesiąt procent. Jesteśmy przytem pierwszymi turystami, jacy tu kiedykolwiek zawitali.

Na kilka tysięcy mieszkańców Demnat ma zaledwie siedemnastu „białych" i nie ma żadnej europejskiej budowli. Niskie, nędzne gliniane domy obwiedzione są dziś już częściowo rozpadającym się zębatym i ubastjonowanym murem. Wokół zamieszkiwanej przez kaida kazby biegnie głęboka fosa. Liczne kanały rozsyłają wodę na wszystkie strony, tak że cała kotlina, w której wznosi się miasto, wypełniona jest bujną roślinnością, nad którą cień roztaczają olbrzymie drzewa orzechowe i gęste gaje oliwek.

Po obiedzie wracamy do naszego obozu, na który tym razem składają się oprócz namiotów dwa gościnne pokoje zaofiarowane nam przez uczynnego gospodarza.

Tymczasem porucznik Gauthier przygotował dla nas pisany po arabsku list polecający, który miał nam wszędzie otwierać drzwi. Treść jego była następująca:

„Abdullilach Uadaho (niech będzie pochwalony Bóg Jedyny).

5 lipca 1934 roku.

List akema z Demnat do wszystkich sziurów gór szczepu Ftuaka.

Po oddaniu wam należnych pozdrowień, zawiadamiam was, że udaje się do waszego kraju misja polska, ażeby po nim chodzić i poznawać go i że misja ta jest polecona przez samego makhena z Rabatu. Dacie jej wszystko, czego zażąda za pośrednictwem brygadjera

Thami, który jest dowódcą eskorty tej misji. Wy oznaczycie ceny, lecz nie mogą one przekraczać cen zwykle płaconych w bledzie, ponieważ ludzie ci zapłacą wam tyle, ile od nich zażądacie. Przypominam wam, że ceny zwykle płacone są następujące:

Wynajęcie muła z poganiaczem 10 franków dziennie. Jęczmień i kury po cenach ostatniego suku.

Tak należy.

I dlatego tak wam rozkazuję".

Tu następowała pieczęć i podpis.

Przed wieczorem jeszcze odbył się przegląd mulników i mułów. Zwierzęta stały wyciągnięte w długi szereg, trzymane przez poganiaczy przy pyskach. Okiem dobrego znawcy oceniał je porucznik, odrzucając zbyt słabe, jako nieodpowiednie do dalekiej podróży. Zmartwieni właściciele poddawali się bez szemrania bezapelacyjnej decyzji. Jeden z nich jednak nie mogąc się pogodzić z utratą rzadkiej sposobności dobrego zarobku zaczął protestować. Wówczas pojawił się na widowni potężny brodaty grubas i, stanąwszy przed nieszczęśliwym właścicielem odrzuconego muła, wymierzył mu siarczysty policzek. W ten sposób krótko został cały incydent zlikwidowany. Po chwili dowiedzieliśmy się, że krewkim osobnikiem jest brygadjer Thami ben Hussein, w liście polecającym wspomniany jako dowódca naszej eskorty.

Po ukończeniu roboty związanej z przepakowywaniem skrzyń z żywnością nastąpiło pospieszne mycie się i golenie, bowiem byliśmy zaproszeni na kolację do porucznika. Jadąc w góry, zabraliśmy ze sobą tylko ubranie turystyczne, przez stykanie się z ostrą skałą, nieraz dobrze podniszczone, to też duże trudności sprawiło nam skompletowanie stroju wizytowego. Zrezygnowaliśmy wkońcu z jakiejkolwiek jednolitości, postanawiając, że każdy włoży to, co ma najlepszego. Aby tylko nie brać górskich podkutych butów, z któremi bliższy kontakt zarówno mocno szkodzi posadzkom jak i dywanom.

W wytwornym, wspaniałemi kobiercami wysłanym pokoju przyjęła nas pani domu. Oprócz gospodarzy był jeszcze miejscowy lekarz wraz z żoną. Na tle ich eleganckiego ubioru komicznie wyglądała zbieranina naszych różnokolorowych strojów.

Chociaż większość z pośród nas znała zaledwie słabo język francuski, odrazu zawiązuje się ogólna rozmowa.

Panie skarżą się bardzo na ten straszny kraj, gdzie zatrzęsienie skorpjonów, tarantul i żmij nie pozwala się poprostu nigdzie spokojnie ruszyć. Jest ich podobno mnóstwo. Pomimo drucianych siatek w oknach przenikają do mieszkania i wszędzie można je znaleźć. A już najgorsze są skorpjony. Należy zawsze przed włożeniem wytrząsnąć obuwie, gdyż często się zdarza, że tam właśnie się lokuje taki nieprzyjemny gość. To też ten, kto tu kilka lat przemieszka, tak przyzwyczai się do tego ruchu, że potem wykonywuje go automatycznie nawet po powrocie do Europy.

Zdarzają się również i jadowite owady. Ukąszenie pewnego gatunku muchy powoduje niemal natychmiastową śmierć. W związku z tem słyszymy ciekawą historję.

Oto pewien oficer francuski, jadący wraz z żoną autem został ukąszony przez taką muchę w wargę. Zorjentowawszy się odrazu, co mu grozi, zatrzymał natychmiast samochód i nie widząc dla siebie innego ratunku, prosi swą towarzyszkę, by wycięła mu scyzorykiem całą tą część wargi, gdzie nastąpiło zakażenie. Żona dopiero po pewnym czasie zdecydowała się na wykonanie tej operacji. Niestety jednak za długo się namyślała. Pomimo wykonania koniecznego zabiegu oficer wkrótce potem zakończył życie.

Po wysłuchaniu tej historji rzedną nam trochę miny, ale już po chwili dochodzimy do przekonania, że jakoś to będzie, i zaczynamy oglądać dwie wspaniałe, srebrem błyszczące długie arabskie strzelby, które gospodarz niedawno otrzymał w darze od pokonanych wodzów.

Ciekawi jesteśmy, jak się z nich strzela.

Porucznik bierze jedną z nich i dokładnie demonstruje cały skomplikowany ceremonjał. Wsypuje proch górą przez wylot lufy, następnie długo ubija go uderzeniami stempla. Potem przyjmuje postawę do strzału, trzymając strzelbę nie na linji oka, a o wiele niżej i z boku.

Broń Boże przycisnąć kolbę takiej armaty do ramienia — objaśnia. Nikt tu z tej broni w taki sposób nie strzela.

W związku z tem niema tu mowy o celowaniu w naszem znaczeniu tego słowa. Trafić jest bardzo trudno, ale jeśli się już trafi, to kula tworzy straszliwą ranę.

Strzelby te dziś już służą Arabom tylko dla pompy i parady. Wolno je nosić tym wszystkim plemionom, które poddały się bez walki.

Jeśli broń Arabów jest tak marna — pada z naszej strony pytanie — to czem wytłumaczyć, że tak trudno ich pokonać.

— Po pierwsze wyposażeni oni są również w pewne środki techniczne i do walki używają nowoczesnych karabinów, a nawet karabinów maszynowych i artylerji. A po drugie walczą nadzwyczaj odważnie i z olbrzymim entuzjazmem. Jak lwy bronią swojego kraju.

— No dobrze, ale skąd mają dobrą broń.

— Proszę panów — zawsze się znajdą tacy, którzy im karabinów za pieniądze dostarczą tak dla zarobku jak i ze względów politycznych.

Ciekawi nas jeszcze, jak wygląda bezpieczeństwo na terenach, po których będziemy się poruszać.

— O dziś ta okolica jest zupełnie spokojna. Trzymamy ją nie siłą zbrojną, a polityką. Na tyle tysięcy ludności mam zaledwie kilkunastu żołnierzy krajowych, tak zwanych mohrazni. Ale wszyscy pamiętają o tem dobrze, że w każdej chwili mógłbym tu sprowadzić legję cudzoziemską. A legja nie bardzo jest lubiana.

Interesuje mnie zwierzchnia władza naszego gospo-

darza. Od kogo on właściwie zależy. Czy od rezydenta francuskiego, czy też od sułtana.

Okazuje się, że, krótko mówiąc, sprawa wygląda mniejwięcej tak. Niezadowoleni mogą złożyć zażalenie na niego do kaida. Jeśli ten dojdzie do wniosku, że mają słuszność, prześle je drogą urzędową do gabinetu ministrów sułtana. Ciało to, jeśli uzna, że sprawa jest ważna, może przedłożyć ją sułtanowi. Wtedy w najlepszym dla skarżących wypadku mógłby sułtan odnieść się rezydenta francuskiego w takiej mniejwięcej formie:

— Zwróć uwagę swemu oficerowi, że postępuje niewłaściwie.

Po takiem wyjaśnieniu zaczynam dokładnie rozumieć, co znaczy trzymać kraj jedynie za pomocą polityki.

Podczas długiej, wytwornej, na modłę europejską przyrządzonej kolacji usługują nam biało odziani i bezszelestnie poruszający się Arabowie. Gdyby nie oni i gdyby nie latające mrówki, które czarnemi plamami pokryły żółtość masła, możnaby zapomnieć o tem, że znajdujemy się w głębi Marokka.

Dopiero późnym wieczorem żegnamy się. Krótka droga pod gwiaździstem niebem prowadzi nas do obozu. Jutro wczesnym rankiem wyruszamy w góry.

Fragment z wspinaczki na płn. ścianie Likumtu.
fot. J. K. Dorawski.

Kazba w Ighir n'Igherm.
fot. J. Kielpiński.

Małe poletka jęczmienia rozrzucone wśród skał na tarasach.
fot. J. Wojsznis.

Widok ze szczytu Dżebel Tignusti (3.816 m). Na pierwszym planie Chwaściński.
fot. J. Wojsznis.

IGHIR N'IGHERM.

Wczesnym rankiem następnego dnia zapanował gorączkowy ruch między zabudowaniami komendy w Demnat. Podczas gdy my kończyliśmy mycie i ubieranie się, gromadka mulników pod czujnem okiem brygadjera Thami ładowała ciężkie skrzynie i wory na juczne zwierzęta.

Thami ben Hussein, zwany przez nas bim - baszim, to nielada figura. W całem Demnat tylko dwu ludzi jest starszych od niego rangą. Sam porucznik Gauthier i czausz Hussein.

To też brygadjer Thami cieszy się wielkiem poważaniem wśród rodaków. Nieraz widzieliśmy, jak ktoś przypadał z pocałunkami do jego kolan i rąk. Wszędzie witano go jak wielkiego dostojnika z szacunkiem i uniżonością.

Teraz, odbywszy ostateczny przegląd, podszedł do nas, meldując Dorawskiemu, że wszystko już do drogi gotowe.

Zbliżyliśmy się do oczekującej nas na uboczu gromadki ludzi i zwierząt. Większość kolegów, nie znając zupełnie tajników jazdy konnej, a przed oczyma mając zaledwie przed chwilą oglądane wybryki narowistej mulicy, ostrożnie obchodziła przeznaczone dla nas zwierzęta, starając się chytrze wybrać sobie najmniejszego rumaka. Niedaleka przyszłość miała pokazać, jak bardzo ich zawiodły te obliczenia.

Ja kierowałem się przy wyborze zupełnie czem innem. Wychodząc z założenia, że napewno nie odróżnię dobrego muła od złego, każdy z nich ma bowiem po cztery nogi, postanowiłem wybrać sobie takiego, który na pierwszy rzut oka czemś się z pomiędzy swych towarzyszy wyróżni. Po chwili już, minąwszy osiem sztuk ciemnobrudnych, dosiadłem siwobrudnego wybrańca. Dzięki najjaśniejszej maści mogłem go zawsze nawet zdaleka rozpoznać.

Wreszcie cała nasza karawana, składająca się z 29 ludzi, 15 mułów i 3 koni ruszyła naprzód na gromki okrzyk bim - basziego.

Początkowo zwierzęta szły chaotycznie, gromadą, jednak już po chwili zaczęły się coraz bardziej wyciągać w kształt długiego węża. Odrazu też przy tej sposobności ci z pośród nas, którzy jeszcze nie dosiadali muła, mieli sposobność przekonać się, jak trudno jest jechać inaczej jak jeden za drugim. Muł przyzwyczajony do takiego porządku, w żaden sposób nie chce się oderwać od ogona swego poprzednika, spędzającego mu z nosą muchy.

Gdy przejeżdżamy przez miasteczko, przyciąga moją uwagę wisząca przed małym kramikiem skóra o jaskrawej pomarańczowej barwie. Ponieważ zawyrokowaliśmy, że w tym terenie, każda partja, wychodząca z obozu na szczyty, na wszelki wypadek ma brać ze sobą choć jeden rewolwer, postanawiam dla swego uszyć futerał właśnie z tej skóry.

Zatoczywszy mułem półkole, podjeżdżam pod sklepik i zaczynam zgodnie ze zwyczajem targować się. Trwa to tak długo, że gdy wkońcu skóra staje się moją własnością, nigdzie nie widzę już naszej karawany.

Kłusem ruszam naprzód poprzez rozstępujący się tłum, ale gdy nikt mi nie wskazuje drogi, a wszystkie uliczki suku są jednakowo wąskie, nieprędko znajduję bramę miasta w wysokim murze, pokrytym dziesiątkiem bocianich gniazd. Potem pędzę wzdłuż nawadniającego ogrody

kanału, nad którym rozsiadło się kilka prymitywnych młynów. Zwalniam bieg muła dopiero wtedy, gdy ukazuje mi się woddali nasza karawana.

Kręta ścieżka mułowa wije się teraz między poletkami i drzewami porastającemi dno doliny. Ale już niedługo przerzedza się roślinność. Dojeżdżamy do groty Imi n'Ifri. Jest to raczej nie grota, a głęboki przełom potoku. Ponad nim na wysokości dwunastu metrów wznosi się naturalny most, poprzez który prowadzi droga. Zwisają z niego wdół oryginalne, piękne w rysunku stalaktyty. W głębi na dnie woda ścieka z progu na próg, tworząc na każdym malutki basen. Źródło położone u wylotu tunelu otoczone jest dużą czcią. Każdego piątku gromadzą się wokół niego kobiety, schodzące się z całej okolicy. Tak mahometanie jak i Żydzi składają tu żywe ofiary. Każdego roku w czternaście dni po wielkiem święcie barana Aid El Kebir zabija się byki poświęcone Bogu.

Droga prowadzi dalej wśród monotonnych pagórków. Układ karawany już się ustalił. Na czele jedzie brygadjer, wskazując drogę. Za nim nasza dziesiątka w stale zmieniającej się kolejności, ze względu na wyścig o pierwsze miejsce. Za nami mohrazni, potem muły juczne, dźwigające każdy ponad sto kilo bagażu. Między niemi zprzodu, ztyłu i obok idą lub biegną poganiacze — górale berberscy, którzy między sobą nazywają się Szleuchami. Nigdy nie mogliśmy wyjść z podziwu nad niezwykłą wręcz wytrzymałością i zasobem sił tych ludzi. Źle odżywiający się, chudzi, zawsze dotrzymywali kroku mułom tak w kłusie po równym terenie, jak i w podejściu pod górę.

Na końcu karawany jechał kucharz Mohammed ben Ali przydzielony nam tak jak i eskorta, w zasadzie zupełnie bezpłatnie. Nie przypominał on w niczem uczonego Si Aomara towarzyszącego nam w grupie Tubkalu. Wesoły, zawsze uśmiechnięty, gotował wyśmienicie, stwarzając najwymyślniejsze dania niemal z niczego. Dzię-

ki niemu spadł nam zupełnie z głowy kłopot z gotowaniem. Wieczorem, wracając do obozu, zastawaliśmy zawsze przygotowaną kolację.

Nasza eskorta wygląda wspaniale. Chłop w chłopa masywny i wysoki. Krótkie nowoczesne karabinki i granatowe, na brzegach czerwono oblamowane dżellaba, to wszystko, czem się różnią od przeciętnego Araba. Na sznurze przez ramię zwisa każdemu zakrzywiony nóż, kumbuja. Drugi sznur podtrzymuje dużą skórzaną torbę, zastępującą wszelkie w ubraniu kieszenie.

Bim-baszi Thami, grubas o rezolutnem obliczu, dosiada potężnego karego ogiera. Gramoli się na niego zawsze z wielkim trudem z jakiegoś dużego kamienia, ale gdy już znajdzie się na siodle, widać, że jest świetnym jeźdźcem.

Nie gorszym od niego jest Mohammed ben Said, wysoki piękny mężczyzna o zawsze uśmiechniętej rasowej twarzy. Włada on francuskim o wiele słabiej od Thamiego. Słuchając go zawsze mam wątpliwości, czy używa swego ojczystego języka Szleuchów, czy też to ma być po francusku. W każdym razie jedno jest pewne. Co chwila wśród chropowatych dźwięków słyszy się stale powtarzany zwrot: Ca va mieux?

Mohrazni, jadący konno, siedzą w wysokich arabskich siodłach niemal jak na fotelach. Na nogach mają charakterystyczne marokańskie pantofle, obejmujące tylko przednią część stopy. Ich nagie pięty nie są uzbrojone żadną ostrogą. Mogą zato kłuć konia po bokach dowoli ostrym kantem blachy, z jakiej są wycięte strzemiona.

Na mułach jeździ się tutaj bez siodła i bez strzemion. Gruba podkładka o sztywnej konstrukcji umieszczona na grzbiecie zwierzęcia zabezpiecza je przeciwko odparzeniom. Jeśli muł ma nieść na sobie ładunek nakłada się na nią dwie wielkie ze słomy uplecione torby. Jeśli ma służyć pod wierzch, pokrywa się ją derkami zeszytemi w kształt olbrzymiego wora i umieszczonemi w ten spo-

sób, że otwór znajduje się od strony głowy. Wór tak szeroki, że zwisa po bokach, jest również dosyć długi i zachodzi aż na szyję muła. Podwinięty z tyłu zostaje przykryty jakimś kolorowym kilimkiem lub dywanikiem. W ten sposób muł jest już osiodłany i gotowy do drogi.

Podkładkę przytrzymują dwa pasy, jeden biegnący przez piersi, drugi pod ogonem. Za to worek i dywanik niczem nie przytwierdzone trzymają się, jak to się mówi, na słowo honoru. By równowaga była pewniejsza, na dno woru można włożyć nieco ładunku lub nawet kilka kamieni. Przedzielone grzbietem zwierzęcia zwisają z obu stron, nie mogąc wypaść dzięki zawinięciu części wora zbliżonej do otworu. Tu właśnie w przednich rogach, podkurczywszy kolana, można ulokować stopy.

Tempo posuwania się karawany początkowo wolne, mimo pierwszych na naszej drodze stromizn zaczęło się zwiększać. Jeden po drugim, dzięki pomocy poganiaczy, zaczynaliśmy się zaznajamiać z zasadami jazdy na mule i poznawać jej tajniki.

W miarę rodzących się ambicyj jeździeckich poczęła się wyodrębniać grupa „ścigantów". Ona przeważnie dostarczała członków do poważnej instytucji, jaka zawiązała się już pierwszego dnia pod nazwą klubu dżentelmenów. Klub ten, będąc zamkniętą organizacją, skupiał tych wszystkich, którzy w swojej karjerze jeździeckiej mieli przynajmniej po jednym upadku z muła. Założyciel i pierwszy członek tej organizacji piastował urząd prezesa z takim zapałem, że stale wszystkich kolegów klubowych przewyższał swemi kwalifikacjami.

Droga nasza początkowo monotonna, w miarę zbliżania się do gór stawała się coraz ładniejsza i bardziej stroma. Zbiegające się ściany dolin wznosiły się coraz bardziej do góry. Otworzył się nagle przed nami głęboki przełom potoku Assif n'Ait Ufad.

Roślinność była tu jeszcze bujna, choć kraj miał wy-

gląd dziki i bezludny. Mizerne gliniane chatynki dawno już znikły i zdawało się, że na swojej drodze będziemy spotykać już tylko prymitywne aziby. To też zdumiewa mnie jedna i druga, nagle widoczna tu na tle nieba wysoka i potężna wieża. Przełom się kończy i oto dolina znowu się rozpłaszcza, a osady zaczynają się ciągnąć jedna za drugą, poprzedzielane tarasami licznych pól.

Domy mieszkalne, kilkupiętrowe olbrzymy, przeważnie zamiast okien wyposażone szeregami strzelnic, wzbudzają zdziwienie. Tak monumentalnych kazb nie widziałem dotąd ani na równinach, ani też w masywie centralnym Wysokiego Atlasu.

Inny tu zupełnie typ gór niż w grupie Tubkalu. Bardziej łagodne zbocza i olbrzymie bałuchowate masywy górskie, gdzie niegdzie ledwo postrzępione. Nad okolicą panuje bardzo długa, pozioma, uskokiem z jednej strony opadająca grań Dżebel Rhatu. Całość cechuje mniejsza rozmaitość kształtów i łagodne kontury rysunku skalnego.

Dobrze już było pod wieczór, gdy wąska ścieżyna wykuta w skale, wyprowadziła nas na przełączkę w grzędzie spadającej ku rzece. Byliśmy już porządnie zmęczeni. Od szóstej rano na mułach bez jedzenia i prawie bez odpoczynku. Tu nareszcie ukazał się nam zdaleka cel naszej dzisiejszej podróży, kazba z Ighir n'Igherm. Wielka, z kilkoma wieżami i tarasami, położona tuż nad urwiskiem, wyglądała wspaniale na tle zmierzchającego nieba.

Gdy dojeżdżamy do niej, rozlega się donośnie, ni to gwizd, ni to tryl, czy też jakieś turlikanie. Nagle jadący przede mną na czele karawany Mohammed ben Said rusza z kopyta i, wydając gardłowe okrzyki, znika za przysłaniającą mi widok grządką.

Ze zdumieniem konstatuję, że dziwny głos wybiega z ust siedzącej nieopodal Berberki i zaintrygowany popędzam muła. Nagrodą jest dla mnie niezwykle ciekawy widok. Oto mohrazni wraz z innymi Szleuchami zapędza

do kazby liczną gromadę kobiet, przed któremi powiewają na tykach jakieś płachty niby barwne sztandary.

Gdy zbliżam się, niknie to wszystko w głębi kazby. Zostaje tylko grupka mężczyzn. O krok przed nią stoi starszy, otyły już, w białe szaty przybrany sziur.

Mohammed przewiesił karabin przez wysokie siodło swego wierzchowca, zeskoczył na ziemię i prowadząc konia za uzdę podszedł do grupki starców. Zaczęli coś mówić ze sobą chropawym językiem Szleuchów.

Po chwili jeden z nich podaje rękę Mohammedowi. Ten wita się i z szacunkiem całuje potem własne palce. Ceremonjał taki powtarza się następnie ze wszystkimi. Na znak Mohammeda zeskakujemy również na ziemię. Starszyzna podchodzi ku nam i zaczynamy wszyscy po każdem podaniu ręki dotykać dłonią warg.

Brygadjer wyjaśnia nam, że jesteśmy zaproszeni na herbatę do sziura, a rozpakowaniem naszych bagaży zajmie się służba.

Odmówić nie sposób, byłoby to bowiem równoznaczne z obrazą. Zresztą nikt z nas nie ma ochoty odmawiać. Ciekawość i chęć odpoczynku sprawiają, że ruszamy do kazby bez namysłu.

Przez wysoki próg dostajemy się do niskiej, ciemnej sieni. Zupełnie pozbawione światła wąziutkie i nieregularne schodki wyprowadzają nas spiralą o dwa piętra wyżej. Idziemy posępnym mrocznym korytarzem. Ściany z niewyprawionego kamienia, podłoga z ubitej ziemi. Od czasu do czasu widać uchylone drzwi do bocznych izb. Jakiś sługa, biegnąc przed nami, z pośpiechem na kłódkę z zewnątrz zamyka tę część domu, z której dochodzą kobiece głosy.

Przez uchylone drzwi widać urządzenie niektórych pokoi. Sufity malowane w drobniutkie barwne mozajki i podłogi zasłane kobiercami. Na ścianach dekoracyjnie porozwieszane dzbany i tace miedziane cyzelowane w najrozmaitsze desenie. Zamiast okien, wszędzie pozba-

wione szyb wąskie otwory, wyglądające jak strzelnice. Kontrast między prymitywnym korytarzem, a sąsiedniemi komnatami uderzający.

Wreszcie korytarz wyprowadził nas na ogromny taras. Z trzech stron wznosiły się ściany kazby, z czwartej otwarta przestrzeń ograniczona była niskim murkiem z kamieni. Doszedłszy, nie zdziwiłem się, że gospodarze tu wystawili barjerkę. Kazba wznosiła się w tem miejscu nad dwudziestometrowem conajmniej urwiskiem.

Stojąc nad brzegiem tarasu, zainteresowałem się jego konstrukcją. Nieobrobione pnie drzewne i konary przerzucone z jednej ściany na drugą. Wszystko to poprzewiązywane gęsto powrósłami ze słomy i przysypane ziemią. Na wierzchu warstwa ubitej gliny.

Zasiedliśmy na rozesłanych przez służbę dywanach. Przed nami natychmiast zjawiła się śliczna miedziana taca. Na niej szereg małych szklaneczek, srebrna puszka z suszoną algierską herbatą, mały czajniczek do zaparzania i kilkanaście gałązek świeżo zerwanej mięty, wszystko przykryte pięknie haftowaną chustką. Obok na wysokim trójnogu duży czajnik gotującej się wody. Garść leżących pod nim drzewnych węgli rozżarzał dmuchając miechem czarny służący.

Brygadjer wyjął z przewieszonej przez ramię torby list akema z Demnat i wręczył go sziurowi. Ten czytał go uważnie lecz z uśmiechem. Po przeczytaniu wręczył pismo swemu sąsiadowi.. Poważny starzec uniósł je do góry i bez słowa trzymał przed oczyma również uśmiechając się. W atmosferze wesołości list wędrował dokoła w dostojnem zgromadzeniu.

Nikt nie odczytał go głośno, widać chcieli pochwalić się przed nami, że wszyscy umieją czytać i noszą przydomek Si przed nazwiskiem. Uśmiechy na twarzach wywoływał prawdopodobnie ustęp listu poświęcony oznaczaniu cen i w skomplikowany sposób broniący nas przed ewentualnym wyzyskiem.

Po zaznajomieniu się z treścią listu przystąpiono z całym ceremonjałem do robienia herbaty. Najprzód zaparzono ją w małym czajniku. Głowa cukru rozleciała się pod wprawnemi uderzeniami drewnianego młotka i kilka jej kawałków powędrowało do wnętrza czajnika wraz z gałązkami mięty. Gdy herbata już naciągnie, nalewa się jej nieco kilkakrotnie do szklaneczki i wlewa się zpowrotem do czajnika. Sprawdziwszy w ten sposób, czy napój nabrał już właściwej barwy, przystępuje się do próby ostatecznej. Cmokając próbuje się smaku. Dopiero, gdy i ten uzyska zupełną aprobatę, otrzymujemy każdy po pół szklaneczki świetnie kojącej pragnienie herbaty.

Jeszcze po raz drugi i trzeci powtórzył się ceremonjał naparzania, zawsze bowiem i wszędzie obowiązuje potrójny poczęstunek herbatą.

Potem stawiają przed nami wyplataną z łyka tacę pełną suszonych daktyli, orzechów włoskich obranych z łupiny i jaj ugotowanych na twardo.

Cały ten poczęstunek przeciąga się dosyć długo. Ponieważ jednak nie chcemy skorzystać z zaproszenia pozostania na noc w kazbie, żegnamy wreszcie sziura i znów idziemy do wyjścia ciemnym korytarzem.

Obóz nasz stanął tuż nad brzegiem rzeczki pod skałą, na której wznosiła się kazba.

Zmęczeni podróżą zaraz ułożyliśmy się do snu, obiecując sobie zrobić jutro dzień odpoczynku.

Rankiem, gdy wyszedłem z namiotu, życie we wsi wrzało już w całej pełni.

Po obu brzegach strumienia wznosiły się tarasowato jedno nad drugiem małe poletka podparte murem z poukładanych kamieni. Poletka te z olbrzymim nakładem pracy zbudowane przez mieszkańców przypominały właściwie ogródki o powierzchni, dochodzącej zaledwie do pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Gdzie niegdzie wznosiły się między niemi olbrzymie drzewa orzechów włoskich.

Drzewo takie czasem przez pradziada posadzone, przechodząc w spadku z pokolenia na pokolenie, staje się własnością kilkudziesięciu spadkobierców. Każdy z pomiędzy nich, będąc jego współwłaścicielem, otrzymuje należną mu garść orzechów.

Uwagę moją zwrócił kanał wodny, biegnący tuż ponad najwyższym poletkiem. Jeden z mieszkańców wioski właśnie otwierał w nim tamę, zbudowaną z kilku kamieni oraz faszyny. Przez otwór zaczęła woda wylewać się całą kaskadą na pola. Przepływając brózdami specjalnie w tym celu wyżłobionemi, spływała z tarasu na taras, zwilżając wszędzie skrawki cennej ziemi, aż wróciła do potoku, by zaraz niżej odbyć podobną drogę poprzez sieć kanałów i poletka.

Po pewnym czasie Berber zamknął tamę i poszedł nawadniać dalsze poletka. O tej porze dnia zdarza się czasami, że na pewnym odcinku wszystka woda z potoku zostaje skierowaną chwilowo do kanałów. Dno strumienia wysycha wtedy na kilka godzin.

Woda tutaj to kwestja życia. Nad najmizerniejszym potoczkiem kwitnie soczysta roślinność. Kilka kroków dalej roztacza się piarżysto-kamienista pustynia.

Skomplikowany system nawadniania sprawia, że własność prywatna nie może tu istnieć. Wszystkie pola w danej okolicy należą wspólnie, albo do jednego rodu, albo poprostu do wszystkich wolnych mieszkańców wioski. Pracę rozdziela między nimi sziur, który również odpowiednio dzieli zbiory.

Na sąsiednich polach ścinano już sierpami, jedyne tu istniejące zboże — jęczmień. Ogromne snopy brały kobiety na plecy i zgięte w pałąk zanosiły do wioski. Tu składały je na placu, gdzie odbywała się młocka.

Pośrodku wyrównanego klepiska wbity był tutaj pal. Do niego przywiązano w jednym szeregu osiołka, kilka mułów i krowy. Chodzący za niemi poganiacz popędzał

zwierzęta, które obracając się wkoło pala, deptały rozesłane na placu zboże.

Na niektórych polach już nawet orano. Muły lub krowy, czasem razem sprzęgnięte, ciągnęły za sobą drewnianą sochę. Podążające z tyłu kobiety rozbijały grudy na drobne kawałki, posługując się motykami. Przygotowywano rolę pod miesiące zimowe.

Gdy zima nadchodzi, życie we wsiach zamiera. Mieszkańcy ściągają do domów zapasy opału, gromadzą żywność i zamykają się w ich wnętrzu wraz z całym żywym dobytkiem. Nieraz przez dwa lub trzy miesiące, odcięci od świata śniegami, nie opuszczają swoich domostw. Wyjdą dopiero wtedy, gdy śniegi zaczną topnieć.

Pod wieczór pracujący zaczęli się schodzić. Z pastwisk ściągali pasterze, prowadząc za sobą stada kóz.

Zmierzchało się.

Na terenie kazby zebrała się starszyzna i wspólnie zaczęła odprawiać modlitwy. Wtedy czeladź wyległa z zabudowań, aby złożyć hołd Bogu i jego prorokowi. Monotonny śpiew rozbrzmiewał w powietrzu, daleko rozchodząc się między górami.

Rozeszli się później na spoczynek, aby nazajutrz rozpocząć znowu te same codzienne zajęcia. Tak samo jak ich ojcowie, tak sami jak ich przodkowie tysiąc lat temu. Zdaje się, że postęp tu nie istnieje. Ludzie żyją tu prawie w ten sam sposób, co przed wiekami, te same mając środki utrzymania oraz te same cele i ambicje.

Następnego dnia ruszyliśmy w góry. Większość poszła na rozległy Dżebel Rhat, kulminujący w kilku wierzchołkach, noszących na mapie takie nazwy jak Atlas 2 i Atlas 16.

Chwaściński, Groński i ja postanowiliśmy wyjść na wyższy i bardziej odległy Dżebel Tignusti. Dzieliło nas odeń w linji powietrznej 13 kilometrów, co przy blisko dwutysiącometrowej różnicy wzniesienia i konieczności

trawersowania licznych żeber skalnych tworzyło wielogodzinną, wytężającą wyprawę.

Z obozu, obdarowani na drogę przez sziura daktylami, wyruszyliśmy na mułach wszyscy razem. W kilku kolejno mijanych osadach gościnni gospodarze pragnęli nas koniecznie zatrzymać na przyjęciu. Nie mając tym razem na to czasu, nie dawaliśmy się mimo natarczywości proszących, namówić.

W drodze, gdy tylko rozszerzała się ścieżyna i otwierała się możliwość wyminięcia poprzednika, każdy ze ścigantów indywidualną techniką, wypuszczał naprzód swego muła w walce o pierwsze miejsce. Z gardła wydzierał się wtedy chrapliwy okrzyk, „irrra, arrra", a grupa spokojnych jeźdźców z lękiem usuwała się z drogi, maskując swój strach przed stoczeniem się ze zbocza pogardliwemi dla ścigantów minami.

Sposób zmuszenia powolnego zazwyczaj muła do szybszego biegu wyjaśniono nam już pierwszego dnia podróży. Poganiacz popędza muła, stanowiącego zwykle jego własność, bez żadnej litości, okładając go po tylnych nogach ułamaną po drodze gałęzią z jakiegoś kolczastego krzaku, albo też ciska weń z całych sił podnoszonemi po drodze kamieniami.

Ponieważ sposoby te spotykały się z wyraźną dezaprobatą z naszej strony, zaprzestano ich naogół używać, powtarzając jednak, że inaczej nie można sobie z mułem dać rady. Tembardziej, że nie umiemy obyczajem miejscowym bezustannie tłuc piętami o boki wierzchowca.

Najlepiej jest kłuć muła po grzbiecie u nasady szyi — wyjaśnił nam Mohammed ben Said, gdy ku naszemu zdumieniu poganiacze jeden po drugim zaczęli nam podawać wyciągnięte ze swoich przybocznych torb, żelazne szydła. Gdy i to jednak nie podobało się nam, a trzeba było czemś nasze rumaki popędzać, zostaliśmy przy tym ostatnim sposobie, stosując jednak zamiast szydeł króciutkie zaostrzone patyki.

Zmęczone szybkiem tempem muły na pewnej wysokości zaczęły strejkować, osiągając jeden po drugim swój pułap wysokościowy. Przejawiało się to w tem, że nagle muł zamiast posuwać się do góry, skęcał w bok, poczynając kroczyć po idealnej poziomicy.

Coraz trudniej było oderwać od niej wierzchowca, tak że w końcu zmuszeni byliśmy porzucić je, udając się w dalszą drogę pieszo. Tu nasza trójka odłączyła się od pozostałych towarzyszy i trawersując z żebra na żebro zaczęła obchodzić rozległe zbocza Dżebel Rhata. Po długim trawersie poprzez męczące usypiska szeroki żleb wyprowadził nas po kilkuset metrach na szczyt Agensu N'Isk (około 3650 m). Stąd ujrzeliśmy poraz pierwszy Tignusti.

Potężny masyw oddzielony od nas głęboką przełęczą wznosił się jeszcze dosyć daleko. To też po krótkim odpoczynku szybko ruszyliśmy w dalszą drogę. Chłodne podmuchy wiatru nie dawały tu zupełnie odczuć palących promieni słońca. Prędko zbiegliśmy wdół łatwą zupełnie granią na przełęcz.

Od szczytu dzieliło nas jeszcze 450 metrów wzniesienia. Zbocze było tu stromem usypiskiem, poprzetykanem pasami ścianek. Na grani hulał wiatr, choć poniżej było zupełnie cicho. Posuwaliśmy się do góry coraz wolniej.

W pewnym momencie dopadł mnie z tyłu silniejszy podmuch wiatru i pomimo założonego pod brodę paska zerwał hełm tropikalny z głowy. Mimo zmęczenia ruszyłem błyskawicznie za nim, cóż kiedy nagłym skrętem cisnął go wiatr w głębokie żlebisko i dalej w dolinę Ait Mallal leżącą między Dżebel Rhatem a Tignustim. W ten sposób zakończył swój żywot stary kask, bywalec nietylko szczytów Atlasu, ale i wierzchołków And południowo-amerykańskich, gdzie służył jednemu z przyjaciół. Honornie mu się zeszło z tego świata.

Z determinacją spojrzawszy na płonące słońce, nacisnąłem na głowę szczęśliwie posiadany beret i ruszy-

łem dalej w górę. Dobrze zasłużony na szczycie Dżebel Tignusti (3816 m) odpoczynek nie mógł niestety trwać długo. Czekał nas jeszcze powrót do obozu.

Na przełęczy pod szczytem rozdzieliliśmy się. Chwaściński, zostawiwszy portmonetkę na Agenssu N'Isk, musiał wracać tą drogą, którą przyszliśmy. Groński i ja postanowiliśmy zbadać inną możliwość zejścia, pogardzając więcej z konieczności niż z ochoty czekającemi na nas mułami.

Obniżywszy się z przełęczy dwugodzinnym trawersem, ominęliśmy zbocza Agenssu N'Isk i potem w szalonem tempie zaczęliśmy gonić stale już dnem doliny, starając się jak największą część drogi odbyć przed zapadnięciem ciemności. Gdy złapała nas noc, byliśmy już na wygodnej i znanej nam z rannego przejazdu ścieżce.

Następnego dnia sziur rewizytował nas w obozie. Chociaż kazbę dzieliło od namiotów nie więcej jak sto kroków, z wielką paradą przybył wierzchem. Na wszelki też wypadek, widać niewielkie mając zaufanie do kuchni europejskiej, sprowadził ze sobą służbę, niosącą tace pełne jedzenia.

Częstowaliśmy go naszą herbatą. Zdaje się, że bardzo mu się nie podobała. Cukierek w papierku potrzymany przez pewien czas w ustach został dyskretnie wypluty do ręki. Lepiej za to było z herbatnikami i konfiturami. A już ładne czerwone jabłka zostały przyjęte z prawdziwym entuzjazmem. Skosztowawszy jedno, sziur natychmiast porwał z błogim wyrazem twarzy dużą menażkę, w której było ich pełno, i odstawił ją za siebie.

Rozmowę wiedliśmy z nim tak za pośrednictwem Thamiego jak i na migi. I tak naprzykład sziur zauważył, że jednemu z nas brakuje wielu zębów. Nie wiem dlaczego, bardzo go to ucieszyło. Potem zobaczywszy znowu u innych złote zęby, bardzo się zadziwił. Temat ten do rozmowy okazał się tak obszerny, że zaledwie po półgodzinnej gestykulacji został wyczerpany.

Biedny Thami nie miał czasu na jedzenie, wciąż bowiem musiał tłómaczyć i objaśniać wszelkie grzeczności, jakie sobie świadczyliśmy. Czasem jednak okazywało się, że i bez jego pomocy dajemy sobie z sziurem radę.

— Powiedz mu — zwracam się do Thamiego — żeby jeszcze coś zjadł.

— „Zjem, zjem“ — odpowiada po polsku ku naszemu zdziwieniu sziur, zanim jeszcze brygadjer zdążył przetłómaczyć nasze słowa.

Okazało się, że „mzjem“ znaczy w języku Szleuchów „dobrze“. Sziur ze wschodnią uprzejmością zgadzał się na nasze propozycje, nie wiedząc jeszcze, o co chodzi.

Po kilku godzinach pożegnaliśmy naszego gościa, który znowu dosiadł muła i ruszył w stronę kazby.

My zasiedliśmy nad mapami, studjując teren i układającą dalsze plany.

BIAŁE PLAMY.

Rankiem czwartego dnia pobytu w Ighir n'Igherm zwinęliśmy obóz, ruszając w kierunku białej na mapach plamy. Ponieważ nawet bim-baszi Thami nie znał drogi do niej prowadzącej, wiódł nas teraz Amer ben Ali, nowy członek naszej karawany. Niski, szczupły starzec był wspaniałym znawcą najdrobniejszych nawet przesmyków całej krainy górskiej. Potrafił przytem tak prędko, niemal stale biegnąc poruszać się w terenie, że zazwyczaj juczne muły oraz mulnicy, nie mogąc wytrzymać tempa, jakie nadawał pochodowi, zostawali daleko wtyle.

Dnia tego przy jasnem zupełnie niebie i najmniejszą chmurką niezakrytem słońcu szalała nieprawdopodobna wprost wichura. Już w nocy złamała nam maszt u jednego z namiotów, tak, że jego mieszkańcy z trudem przebiedowali do świtu. Rano, gdyśmy wyjrzeli ze śpiworów, sypnęło nam w oczy pyłem. Coraz to wpadał do obozu jakiś wirujący tuman kurzu, szarpiąc płachtami namiotów i wydymając szaty Berberów.

Potem zapomnieliśmy na chwilę o nim, jadąc z Ighir n'Igherm zaciszną wąską doliną. Ale jak tylko droga zaczęła się wznosić do góry potężnym podmuchem dał znać znowu o sobie. Uderzenia jego stawały się coraz to silniejsze, tak, że na przełęczy Tizi n'Ighili mieliśmy już do czynienia niemal z prawdziwym huraganem. Tu zaczęły fruwać w powietrzu z głów zwiane białe zawoje Szleuchów. Tu również jedna po drugiej pękały skórzane pod

Brygadjer Thami ben Hussein poprawia ładunek muła. Pod karabinem na biodrze zwisa mu na sznurze kumbuja.

fot. J. Wojsznis.

Na szczycie Dżebel Azelm, Korosadowicz sprawdza azymuty.

fot. J. Wojsznis.

Przyjęcie w kazbie sziura w Ait Attik. Na prawo z torbą przy boku siedzi sziur. Powyżej w oknie Thami. Z boków stoją dwaj domownicy odganiający od biesiadników muchy.

fot. J. K. Dorawski.

Dolina Assif n' Tessaut. Karawana podąża za Amer ben Alum, który przekracza właśnie potok.

fot. J. Wojsznis.

brodą podpinki i ruszały w powietrzną wędrówkę zdarte z głów hełmy.

Wiatr, porywając z ziemi drobne okruchy skalne, siekł niemi jakby ognistym deszczem aż do bólu. Raz po razie huragan zsuwał muła na kilka kroków ze ścieżki. Nieustannie walcząc z nim, leżąc raczej niż siedząc na mułach, przebyliśmy nową przełęcz i zaczęli się zbliżać do trzeciej najwyższej.

Wiatr przeszedł teraz w prawdziwy orkan. Powoli zdobywaliśmy ostatnie metry wzniesienia.

Jechałem na czele karawany, ale tuż przed przełęczą wyprzedził mnie konno jeden z mohraznich. Ostrym kantem szerokiego strzemienia ukłuł w bok konia i szybko wyskoczył na grań. W jednej sekundzie wicher omotał mu głowę jego własną dżellabą. Wielki kary ogier wparł potężne nogi w ziemię, widać było jak broni się niesamowitej sile wichru.

Nie dał rady. Nagle skręciło go w bok, przygięło do ziemi i zepchnęło z przełęczy.

Wbiłem w szyję mego muła ostry patyk jednocześnie udarzając go po bokach z całych sił piętami. Poderwał się bystro i wbiegł cwałem na przełęcz. Tu jednak nagle jakgdyby utknął w czemś gęstem.

Czułem, że potężny wiew spycha mnie zupełnie z siodła. Żwir boleśnie bił po twarzy i dłoniach. Oczy zaszły mi łzami tak, że nic prawie nie widziałem. Przytulony do szyi muła trzymałem go, ściągnąwszy uzdę możliwie najrówniej pod wiatr, usiłując zmusić do ruszenia naprzód.

Napróżno.

W pewnym momencie muł skręcił swój łeb zaledwie o kilka centymetrów. W jednej chwili wiatr obrócił go bokiem i rzucił nim w stłoczone z tyłu zwierzęta.

Zeskoczywszy, złapałem go krótko przy pysku. Z wielkim wysiłkiem, wbijając nogi w ziemię i coraz to przytrzymując się jej rękoma, powoli krok za krokiem za-

czałem posuwać się naprzód. Tak przedostałem się przez przełęcz.

Jeszcze potężnym podmuchem wiatr zerwał i poniósł daleko dywany służące mi za siodło, jeszcze przed oczyma mignął mi na tle jasnego nieba widok walczących z nim towarzyszy i nareszcie obniżywszy się mogłem swobodnie zaczerpnąć do płuc powietrza.

Powoli na czworakach przedostają się przez przełęcz ludzie. Trzymając się wielkich głazów, leżących na ziemi, przeciągają mulnicy zwierzęta, których piersi i nogi obryzgane są kapiącą z pyska pianą. Długo musimy czekać, zanim cała karawana odbędzie tę przeprawę.

Droga nasza schodzi teraz wdół. Początkowo łagodnie, potem bystro. W miarę, jak obniżamy się, siła wiatru się zmniejsza i wkrótce mamy już tylko do czynienia z jego lekkiemi podmuchami. Teraz zaczynamy się dzielić wrażeniami i oto okazuje się, że żaden z nas nigdy jeszcze z tak silną wichurą się nie spotkał. Nawet Dorawski w sławnych z dużych wichrów Andach czegoś podobnego nie widział.

Wysokie ściany doliny Assif n'Tasselli powoli podnoszą się do pionu i w miarę, jak posuwawszy się nią na dół, zaczynają się zbliżać do siebie. Jedziemy coraz dalej utworzony przez nie wąwozem aż do miejsca, gdzie wyrasta skrzesane urwisko zamykające go wpoprzek.

Nie widać stąd żadnego wyjścia, kiedy nagle w samym końcu ślepego, zdawało się, zaułka z obu stron roztwierają się bramy. To dolina nasza uchodzi do doliny Assif n'Tessaut, której dnem płynie wielki potok.

Skręcamy w stronę górnego jego biegu i już po chwili, po raz pierwszy w Atlasie, cała nasza karawana skrywa się zupełnie wśród bujnej roślinności. Przedzieramy się przez nią nikłą ścieżką, przerzucającą się stale z jednej strony potoku na drugą. Dno doliny jest prawie zupełnie płaskie. Z niego z obu stron wyrastają wprost w górę

wysokie, fantastycznie poszarpane czerwone ściany. Gdzie niegdzie tylko przerzyna je głęboki wąwóz.

Porządnie już zmęczeni długą jazdą, nad wieczorem, porzucamy potok, skręcając w boczną dolinę Ait Attik. Niema tu zupełnie wody. Kamieniste płaskie dno jest za to pokryte setkami smukłych, ni to kopczyków ni to słupków ułożonych z jeden na drugim leżących kamieni. Kult tajemniczych duchów, zamieszkujących góry, kwitnie tu.

Po kilku malowniczych skrętach dolina się trochę rozszerza, na dnie jej ukazuje się nieco wody i oto docieramy do miejscowości Ait Attik, leżącej na północnozachodnim skraju białej na mapach francuskich plamy.

Zsiadamy z mułów, by wyszukać miejsce na rozbicie obozu. Po chwili zjawia się sziur, przystojny mężczyzna o twarzy tchnącej inteligencją, otoczony przez kilku starców wita nas uroczyście. Służba, biegnąca za nim, rozkłada na ziemi maty plecione ze słomy, kładzie na nich tacę ze szklaneczkami, cukrem i miętą i już wkrótce, siedząc z podkurczonemi nogami, pijemy małemi łykami ożywczy napój.

Nazajutrz układamy plan kampanji. Ponieważ szczyty, znajdujące się na terenie zupełnie niezbadanym, są z obozu niewidoczne, postanawiamy wyjść na wznoszący się nad nami Dżebel Azelm (około 2700 m), by stamtąd zorjentować się w sytuacji.

Z Chwaścińskim i Korosadowiczem w trójkę ruszamy na rekonesans.

Towarzyszy nam miejscowy pasterz. Wskazujemy mu ręką poszczególne szczyty i doliny i wsłuchujemy się uważnie w brzmienie wymienianych przez niego nazw.

Z wierzchołku Dżebel Azelm nadworny kartograf wyprawy, Korosadowicz, wykonywa szkic terenu i jeszcze raz sprawdza podawane przez pasterza nazwy.

Szczytów w okolicy jest dużo, tak, że roboty będziemy mieli dosyć. Prawem pierwszeństwa odrazu wybie-

ramy dla siebie najładniejszy, potężnie zdala wyglądający masyw trójwierzchołkowego Dżebel Tichiamina.

Wróciwszy do obozu, dowiadujemy się, że nasi towarzysze siedzą już w kazbie w gościnie u sziura. Ledwie przybyliśmy i nas momentalnie, niemal siłą porywa służba i również tam prowadzi, tłómacząc na migi, że jesteśmy zaproszeni na przyjęcie.

Kazba w Ait Attik, zbudowana na stoku górskim, nie przypomina zupełnie kazby w Ighir n'Igherm. Tam szeroka dolina pozwoliła na zajęcie większego terenu pod budynek. Tu, gdzie każdy metr ziemi, na którym można założyć taras pod uprawę roli, ma wielkie znaczenie, kazba wystrzeliła wgórę siedmioma piętrami.

Niedawno zbudowana różni się od starszych brakiem strzelnic. Są one już niepotrzebne dziś, gdy nie może być mowy o tem, by dwie sąsiednie wioski staczały ze sobą przez dziesiątki, a może i setki lat, krwawe walki. To też na miejscu długich, lecz bardzo wąskich strzelnic zjawiają się małe okna.

Wprowadzeni do wnętrza kazby po przez widne korytarze o względnie wygodnych schodach dostajemy się do izb mieszkalnych. W pokoju zasłanym wzorzystemi dywanami zastajemy naszych towarzyszy. Piją właśnie ostatnią z trzech każdego obowiązujących szklaneczek herbaty.

Po herbacie zjawia się wspaniała czarna kawa. Potem stawiają przed nami misy pełne orzechów i daktyli. Zajęcie się niemi ma skrócić nam czas oczekiwania na coś solidniejszego.

Byliśmy już kilka razy na przyjęciach w Ighir n'Ighern, widzimy więc odrazu, że obecny nasz gospodarz postanowił pod względem wystawności przyjęcia przewyższyć swego poprzednika.

Czarny niewolnik zaczyna podchodzić do każdego z nas pokolei i nad specjalnym cebrzykiem zlewa nam dłonie wodą z pięknego czajnika. Obyczaj nakazuje, by

w Chełmie

przy jedzeniu używać jedynie prawej ręki, to też ją tylko należy wymyć i osuszyć wspólnym dla wszystkich ręcznikiem.

Potem na dany znak wnoszą na drewnianej tacy ogromny, gliniany półmisek, przykryty pokrywą. Wokół niego leżą świeże, ciepłe jeszcze berberskie chlebki. To kesha, jedyny chleb znany w górach, przypominający okrągłe, zupełnie płaskie placuszki.

Gospodarz podnosi pokrywę i oczom naszym ukazuje się cały baran upieczony na rożnie, zupełnie niepoćwiartowany. Pławi się w jakimś sosie i pachnie bardzo zachęcająco.

Zabieramy się do jedzenia. Za narzędzie mają nam służyć tylko trzy palce prawej ręki. Nie jest tak łatwo posługiwać się jedynie niemi. Trzeba wyrwać mały kawałek mięsa, umoczyć go w sosie i, nie pokapawszy sobie ubrania, zanieść do ust. Rwiemy więc kawałkami mięso albo keshę i w milczeniu spożywamy, obserwując wielką pod tym względem umiejętność gospodarza i Thamiego. Trzeba bowiem jeść bardzo ostrożnie, ażeby niewprawnym ruchem nie wyrzucić z misy całego barana i nie ochlapać towarzyszy.

Następne danie to potrawka z barana. Sos tak pieprzny, że niemal pali w gardle. Popijamy więc jedzenie zimną wodą, nalewaną do szklanek przez niewolnika. Lewą ręką niesiemy je do ust.

Znowu zabierają misę i natychmiast stawiają nową. Teraz dla rozmaitości mamy kurę w tłustym pieprzowo-cebulowym sosie. Oczywiście również upieczona w całości.

Jeść ładnie znaczy tutaj przedewszystkiem rwać malutkie kawałki. Ponieważ niewszyscy z pośród nas to potrafią i niewszyscy wiedzą, które części są najlepsze, troskliwy gospodarz występuje z pomocą. Wybrawszy jakiś smakowity kąsek, uśmiecha się zachęcająco i tka go nam palcami do ust.

Jeszcze raz wnoszą jakieś mięso, po niem miskę miodu o brzegach ugarnirowanych masłem. Na malutkie kawałki keshy nabieramy odrobinę masła i, zanurzywszy to w miodzie, spożywamy z apetytem po ostrych palących sosach. Nie koniec jednak na tem. Podają nam świetne naleśniki, pławiące się w ciepłym miodzie.

Na zakończenie kus-kus. Misa pełna gotowanej z przyprawami kaszy z kilkoma kawałkami tłustego mięsa na środku. Je się tę potrawę w specjalny sposób. Nabrawszy w palce dość sypkiej kaszy, podrzuca się ją na dłoni, nadając uniesionemi do góry palcami kształt kulki. Po kilku wprawnych ruchach kulka jest już ulepiona. Wtedy eleganckim ruchem przy pomocy kciuka wsuwa się ją do ust.

Mnie udało się jakoś prędko pozyskać tę umiejętność. Kolegom szło o wiele gorzej. Karmili ich sziur i Thami, nie mając prawie czasu na jedzenie. Pomagałem im z przyjemnością, pakując kulkę za kulką do ust tym, którzy na początku najwięcej się odgrażali, że palcami nie będą jeść. Przekornie przytem tłómaczyłem, że, jeśli odmówią, obrażą gospodarza.

Po jedzeniu znowu mycie rąk. Berberowie nabierają dłonią do ust wody i oczyszczają zęby palcem tak, jak my to robimy szczoteczką. Wypłókawszy usta i umywszy ręce, ociężale usuwają się ze środka pokoju pod ściany. Następuje prawdziwa orgja dźwięków. To przez głośne odbijanie się wszyscy dają świadectwo temu, że zostali przez gospodarza znakomicie ugoszczeni. Oko sziura z zadowoleniem spoczywa na tym z gości, który to potrafi zrobić najgłośniej i najwięcej razy.

Potwornie objedzeni, wpół leżymy na dywanach. Niewolnicy odpędzają muchy. Przez otwory małych okien, znajdujących się na wysokości podłogi, wpadają do izby podmuchy chłodzącego wiaterku.

Dostajemy jeszcze po trzy szklaneczki herbaty z mięty i po długim odpoczynku ruszamy do namiotów, gdzie nie-

którzy rekordziści w jedzeniu po takiem przyjęciu zabierają się znowu do obiadu ugotowanego przez Mohammeda.

Nagle wpada do obozu jakiś rozkrzyczany Szleuch. Objaśnia nam coś długo i zawile, wskazując stale na mulników, którzy pokładają się ze śmiechu. Zjawia się Thami i tłómaczy, że przybysz oskarża naszych ludzi o kradzież siana.

Z mulnikami była rzeczywiście jakaś niezbyt czysta sprawa. Wyżywienie mułów należało do nich i nic nas nie obchodziło. Co dwa dni każdy dostawał wypłatę i za część jej powinien nabyć wszystkiego, czego mu było dla siebie i dla zwierzęcia potrzeba. Zauważyliśmy jednak, że nigdy nic nie kupują. Ani jeden cent nie ubywał im z otrzymywanych pieniędzy. Skarga więc prawdopodobnie była słuszna. Wnoszący ją Szleuch uspokoił się jednak zupełnie na wiadomość, że wakuje miejsce jednego mulnika. Natychmiast zgłosił akces do naszej karawany i sam potem jak i inni nie wydawał pieniędzy na utrzymanie.

Zbliżał się wieczór. Chmary moskitów obsiadły nasze ciała. Namiotów z powodu gorąca nie można było zamykać, więc rozmaite robactwo hulało w nich. Pogryzieni, długo włóczyliśmy się po obozie, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Okazało się, że Thami rozstawia na noc wokół obozu warty. W kilka minut po jego odejściu każda z nich smacznie chrapała. Zachęceni tym przykładem i my zaczęliśmy się układać do snu.

Nazajutrz rankiem wyruszyliśmy w góry. Na podstawie szkicu, wykonanego przez Korosadowicza, mogliśmy się tak rozdzielić, aby swoją działalnością objąć jak największy teren. Góry typem swym wskazywały na to, że trudności techniczne będą tu niewielkie. Dzięki temu można było w jednym dniu odbyć duży kawał drogi.

Z obozu prawie wszyscy wyjechaliśmy na mułach. Wędrówka piesza w spiekocie jest tak męcząca, że taki

podjazd zaoszczędzał nam zawsze dużo sił. Czasem zresztą pokrywaliśmy na mułach takie odległości, że po ich przejściu pieszo nie mielibyśmy już zupełnie sił na wychodzenie na szczyty.

Chwaściński, Korosadowicz i ja zmierzaliśmy w kierunku, panującego trzema wierzchołkami nad okolicą, Dżebel Tichiaminu. Dotarłszy do zacisznej pod nim doliny, zostawiliśmy tam muły z tem, by na nas czekały.

Zaczynamy iść do góry. Droga nasza nie przedstawia większych trudności, jest jednak bardzo uciążliwa, gdyż afrykańskie słońce grzeje bez litości. Lawirując pomiędzy skałami, z pod których pierzchały spłoszone kuropatwy skalne, wyszliśmy po długiej wędrówce na grzbiet żebra.

Do szczytu było jeszcze daleko. Wędrując coraz bardziej zmęczeni, osiągnęliśmy wreszcie domniemany szczyt poto, by przekonać się, że to tylko garb grani. Mijamy jeszcze jedno i drugie wypiętrzenie grani, łudząc się stale, że to napewno wierzchołek. Wreszcie, gdy zaczyna już ogarniać nas zniechęcenie, ukazują się zdala jeszcze wysoko nad nami trzy kopulaste szczyty Tichiaminu.

Zmordowani upałem wyszliśmy wkońcu na pierwszy. Mierzymy wysokość — 3375 m. Ze smakiem zajadamy kompoty z puszek. Korosadowicz mierzy azymuty poszczególnych kierunków. Z porównania ich ze swą wczorajszą pracą otrzyma o wiele dokładniejszy obraz rzeczywistości. Z radością widzimy, jak powoli zapełniają się kółkami i kreskami, znaczącemi rozmieszczenie szczytów i przebieg grani, białe plamy mapy francuskiej.

Po skończonej pracy zaczynamy trawersowanie trzech wierzchołków. Schodzimy granią na przełęcz i z niej do góry na wyższy o dwieście metrów szczyt. Jeszcze raz wdół dwieście metrów i znowu ciężko dysząc do góry. Okazuje się, że środkowy i wschodni wierzchołek mają 3420 i 3350 metrów.

Siedząc na szczycie, obserwujemy okoliczne wierz-

chołki, gdzie obecnie powinni się znajdować nasi towarzysze. Dżebel Tassillio (2 970 m.) Dżebel Inurcha (3 070 m.) i Dżebel Tadumelt (3 000 m.) trawersują Dorawski, Golcz ze Szczepańskim. Na Dżebel Tazerzemt (3 283 m.) wybrał się Groński, a Gorski i Kiełpiński powinni się znajdować na Dżebel Tifszt (3 100 m). Biała plama zapełniała się polskiemi wyjściami dokładnie.

Ale czas wracać. Nie możemy się zdecydować na to aby w drodze powrotnej wychodzić jeszcze raz na każdy wierzchołek. Uciążliwiej, ale za to poziomo, trawersujemy je pod granią, aby wkońcu po przekroczeniu kilku żeber i grzęd zejść do mułów. Tu przedewszystkiem pijemy dużo wody, a potem bierzemy kąpiel w bryzgającej siklawie. Później z ogromną przyjemnością sadowimy się na grzbietach wierzchowców, które już bez żadnego z naszej strony wysiłku dostarczają nas pod wieczór do obozu.

Powoli ściągają towarzysze. Późnym wieczorem brak tylko jednego z pary, która poszła na Dżebel Tifszt.

Obaj wędrowali dnem głębokiego kanjonu. Gdy postanowili się z niego wydostać, jeden ruszył w lewo, drugi w prawo. Górą obszedłszy wąwóz, mieli się spotkać.

Napróżno jednak czekał pierwszy z nich na drugiego. Gdy po godzinie towarzysz się nie zjawił, zaczął go szukać. Wrócił na miejsce, gdzie się rozstali i badał urwiste skałki, bojąc się, że może kolegę spotkał jakiś nieszczęśliwy wypadek. Nie znalazł go, a i na nawoływania nikt nie odpowiadał.

Przeszukał więc całą przypuszczalną dalszą drogę swego towarzysza. Nigdzie żadnego śladu.

Pognał wtedy w kierunku Dżebel Tifsztu. Nikogo tam nie znalazłszy, wrócił, jak mógł najprędzej, do obozu.

Cała historja wszystkich nas nieco zaniepokoiła. W górach zawsze przecież łatwo o wypadek. Obsunięcie się nawet na niewielkich skałach może się skończyć bar-

dzo nieszczęśliwie. Że jednak trudno coś pomóc po nocy, postanowiliśmy zaczekać do rana.

Thami, który nas zawsze dyskretnie liczył wieczorem, również zaniepokojony zajrzał do nas raz i drugi i wreszcie zostawiając, jak każe zwyczaj, przed progiem pantofle, wszedł do namiotu na pogawędkę.

— Wróci, wróci — zapewnialiśmy go. Napewno nic mu się nie stanie, tylko go noc zaskoczyła w górach.

Dobrze już było po północy, kiedy zbudziły nas głośne okrzyki i nawoływania. Natychmiast chwyciłem nagana. Leżał on zawsze w namiocie pod ścianką w tak wybranem miejscu, by ręka w ciemnościach nie potrzebowała go wcale szukać.

Okazało się, że nagan wcale nie jest potrzebny. Do obozu wchodził właśnie nasz zaginiony kolega, eskortowany przez całą chmarę Berberów.

Jak się później wyjaśniło, Thami zaniepokojony poszedł do sziura. Ten, usłyszawszy, o co chodzi, widocznie nastraszony, że za głowę cudzoziemca może zapłacić swoją, natychmiast pomimo nocy postawił całą wieś na nogi. Tłum ludzi z latarniami i pochodniami wyruszył na poszukiwania i narobił podobno takiego hałasu w górach, że chyba wszystkie muflony z tej okolicy pouciekały. Obudzili więc i naszego kolegę smacznie śpiącego sobie pod kamieniem.

Teraz dopiero wyjaśniła się cała historja.

On również w umówionem miejscu długo czekał na towarzysza. Potem zaniepokojony szukał go wszędzie i głośno nawoływał. Wreszcie nie mogąc się doczekać, ruszył na szczyt.

Przez pomyłkę jednak, zamiast na Dżebel Tifszt, wyszedł na zdobyty już przez nas wschodni wierzchołek Dżebel Tichiaminu.

W drodze powrotnej, gdy zapadły ciemności, zatrzymał się, by przeczekać aż do świtu.

Wysłuchawszy całego opowiadania i nie mogąc sobie

w zaspanych głowach wyjaśnić, dlaczego właściwie pomimo tak skrupulatnych poszukiwań koledzy nasi się nie znaleźli, postanowiliśmy spać sobie dalej. Cały za to następny dzień, poświęcony odpoczynkowi, rozpatrywaliśmy tę kwestję, żartując sobie z niefortunnego wypadku.

Wypełniwszy swoje zadanie w Ait Attik, ruszyliśmy przez białą plamę w kierunku Ichil Mgunu. Olbrzymie doliny górskie, przez które jechaliśmy, ciągnęły się całemi kilometrami prawie zupełnie poziomo. Posuwając się stale na wschód, stwierdziliśmy bardzo daleki w tym kierunku zasięg doliny Assif n'Tessaut.

W jej górnej części zatrzymaliśmy się na nocleg w miejscowości Ams Zri, gdzie miał miejsce jedyny podczas całej podróży wypadek złego przyjęcia przez krajowców. Sziur nietylko nas nie zaprosił, ale nawet robił trudności przy wyborze miejsca pod namioty. Cała ludność tej wioski, jednej z największych, jakie widziałem w Atlasie, przyglądała się nam bardzo nieprzychylnie. Konie i muły nie dostały tu paszy a nasza eskorta, przez wzgląd na którą musieliśmy się zawsze zatrzymywać w osadach, tym razem nie dostała żadnego dachu nad głową. A że noc była dziwnie zimna, biedacy byli rano bardzo niewyspani.

Rankiem jak najśpieszniej opuściliśmy tę okolicę i przez wysoko położoną Tizi Rugult przedostaliśmy się do doliny Rugult. Tam spotkało nas znowu gościnne przyjęcie, gdy zatrzymaliśmy się na krótką przerwę w południe. Z okien najwyższego piętra ośmiopiętrowej chyba kazby roztaczał się malowniczy widok na osadę i wokół niej leżące na stromych zboczach cmentarze. Te ostatnie są w górach Atlasu beznadziejnie smutne. Niewielki kawałek często na pochyłem zboczu położonej piaszczystej zwykle ziemi, niezawsze nawet otoczony murkiem z kamieni, pokryty jest gęsto szeregami nagrobków. Tworzą je kilkunastocentymetrowe lub nieco większe kamyki powtykane w ziemię.

Po południu ruszyliśmy doliną Ait Mallal dnem długiego malowniczego wąwozu, tak typowego dla Mgunu. Wszędzie tu szerokie o łagodnych zboczach doliny i olbrzymie, gdzie niegdzie tylko postrzępione łańcuchy górskie, zamykają w swych dolnych partjach bardzo urwiste, czasem zupełnie niedostępne kanjony.

Skręcając do doliny Ait Bu Guemmez, musieliśmy bokiem wznieść się do góry powyżej takiego niedostępnego wąwozu. Nad nim dolina tworzyła niespodziewanie ogromną płaszczyznę, liczącą kilkanaście kilometrów kwadratowych. Na kilku pagórkach, wznoszących się z niej stożkowato, widać było na tle nieba rysujące się kazby.

Zbliżaliśmy się do Ait Arus.

DŻEBEL AMSOD.

Ponad górnemi piętrami doliny wznosił się niewidoczny z obozu najwyższy szczyt tej grupy Amsod (4 070 m) Potok, tworzący powyżej Ait Arus olbrzymi niedostępny kanjon, sprawiał, że w jednym dniu w żaden sposób nie można było osiągnąć szczytowej grani odległego wierchu. To też po południu, spakowawszy plecaki, wyruszyli nań Golcz i Gorski, spodziewając się wrócić dopiero nazajutrz wieczorem.

My wszyscy pozostali postanowiliśmy wybrać się w teren dopiero następnego dnia rano.

Wygodną ścieżką mułową dotarliśmy do podnóża grzbietu, oddzielającego nas od doliny położonej bezpośrednio pod Amsodem. Głęboki kanjon dzielił ten grzbiet na dwie części. Na jedną z nich, tworzącą szczyty Dżebel Ochri (3 600 m.) i Dżebel Maaral (3 750 m.), ruszyli Dorawski, Kiełpiński i Szczepański. Chwaściński i ja zamierzaliśmy przedostać się poprzez drugą część grzbietu, by potem dokonać wyjścia na Amsod.

Kanjon według relacji miejscowej ludności był nie do przejścia, więc też droga nasza omijała go bokiem i górą. By nie tracić czasu na wyszukiwanie nikłej perci, wzięliśmy ze sobą przewodnika. Nie mogąc się jednak porozumieć z nim inaczej niż na migi, na wszystkie nasze podejrzenia i wątpliwości, czy doprawdy niema jakiejś krótszej drogi, otrzymywaliśmy odpowiedź — Amsod, łacha, łacha (dobrze, dobrze).

Po długich kołowaniach wydostaliśmy się na wysoki skalisty grzbiet. Tu po raz pierwszy ukazał nam się Amsod. Zatrzymawszy muły, poczęliśmy się mu przypatrywać i robić fotografje.

Odrazu było widać, że to właśnie jest największy w całej okolicy szczyt. Ogromny i wymarły, zrzadka popstrzony białemi płatami śniegu, jakgdyby obejmował swemi ramionami dwie doliny. Z obu jego stron ciągnące się dwie olbrzymie granie, pełne były szczytów i łagodnych turni.

Ponieważ Golcz i Gorski idą już prawdopodobnie prawą z nich, Chwaściński i ja postanawiamy wyruszyć na lewą.

Wciąż jeszcze na mułach wyjeżdżamy na maleńki szczycik Dżebel Khalifat (około 3 320 m.) i tu dopiero po sześciu godzinach jazdy rozstajemy się z niemi. Stąd również odsyłamy przewodnika, który nam już więcej nie jest potrzebny.

Z Dżebel Khalifatu musimy obniżyć się około pięciuset metrów na dno doliny. Szybko zbiegamy wygodnem zboczem wdół, z niechęcią myśląc o tem, że za chwilę będzie się trzeba piąć do góry w upale.

Na dnie doliny mijamy wyschnięte łożysko potoku i w cieniu skałek, tworzących nad nami coś w rodzaju kopuły, zatrzymujemy się dla zjedzenia posiłku. Jest właśnie południe i zaczyna nam dokuczać pragnienie. Szukam w szparach między głazami wody, ale nie ma jej nigdzie, a nie chcąc się niczem obciążać, nie zabraliśmy ze sobą do manierek żadnego jej zapasu.

Do grani mamy jeszcze około 1 300 metrów wzniesienia. Droga nasza nietyle wygodna co łatwa prowadzi uciążliwym dla marszu, ogromnym piarżystym kotłem.

Kto wie, co to znaczy iść usypiskiem do góry, a doda do tego sobie w myśli afrykański upał, ten zrozumie, cośmy się tam nacierpieli.

Pragnienie dokuczało nieznośnie, język zupełnie su-

chy, przylepiał się podniebienia i nigdzie nie było widać nawet małego skrawka cienia. Ogromny piarżysty amfiteatralny cyrk, a w nim rozżarzone drgające powietrze. Kamienie parzyły niemal stopy, to też wlekliśmy się z wielkim trudem krok za krokiem.

Nagle z prawej strony w skałkach ograniczających kocioł, dostrzegliśmy wysoko nad nami płat śniegu.

Śnieg to możność zaspokojenia dręczącego pragnienia. Opuszczamy więc łatwe, choć straszliwie męczące piarżysko, i zaczynamy iść po jeszcze gorszem, stromem i stale obsuwającem się usypisku. Każdy krok był tu walką o bodajże kilkanaście centymetrów wzniesienia się. Nigdzie nie można było znaleźć jakiegoś stałego punktu oparcia i całe zbocze sunęło wraz z nami wdół.

Odetchnęliśmy z ulgą, wydostawszy się wkońcu na dosyć trudne, lecz o ile przyjemniejsze skałki. Po długiej niemi wędrówce, o piątej po południu dotarliśmy do śniegu.

Topiliśmy go na spirytusowej maszynce. Woda była mętna, zanieczyszczona pyłem. Mimo to jednak nigdy chyba w życiu nie piliśmy smaczniejszej herbaty.

Wypoczęci, najedzeni, a przedewszystkiem z zaspokojonem już pragnieniem ruszyliśmy w dalszą drogę. Kruchy kominek wyprowadził nas na strome płyty. Po piargu męczącym nas przedtem wydały się niezwykle sympatycznemi.

Zaczęło się ściemniać. Księżyc wypłynął z za grani a my wciąż idziemy do góry. Było jeszcze dosyć widno, by móc pokonywać stosunkowo niezbyt trudny teren.

Dopiero, gdyśmy wyszli na ogromną platformę śnieżną pod samym szczytem, ściemniło się zupełnie. Tuż nad nami majaczył jednak wierzchołek, opadający ku nam zupełnie łatwem zboczem.

Napełniliśmy manierki i wszystkie menażki śniegiem i z tym balastem osiągamy w ciemnościach szczyt. Mie-

rzymy aneroidem wysokość. Przy świetle latarki odczytuję 4010 metrów.

Rozbijamy na kamieniach nasz malutki namiocik i zaczynamy gotować kolację. Wieje zimny wiatr i robi się coraz chłodniej.

Ponieważ po kolacji nie chce się nam jeszcze spać, wybudowawszy sobie wygodne fotele z kamieni, gawędzimy długo, wspominając wszystkie w górach spędzone noclegi.

Rankiem, grzejąc się w promieniach wschodzącego słońca, zjadamy śniadanie i ruszamy w kierunku Amsodu. Łatwą zupełnie granią osiągamy następny szczyt.

Wtem niżej, na przełęczy, dostrzegamy dwie postaci ludzkie. To Golcz i Gorski, którzy idą naprzeciw. Po wyjściu na Amsod schodzą właśnie tą granią, którą my teraz idziemy.

Po chwili spotykamy się. Okazuje się, że nie mają już zupełnie jedzenia, oddajemy im wobec tego nasze zapasy. Dopiero teraz jedzą śniadanie.

Żegnamy się i rozchodzimy w przeciwne strony. Trawersujemy jeszcze po przez dwa szczyty i wkońcu osiągamy Amsod.

Na szczycie kopiec kamienny ułożony przez pierwszych zdobywców. Jest to jedyny wierzchołek w tej grupie zdobyty jeszcze przed naszem przybyciem. Nasi towarzysze dokonali trzeciego wejścia, my zdobyliśmy go po raz czwarty.

Niedługo trwa odpoczynek. Zaczynamy schodzić ze szczytu na przełęcz, leżącą między Amsodem a następnym szczytem, z niej zaś zupełnie łatwo do piarżystego cyrku.

W jego dno wcinał się głęboko ciasny wąwóz, na którego dnie huczał potok, spadający z progów kaskadami i co chwila chowający się pod ogromne zwały śnieżne, które tu przetrwały od zimy. Gdzie niegdzie ściany wąwozu pionowe i wysokie na jakieś sto metrów niemal

Na szczycie Dżebel Tarkeditu (4.010 m.). Przed namiotem typu „Wigwam“ stoi Chwaściński.

fot. J. Wojsznis.

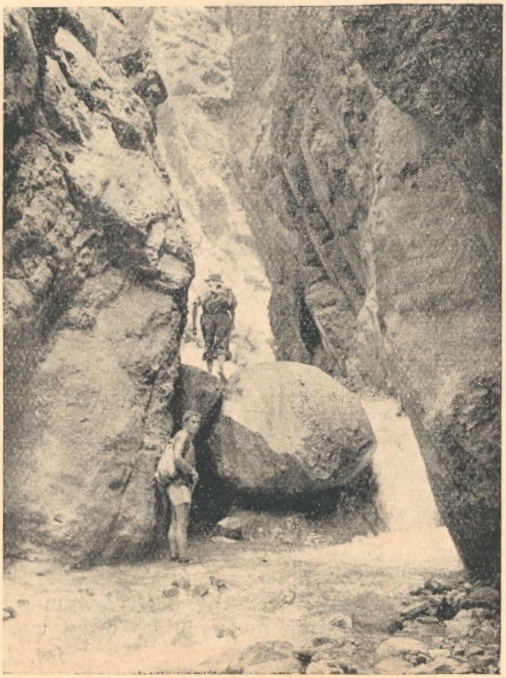

W kanjonie rzeki Arus. *fot. J. K. Dorawski.*

Wysoka kilkupiętrowa kazba w dolinie Ait Bu Guemmez.
fot. J. Wojsznis.

Postój karawany podczas dnia. Na dywanie tace z przyborami do zaparzania herbaty. Z prawej strony siedzi Gorski. W środku Mohammed ben Said. Nad nim kucharz. W lewym górnym rogu widać grzbiety przygotowanych do drogi mułów.
fot. J. Wojsznis.

schodziły się nad nami zupełnie. Wtedy zdawało się, że opuszczamy się szczeliną w głąb ziemi.

Lawirując między wodospadami, przemoczeni zupełnie, zaszliśmy wkońcu na dół do górnej części doliny. Stąd można było już zupełnie łatwo osiągnąć okrężną drogę, która prowadziła nas pod Amsod.

Zachęceni jednak tem, że powiodło nam się przejście wąwozu, postanawiamy ruszyć wprost na dół, by przedostać się najkrótszą drogą poprzez olbrzymi kanjon. To, że przewodnik nasz nie chciał tamtędy prowadzić mułów, nie dowodziło jeszcze, że nie przejdzie tam człowiek. Zwłaszcza gdy jest taternikiem.

Dolina, zwężając się, doprowadziła nas od góry do potężnego jaru. Po przez ograniczające go ściany próbujemy zejść na dół, by osiągnąć jego dno.

Daremnie. Wszelkie próby kończą się niepowodzeniem. Wszędzie napotykamy wdole pozbawione chwytów i stopni urwiska. Gładkie wyślizgane ściany są nie do przebycia. Musimy mozolnie piąć się do góry, by poszukać przejścia w innem miejscu.

Przewinąwszy się górą na drugą stronę olbrzymiej grzędy, natrafiliśmy na boczną dolinkę. Była ona tak położona, iż mogliśmy przypuszczać, że ujście jej jest już poniżej kanjonu.

I tu jednak po pewnym czasie zaczęły nam zagradzać drogę strome progi i wodospady. Głodni i zmęczeni z determinacją schodziliśmy nią jednak dalej. Zbliżał się wieczór i choć trudności napotykaliśmy coraz większe, trzeba się było spieszyć.

Chwaściński schodzi wdół trudną bardzo rynną. Ja tymczasem usiłuję dotrzeć do grzędy, zasłaniającej nam widok z boku. Może tam odkryje się jakaś możliwość przejścia.

Skała jest bardzo krucha, to też skradam się ostrożnie. W pewnej chwili jednak cały duży stopień rusza z pode

mnie wdół. Uskoczywszy w bok, udało mi się utrzymać równowagę.

Tymczasem wyrwany stopień stacza się szybko pociągając za sobą całą masę bloków. Hurgot potężnieje i po chwili już cała lawina kamienna toczy się wdół. Zamarły w bezruchu patrzę, gdzie się skieruje.

Najprzód pojedyńcze bloki potem olbrzymie głazy, skacząc jeden przez drugi, zaczynają spadać do rynny, w której przed chwilą zniknął Chwaściński. Prawie cała lawina idzie tamtędy. Nieustanny grzmot wypełnia cały wąwóz i czuć silny zapach dwutlenku siarki, rozchodzący się od rozbijanych kamieni. Nawet najmniejszy z nich wskutek ogromnej szybkości wystarcza zupełnie do strącenia mego towarzysza.

Wreszcie minęło wszystko i zapanowała cisza. Ze ściśniętego gardła wyrwał mi się okrzyk. Na szczęście otrzymałem odpowiedź.

— Nic ci się nie stało? — pytam.

— Nic. A tobie?

— Też nic.

Niebawem wynurza się z fatalnej rynny jego głowa. Po kilku minutach dochodzi do mnie i zaczynamy opowiadać sobie doznane wrażenia.

— Na dole pod rynną znalazłem pionowy zupełnie próg nie do przejścia. Spływa po nim kaskada wody. Wracałem więc znowu do góry tą samą drogą. W pewnym momencie, sam nie wiem dlaczego, wyszedłem z rynny w prawo na żeberko. Coprawda dzieli je tylko jeden krok, więc zrobiłem go być może machinalnie.

— Znalazłem się pod przewieszką i właśnie zamierzałem zpowrotem wrócić do rynny, gdy rozległ się straszliwy huk i jazgot. Czemprędzej wtuliłem się pod przewieszkę i przylgnąłem do niej całem ciałem. Niemal rozpłaszczyłem się. Zrozumiałem natychmiast, że tylko ona mnie może uratować.

— Olbrzymie bloki, odbijając się od przewieszki tuż

Typ Szleucha zamieszkującego wysoko położone doliny górskie. *fot. J. Wojsznis.*

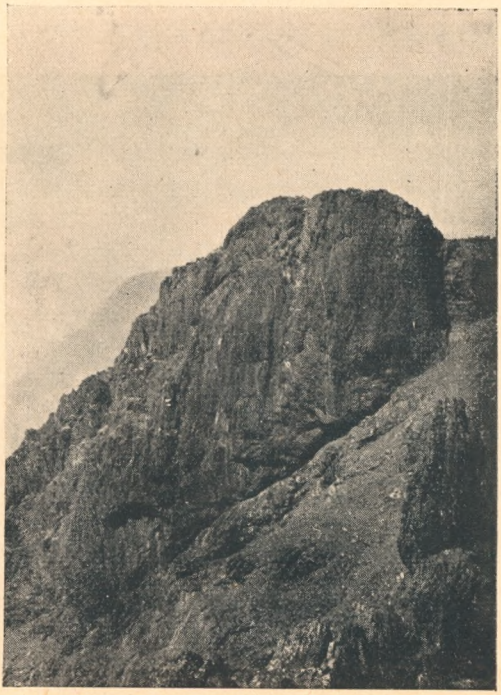

Wierzchołek Dżebel Tassiutu. *fot. J. K. Dorawski.*

Ulica wioskowa.

fot. J. Wojsznis.

Belaid ben Ali (z prawej strony) wraz z mulnikami odpoczywa w cieniu drzew.

fot. J. K. Dorawski.

nad moją głową, wyskakiwały w powietrze wspaniałemi susami.

— Ale piękna lawina — kończy opowiadanie. — Myślałem, że i ciebie zmiotła. Patrzyłem tylko, kiedy fruniesz nade mną.

— Ty myślałeś — odpowiadam — ja już wogóle nie myślałem. Ale za to miałem zupełną pewność, że ciebie trzeba będzie zbierać do garnuszka łyżeczką.

— Nie tak prędko. Ale co dalej z nami?

— Ano zobaczymy.

Jest już zupełnie ciemno i dalej iść niepodobna. Postanawiamy jednak.

— Nocujemy dopiero wtedy, gdy ten kominek nie puści.

Kominek oczywiście poomacku nie puścił, więc drugi nocleg w skałach na tej wyprawie stał się faktem. Siadamy na kamieniach otuleni namiotem. Nogi chowamy do plecaków. W ten sposób jest nam zupełnie ciepło.

Noc dłużyła się niepomiernie. Niebo było czyste i tak lśniące tysiącami gwiazd, że nigdy jeszcze podobnego podczas naszych biwaków górskich nie widzieliśmy. Zmęczenie jednak przemogło wkońcu głód i zapadliśmy w drzemkę.

Minęła wreszcie noc i zaczęło się rozwidniać. Myśląc o czekających nas w obozie przysmakach, prędko nałożyliśmy na ramiona plecaki. Decyzja co do kierunku drogi zapadła szybko.

Prosto wgórę na wznoszącą się nad nami grań, a potem z niej prosto wdół do doliny. Stamtąd będzie już zupełnie łatwo. W ten sposób rozwiązaliśmy w teorji na poczekaniu problem wydostania się z matni. Na szczęście w praktyce poszło to nie o wiele trudniej.

Wprawdzie, schodząc z grani, trzeba było tu i ówdzie lawirować, szukać możliwości przejścia, wracać się, gdy nagle zbocze pod stopami się urywało, mimo to wszystko

jednak osiągnęliśmy wkońcu z westchnieniem ulgi dno doliny już poza kanjonem.

Stąd do obozu było jeszcze dosyć daleko, droga jednak nie przedstawiała już żadnych trudności. Szybko szliśmy ścieżką mułową, ledwie zatrzymując się na sekundę, by rzucić okiem na wygrzewającą się w słońcu olbrzymią, szmaragdową jaszczurkę.

Na spotkanie nasze, gdy zbliżaliśmy się do namiotów, wybiegli towarzysze, witając nas głośnemi okrzykami. Ale nie mogliśmy odrazu zaspokoić ich ciekawości. Musieli czekać aż skończymy uzupełniać zaległości w jedzeniu. A trwało to dosyć długo, zanim za jednym zamachem załatwiliśmy się z wczorajszym obiadem i kolacją oraz z dzisiejszem śniadaniem.

Dopiero potem zaczęły się opowiadania. Podczas naszej nieobecności zwiedzono bliżej położone szczyty. Kiełpiński i Korosadowicz wyszli na Dżebel Tazirt (3 160 m.) i potem wspólnie z Grońskim zwiedzili Dżebel Tafanfan (3 060 m.). Oprócz nas, kanjon dał się jeszcze we znaki trójce zwiedzającej Maaral i Ochri. Mniej od nas uparci nie nocowali coprawda, ale zato, straciwszy pięć godzin na obejście, dotarli dopiero o północy do obozu.

Dziś zato postanowili ruszyć w siedmiu do kanjonu, by zwiedzić go od dołu. Wkrótce też dosiadają mułów i ruszają w drogę. Nasza dwójka, życząc im powodzenia, wygodnie układa się w cieniu wysokiego orzecha.

Następnego dnia Golcz i Gorski ruszyli na dwa dni w okolicę Amsodu z zamiarem zdobycia Dżebel Tazegzaultu (3 890 m.)

Mnie natomiast nęciła okazja zwiedzenia jaskiń, znajdujących się pono w dalekiej dolinie Assif Ifulen. Ponieważ w planie naszej działalności ułożonym w porozumieniu z porucznikiem Gauthier nie była zupełnie uwzględniona ta odległa okolica, postanowiłem tam się wybrać pod opieką karabinu Mohammeda ben Saida.

Wczesnym rankiem porzuciliśmy obóz. Droga była

przed nami daleka, postanowiłem więc jechać tak prędko, jak tylko zdołamy. Mój zgoniony muł musiał być tego dnia bardzo niezadowolony ze swojego pana.

Do przełęczy pod Dżebel Khalifatem dotarłem znaną mi z przejazdu pod Amsod ścieżką. Stamtąd mieliśmy już tylko stale jechać wdół.

Pędząc wciąż szaleńczem tempem bez chwili wytchnienia, dotarliśmy do doliny Assif Ifulen. Nieckowate jej dno, w ciekawy sposób wzdłuż przerżnięte dwoma równoległemi wąwozami, pozwoliło przejechać bokiem.

Raz tylko zatrzymaliśmy się po drodze przed szałasem pasterskim, pokrytym matami plecionemi ze słomy. Tam pozdrowiono nas gościnnie i gdy nie chcieliśmy zejść z siodeł na ziemię, podano nam w poczęstunku tackę daktyli i miseczkę miodu.

W południe wreszcie dotarliśmy do okolicy, pełnej fantastycznie postrzępionych skałek. Na płaskim placyku, otoczonym regularnym pierścieniem skał, wznoszących się niby niewysokie grzebienie i maczugi, postanowiłem założyć na ten dzień obóz. Przede mną widniały otwory szeregu oryginalnych w rysunku, lecz bardzo płytkich niestety jaskiń.

Wobec przychylnego stosunku spotkanych po drodze pasterzy natychmiast odesłałem Mohammeda ben Saida, nie chcąc go narażać na nocleg zdala od wygodnych kazb. Na wszelki wypadek zostawał mi jeszcze wiszący na biodrze naładowany nagan.

Rozstawiwszy mój malutki namiocik „wigwam", włóczyłem się po okolicy aż do zupełnego zapadnięcia ciemności.

Jaskiń było niestety mało. Za to ze wszystkich stron sterczał prawdziwy las kilku lub kilkunastometrowych postrzępionych turnic.

Podmyte od dołu sprawiały wrażenie jakichś dziwnych roślin, kępami pokrywających prawie płaskie czer-

wone pola. Przewijał się wśród nich dziesiątkiem zakrętów leniwie płynący wąziutki strumyczek.

Noc przeszła spokojnie i następnego dnia trzeba było niestety już wracać. Tym razem jednak postanowiłem objechać z drugiej strony masyw górski, leżący mi na drodze.

Wyruszywszy o świcie, zdążałem w stronę przełęczy Tizi n'Ait Imi. Po drodze zainteresowała mnie długa grań całego łańcucha, jakim od przełęczy ciągnie się na wschód Dżebel Tiferdin.

Zostawiłem więc muła i ruszyłem wprost przed siebie na jego grań. O samym szczycie nie mogło być mowy ze względu na dużą odległość, ale udało mi się zwiedzić nienazwany szczyt, leżący w łańcuchu Dżebel Tiferdinu pomiędzy nim a przełęczą.

Ze szczytu schodziłem grzbietem wprost na przełęcz. Grań zbudowana z kilkudziesięciometrowych wielkich, na kancie stojących płyt, pozwalała na cudowną wędrówkę. Można nią było zbiegać niby równym, czasem metr, czasem pół metra szerokim chodnikiem, opadającym z obu stron zupełnie prostopadle wdół. Była to prawdziwie powietrzna wędrówka. Gdy kończył się jeden chodnik, trzeba było skakać na drugi położony niżej. Tak wciąż biegnąc i skacząc, dotarłem niemal do samej przełęczy.

Potem, dosiadłszy muła, przejechałem przez Tizi n'Ait Imi do doliny Ait Bu Guemmez. Jej dnem wśród malowniczo na stożkowatych pagórkach położonych kazb dotarłem wkońcu do drugiej strony do naszego obozu w Ait Arus.

Tu zastałem wielkie poruszenie, robiono bowiem przygotowania do przyjęcia porucznika Gauthier. Koledzy otrzymali wiadomość, że właśnie dziś tutaj zjedzie.

Początkowo miał on zamiar dokonać wraz z nami szeregu wyjść szczytowych. Jednakże w międzyczasie dostał od swych władz polecenie odbycia wizytacji swego okręgu, musiał więc zrezygnować z planów alpinistycz-

nych. Ułożył jednak tak swą podróż, by nas w Ait Arus odwiedzić.

Już od rana cała wieś przygotowywała się na jego przyjęcie. Poprawiano drogi i budowano nowe mosty, ażeby mu umożliwić najwygodniejszy dojazd. Co chwila przybiegali posłańcy z sąsiednich wiosek, donosząc o zbliżaniu się porucznika. Wreszcie dowiadujemy się, że wyruszył on już z sąsiedniej kazby.

Wkrótce słychać strzały. To Berberowie odgrywają widowisko wojenne: atak konnicy na piechotę. Z niesłychaną brawurą atakuje ją kawalerja. Piesi wojownicy bronią się, lecz daremnie. Konni zwyciężają i przeskakują w galopie leżących na ziemi. Niewiadomo co więcej podziwiać, umiejętność jazdy, czy też odwagę leżących.

Żołnierze nasi sformowani w szeregu oczekują na przybycie swojego zwierzchnika. Sziur wioski w otoczeniu najpoważniejszych starców wychodzi naprzeciw. Na dachach domów ustawiają się kobiety z jakiemiś proporcami i sztadarami.

Wreszcie ukazuje się komendant. Jedzie w towarzystwie oficera z zarządu lasów. Za nimi mohrazni z czauszem na czele. Przed nimi tańczy kilku młodych Berberów, grając na bębenkach i wydając przeraźliwe wrzaski.

Porucznik wita się z nami, a następnie podchodzi do starszyzny wioskowej. Sziur podaje mu symboliczną miseczkę mleka. Gauthier zwilża w mleku dwa palce i podnosi je do ust. Potem wita się z nimi, podając im rękę. Każdy z Berberów po przywitaniu całuje z szacunkiem swe palce. Pospólstwo wioskowe dotyka ręką jego kolan, tak samo ją potem całując.

Tymczasem kobiety zaczynają na jego cześć śpiewać. Od czasu do czasu przebija się wysoki ton trylu.

Zbliża się już wieczór i sziur zaprasza nas wszystkich na przyjęcie. Pomiędzy wielkiemi orzechami układają barwne dywany. Naokoło zapłonęły ogromne stosy drzewa.

Opodal szereg trójnogów z rozżarzonym węglem drzewnym zapowiada obfitą ucztę . Zapach lawendy, sypanej do ognia dla zabicia swędu, miesza się z zapachem świeżo zżętego siana. Ukryte w trawie świerszcze ćwierkają. Zasiadamy na dywanach, krzyżując nogi pod siebie. Jest zupełnie ciemno, służba raz po raz dorzuca drzewa do ognia.

Przed płonące stosy wychodzi kilku młodych Berberów z tamburkami. Nagrzewają swoje bębenki nad ogniem, by lepiej się skóra naciągnęła i rozpoczynają taniec. Jeden z nich staje na środku, a reszta otacza go kołem. Raz po raz któryś z nich wydaje przeciągły głośny okrzyk. Zaczynają dreptać w miejscu, wydając coraz częściej dzikie krzyki i uderzając bezustannie w bębenki. Dreptanie staje się coraz szybsze, a okrzyki przechodzą w gardłowy śpiew. Monotonna muzyka bębenków i dziki, również monotonny śpiew działa na nich podniecająco. To przysiadają, to podnoszą się, wijąc się jakby w epilepsji.

Tymczasem służba przynosi jedzenie. Na dużych glinianych misach podają pieczone barany i kury.

Brodaty sziur o orlim profilu, ubrany w białą dżellabę siedzi milczący, posępny. Ciekaw jestem, o czem myśli. Czy o dawnych czasach, gdy nie było tu rumi (giaurów), czy też o swym poprzedniku krewniaku, który został przez Francuzów zamknięty do więzienia. Nachmurzony przez cały czas uczty nie wymówił ani jednego słowa.

Resztki jedzenia odnosi służba czauszowi i starszyźnie wioskowej. To, co ci zostawią, wędruje zkolei do zwykłych mohraznich. Od nich poniosą tace wioskowemu pospólstwu.

Zmęczonych tancerzy zastępują nowi. Ustawiają się długim szeregiem i czekają. Naprzeciwko nich wychodzą barwnie ubrane kobiety. Berberki nie noszą czarczafu. Ale twarze mają tatuowane podobnie jak Arabki z dolin. Elegantki posiadają również wytatuowaną obrączkę wokół kostek nóg.

Życie kobiety jest tu ciężkie. Jako małe dziecko pracuje, pasąc bydło i pomagając w domu. Potem jako panna zostaje zamknięta w kazbie, gdzie zajmuje się haftem i tkaniem. Dopiero jako żona i matka zaczyna się cieszyć większym szacunkiem, zwłaszcza, jeśli jest matką pierwszego syna.

W Ighir n'Igherm naprzykład, kiedyśmy się już zaprzyjaźnili, pani domu wspaniale wystrojona uczestniczyła zdaleka w przyjęciach. Siedząc w progu i nic nie jedząc, wydawała jednak polecenia służbie i pilnowała, czy wszystko się odbywa, jak należy.

U biedniejszych Berberów kobieta spełnia najcięższe prace. Cała uprawa roli, żniwa, znoszenie zżętego zboża do stodoły to wszystko niemal wyłącznie kobieca praca.

Cztery razy do roku w święta religijne młode kobiety wychodzą z domu, aby brać udział w tańcach. Czasem częściej, z okazji takich naprzykład uroczystości jak dzisiejsza.

Mężczyźni już ustawili się w szeregu. Naprzeciwko w drugim stoją kobiety. Rozpoczyna się śpiew chóralny, dziki i monotonny. Muzykanci biją nieustannie w bębenki. Z pomiędzy szeregów wychodzi kobieta i mężczyzna; para ta tańczy na środku, podczas gdy pozostali drepczą w miejscu. Co chwila padają głośne okrzyki.

Tancerze przysiadają od czasu do czasu, a potem zrywają się, wyrzucając ręce do góry. Na bransoletach i naszyjnikach kobiet wśród paciorków, zwisających na szyi, i innych ozdób migocą błyski, rzucane przez ogień. Teraz wszystkie kobiety tańczą parami, trzymając się pod ręce. Młodzi muzykanci znów nagrzewają bębenki i zaczynają dreptać w miejscu i skakać. Coraz to wyskakuje ktoś z szeregu z podniesionemi rękami i wyrzuca bezwładnie głowę na wszystkie strony. W blaskach płonącego stosu widać nieprzytomne i roznamiętnione twarze tańczących.

Jest już dobrze po północy, gdy ogniska zaczynają

przygasać. Rozchodzimy się do namiotów znużeni monotonją muzyki. Długo jednak, zanim zasnąłem, dochodziły mnie jeszcze piskliwe okrzyki i głośne tryle, odbijające się dalekiem echem wśród ścian doliny.

Następnego dnia rankiem przyjęliśmy porucznika kunsztownie przez Mohammeda przyrządzonem śniadaniem. Potem gość nasz, otrzymawszy od nas szkice drogi, ruszył dalej w podróż. Na nas również był już czas wracać do Marrakeszu.

W ostatnich dniach jeden z kolegów, spokojny przedtem jeździec, dzięki walorom swego muła zaczął zbyt często zabierać podczas jazdy pierwsze w szeregu miejsce. Może w jego wierzchowcu obudziła się żyłka sportowa, a może był on zwykle używany do prowadzenia karawany, w każdym razie wyróżniał się ambicją i siłą z pomiędzy swoich towarzyszy. Zamiast przepuszczać jak one ścigantów, nawet niepoganiany przez jeźdźca ruszał sam szybciej. Gdy zaś dosiadający go kolega nagle nabrał chęci do wyścigów, nie można było zająć lepszego miejsca niż drugie.

Opuszczając Ait Arus, w drodze powrotnej do Demnat postanowiliśmy z nowym konkurentem stoczyć walkę o prymat. Miała się ona rozegrać w szerokiej i płaskiej dolinie Ait Bu Guemmez.

Zwyciężyć nie było łatwo. Wszystkie muły tak bały się ambitnego wierzchowca, że o wyminięciu go, bok w bok, nie było mowy. To też zastosowaliśmy we dwóch z Chwaścińskim odmienną taktykę.

Zjechawszy ze ścieżki jeden na lewo, drugi na prawo, oddaliliśmy się od niej na pewną odległość. Tam dopiero równolegle do szlaku ruszyliśmy z kopyta, wbijając zaostrzone patyki w szyje zwierząt i łomocąc piętami po bokach. Gdy do tego jeszcze podnieśliśmy straszliwy wrzask, krzycząc jeden przez drugiego: „Irra, arra“ przerażone zwierzęta z kłusa przeszły w galop. W ten sposób

gnaliśmy we dwóch po przez wertepy, mając w pewnej odległości między sobą, pędzącego po ścieżce konkurenta.

Przytulony do szyi muła, wrzeszcząc jak opętany, patrzyłem tylko, kiedy wraz z nim się zwalę. Wiatr świszczał mi w uszach, kamienie rozlatywały się pod uderzeniami kopyt, a derki wraz z dywanikiem powoli zaczęły się wysuwać z pode mnie. Z całych sił objąłem wierzchowca nogami i rzuciłem w bok okiem. Jechaliśmy wszyscy mniejwięcej na jednej linji.

Muł pędził przed siebie potężnemi susami, przesadzając brózdy i głazy. Długo to trwało, zanim spostrzegłem, że jednak powoli linja nasza wygina się w środku ku tyłowi. Wydając już teraz radosne okrzyki, zaczęliśmy skręcać w kierunku ścieżki.

Jeszcze kilka chwil szalonego galopu po przez wertepy i osiągnęliśmy jeden za drugim drogę. Pokonany coraz więcej zostawał wtyle. Tak więc dzięki naszemu kunsztowi jeździeckiemu osiągnęliśmy zwycięstwo.

Długo jeszcze pędziliśmy naprzód, zostawiając daleko za sobą całą karawanę.

Ścieżki wszędzie były świetnie wyporządzone na przejazd porucznika Gauthier. W niektórych miejscach w trudnym terenie górskim widać było z olbrzymim nakładem pracy kunsztownie wykonane przejazdy.

Pod wieczór, dojeżdżając już do osady, gdzie mieliśmy się zatrzymać na noc, minęliśmy samotnie przy drodze stojące drzewo. Pień jego i wszystkie gałęzie, tak były pokryte od góry do dołu szmatkami, nićmi, malutkiemi nitkami, wiszącemi na sznureczkach, i całą masą różnych gałganków, że nie było wogóle z pod nich widać liści. W zmroku wieczornym trudno się było zorjentować, czy to tylko pień suchy czy jeszcze żyjące drzewo. Zabobonni tubylcy ubrali je w ten sposób, lecz dlaczego, tego Thami nie chce wyjaśnić.

Dopiero na drugi dzień dojechaliśmy do Demnat. Wtedy to ostatniego dnia pobytu w Mgunie przystąpiłem i ja

pomimo swej woli do elity zgrupowanej w klubie dżentelmenów.

Gdy ścigaliśmy się w kilku na szerokiej chwilowo ścieżce, muł mój szybko cwałujący potknął się nieszczęśliwie i zwalił potężnie. Wyrzucony jak z procy zorałem nagiemi plecami piarg, pokrywający drogę. Przed oczyma mignęły mi kopyta pędzących obok rumaków. Jadący tuż za mną, omal mnie nie stratowawszy, osadzili prawie w miejscu swe wierzchowce. Szybko zerwałem się z ziemi i z przyjemnością stwierdziłem, że poza zdarciem skóry na plecach nic mi się więcej nie stało.

Po raz drugi po trzech tygodniach, przejeżdżając koło Imi n'Ifri, ze zdziwieniem zobaczyliśmy zamiast dawnej ścieżki mułowej dostępną dla samochodów drogę. Prowadząc do Demnat, przerzuca się ona nad wąwozem, przez most naturalny i biegnie jeszcze kilkaset metrów dalej.

Przy takiem tempie budowy dróg nic dziwnego, że pokrywają one Marokko z dnia na dzień coraz gęstszą siecią.

W Demnat nie zatrzymaliśmy się tym razem. Szczęśliwie złapane auto dowiozło nas jeszcze przed wieczorem do Marrakeszu.

WYJAZD DO CASABLANKI.

Na Dżemaa el Fna życie zaczynało się budzić. Była szósta rano. Walizy nasze już leżały na dachu autobusu, a my zamienialiśmy ostatni uścisk dłoni z Dorawskim, Kiełpińskim, Szczepańskim i Wojsznisem, którzy zostawali w Afryce jeszcze parę tygodni. Nas pięciu z wyprawy wracało już do kraju.

Nawołujący do odjazdu klaksofon, zmusił nas do zajęcia miejsc w samochodzie. Powoli ruszyła wielka Minerwa przez rozespane jeszcze miasto, aby opuściwszy je, pomknąć szybko wprost w stronę Casablanki.

Znów gaj palmowy, potem Dżebilet i rzeka Oum er Rbia, wszystko oglądane dwa miesiące temu podczas jazdy do Marrakeszu.

Po trzech i pół godzinach jazdy ukazały się białe mury Casablanki. Niebawem autobus wpadł do miasta, aby po chwili wylądować na dworcu. Tu witał nas już uprzedzony o naszym przyjeździe p. Radziwanowski, dopytując się o pobyt nasz w Ait Mgunie. O wynikach wyprawy w masyw centralny wiedział już z listów, jakie przesłaliśmy mu, wróciwszy stamtąd do Marrakeszu.

Idziemy do „Excelsioru", gdzie zatrzymaliśmy się za poprzednim pobytem w Casablance.

Następnego dnia wypad na Rywjerę Marokkańską, Fedhalę. Autobus w pół godziny przenosi nas z gwarnego miasta do tej pięknej miejscowości nadmorskiej. Palmowe aleje pośród białych willi, tonących w kwiatach, wy-

prowadzają nad ocean. Kąpiąc się w chłodnych falach Atlantyku, wspominaliśmy upalne dni w Atlasie.

A potem znów w Casablance praca. Konferencje prasowe, wywiady dziennikarskie. Praca nie była nieprzyjemna, zwłaszcza podczas bankietu wydanego na naszą cześć przez Sekcję Marokańską Francuskiego Klubu Alpejskiego.

Tak jak dwa miesiące temu, znów staliśmy w kilka dni potem u burty „Djenné". Żegnaliśmy z pokładu naszych przyjaciół marokańskich, żegnaliśmy Casablankę i barwny Marrakesz, a przedewszystkiem daleki i niewidoczny stąd tajemniczy Atlas, który przyjąwszy nas tak gościnnie, odkrył wszystkie swe tajniki jasnowłosym przybyszom z dalekiej Polski.

W UPALE SŁOŃCA AFRYKAŃSKIEGO.

A tymczasem do Marrakeszu zawitał nowy, nieznany nam dotąd gość. W jasnych promieniach słońca, przy bezchmurnem niebie rozszalał się wiatr sirocco. Kłębami pyłu miotał ponad placem Dżemaa El Fna. Mglistym welonem kurzu przysłonił Kutubję. Dusznem gorącem powietrzem wpadał do gardła, tamował oddech.

Stara legenda opowiada, że ongiś sirocco, czy raczej szergui, gdyż tak nazywają ten wiatr Arabowie, nie było znane w Marroku. Zdarzyło się jednak około tysiąca stu lat temu, iż Mulaj Aissa, syn założyciela Fezu, Mulaj Idrisa El Ashara, opóźniał swe przybycie do boku ojca, zatrzymawszy się w podróży u pewnego plemienia. Gdy zmarł tam, zrozpaczony ojciec, który zarówno władał Fezem jak i panował nad żywiołami, przywołał wiatry i kazał im od czasu do czasu wiać gorącym oddechem, by wysuszyły ziemię i zrywały kwiaty z drzew migdałowych. W ten sposób ukarał krainę, która mu zabrała syna.

Cierpiąc za winy niepopełnione, mieliśmy bardzo za złe Mulaj Idrisowi tego rodzaju mściwość. A ponieważ sirocco z godziny na godzinę coraz bardziej dawało się we znaki i słupek rtęci w termometrze przekroczył wyraźnie kreskę przy czterdziestym stopniu, zaczęliśmy się niepokoić, czy to nie my czterej, pozostali w Marokku, zapłacimy teraz za sukcesy, odniesione przez wyprawę w obu poprzednio zwiedzonych grupach.

Pomimo niepokoju szły nam jednak szybko i składnie przygotowania do nowej ekspedycji. Tym razem dla skompletowania sobie obrazu całego Wielkiego Atlasu mieliśmy ruszyć daleko na południe, by dotrzeć do zachodniego masywu tego górskiego łańcucha.

A niełatwo się było dowiedzieć, którędy najdogodniej można się tam dostać.

Wreszcie postanowiliśmy ruszyć na południowy-zachód przez przełęcz Tizi Maaszu drogą, po której szły przez setki lat ludy saharyjskie, napadające na Marokko.

Autobus, podążający tym szlakiem raz na kilka dni, opuszcza miasto nocą, to też ostatniego dnia przed wyjazdem towarzysze moi, prędko załatwiwszy się z kolacją, położyli się spać. Mnie ciągnęło znowu gwarne z ustaniem sirocca miasto. Wiedziałem, że to dziś ostatnia sposobność pożegnania się z Marrakeszem, potem bowiem w drodze powrotnej do Polski już nie będzie na to czasu. Opuściłem więc hotel i wmieszałem się w rojny i barwny tłum, zalegający jak zwykle z nastaniem mroku ulice.

— Dzień dobry — krzyczał po polsku, zdaleka wymachując ręką na powitanie, mały Berber obwieszony kumbujami.

— Ty znów jechać w góry — pytał łamaną francuszczyzną.

— Wszyscy wolni ludzie noszą w bledzie kumbuje. Tylko dla ciebie po znajomości 150 franków.

Roześmiałem się, poklepując go po ramieniu.

— Idź tam oszukiwać — wskazałem ręką dziesiątkiem lamp oświetlone tarasy. Mały łobuziak zachichotał, patrząc na mnie z uznaniem. Ale już po chwili spróbował dalszego ataku. Robił to prawdopodobnie raczej poto, by nie wyjść z wprawy, niż z przekonania.

— Wszyscy wolni ludzie noszą w bledzie kumbuje. Ty kup moje. Ładne. Prawdziwa berberska robota.

— Dam ci piętnaście franków — rzekłem również dla sportu na odczepne i odwróciłem się w kierunku, tańczą-

cych wokół rozpalonego na placu ogniska przy dźwiękach tam-tam, postaci.

Mały coś chwilę kombinował, potem ciężko westchnął zdjął dwa wiszące mu na sznurze przez ramię noże schowane w mosiężnych zakrzywionych pochwach i oddał mi, mówiąc poważnie.

— No dobrze. Dwadzieścia franków. Tylko dla ciebie.

Jeszcze chwila targu i w myśl zasady słówko się rzekło za piętnaście franków stałem się właścicielem tandety, przeznaczonej dla przyjezdnych na pamiątkę.

— Ty dużo zarabiasz na turystach. Poco ci tyle pieniędzy? — spytałem.

— Zbieram na żonę. Za jakie dwa lata, jak będę dorosły, to sobie kupię kobietę i ożenię się. Wtedy ona będzie się o mnie starać.

Przechodziliśmy właśnie koło lokalu, w którym rezydował teraz nasz znajomy Czech-legjonista, postanowiłem więc na chwilę do niego zajrzeć. W jego malutkim pokoiku pełno było żołnierzy. Dziś akurat dostali swój żołd, to też odbywała się uczta. Na progu już przywitały mnie ich wesołe okrzyki.

— Siadaj z nami — wołali. — Masz piwa. Zaśpiewamy ci co.

Zacząłem ściskać ręce znajomych i zapoznawać się z nieznajomymi. Międzynarodowa zbieranina usadziła mnie po chwili na honorowem miejscu. Wychylono szklanice z piwem i popłynęły słowa marsza legji cudzoziemskiej. A że głosy mieli zdrowe, po przez otwarte na ulicę drzwi coraz to zaglądała jakaś hałasem zwabiona kolorowa piękność, coraz to ktoś wchodził i wychodził.

Po oficjalnych słowach marsza przyszła kolej na nieoficjalne pieśni. Potem dowcipy, opowiadania różnych historyj i znowu wojskowe piosenki. Zabawa ciągnęła się jak najweselej.

Dawno już przebrzmiała salwa, zwiastująca mieszkańcom północ, gdy w pewnym momencie z przerażeniem

zauważyłem, że to już za kwandrans trzecia. Wypiłem więc ostatnią szklankę piwa i pożegnałem się śpiesznie z Czechem.

Na ulicach było już prawie pusto. Przyjemny lekki wiaterek chłodził łagodnemi podmuchami. Mimo to jednak było tak ciepło, że dopiero teraz białe spodnie i biała koszula z krótkiemi rękawami wydawały się nie za gorącym strojem.

Nie mając już wiele czasu a chcąc być punktualnym, ruszyłem biegiem w kierunku hotelu. Gdy wpadam do holu, widzę, że czarny boy, który miał pobudzić towarzyszy, smacznie śpi sobie na twardej, lecz za to chłodnej posadzce kamiennej.

Budzę więc wszystkich i sam zaczynam się przebierać w strój turystyczny. Wkrótce, niosąc prowjant na drogę, pełne wina manierki, arbuz, dwa melony i winogrona, pędzimy do autobusu.

Tam jest już tłok fantastyczny. Na każdem miejscu prawie kilka kondygnacyj arabskich pasażerów. Tylko pierwszy rząd siedzeń, z oddzielnem wejściem, zarezerwowanym dla białych, zupełnie pusty czeka na nas. My będziemy siedzieć wygodnie. Takie prawo wywalczył sobie Europejczyk silną pięścią i karabinem.

Wsiadamy i autobus rusza przez kręte uliczki Marrakeszu. Sadowię się możliwie wygodnie i zapadam w drzemkę.

Budzi mnie dopiero w pierwszych promieniach wschodzącego słońca ukazujący się krajobraz.

Jak okiem sięgnąć pofalowana bezludna pustynia.

Nie widać nawet jednego kaktusa. Tylko z fałdy na fałdę przerzuca się szosa, po której pędzi nasz autobus.

Dopiero, gdy dojeżdżamy do wysokich kopulastych bałuch, zaczynają się gdzie niegdzie pokazywać ludzkie osiedla. Malutki początkowo strumień w miarę, jak posuwamy się wgórę, staje się coraz szerszy. W pewnym momencie droga zaczyna krętą linją schodzić wdół. W ja-

kiejś głębszej dolinie ukazuje się nam większa kępa zieloności i rozrzucone między nią domy. Autobus skręca w bok, przecina strumień, którego dnem prowadzi teraz droga, i staje w środku miasteczka. To Imi N'Tanut, duże osiedle, położone u wylotu gór, na ustroniu od ruchu turystycznego.

Zewsząd zlatują się dzieci i ciekawie oglądają przybyszy. Dwu z pośród nas wysiada i udaje się do miejscowej komendy po informacje. Tu dowiadujemy się, że nawet najnowsza mapa terenu, na który zdążamy, nietylko w górach ale nawet i na podjazdach nie przyda się na nic. A liczyliśmy na nią bardzo, bowiem wygląda dość poważnie z marginesem zadrukowanym wykazem kilkunastu oficerów kartografów, zbierających do niej przez siedem lat materjały w postaci zdjęć szczegółowych, szkiców i zdjęć wywiadowczych, zdjęć fotogrammetrycznych, szkiców marszowych i fotografji skośnej. Pomimo a może właśnie z powodu tak licznych źródeł tej mapy polegać mamy raczej na ustnych informacjach oraz na prowizorycznym szkicu grani Atlasu, wykonanym niedawno przez pewnego marokańskiego alpinistę.

Komenda w Nzala Argana, gdzie zdążamy, została już powiadomiona o naszym przyjeździe i przygotuje dla nas malutką karawanę, składającą się z czterech mułów wierzchowych i dwóch ładunkowych. Śpiesznie ruszamy więc w dalszą drogę, teraz już prawie pustym autobusem.

Wokół nas roztacza się kraina gór. Jedziemy to dnem, to znowu zboczami olbrzymiej doliny, zasłanej rumowiskiem skalnem. Prawie stale posuwamy się ostro pod górę drogą, która teraz niewiele ma wspólnego z szosą samochodową.

Zaczyna się robić coraz goręcej. Od czasu do czasu strzałka wskaźnika dosięga czerwonego punktu. Wtedy stajemy, czekając, dopóki nie przestanie się gotować woda w chłodnicy. Po kilku minutach szofer dolewa jej do

pełna, ze specjalnie w tym celu w bańkach wiezionego zapasu i ruszamy dalej. Tam, gdzie na stromym stoku motor silniej pracuje, trzeba się zatrzymywać co kilkaset metrów.

W pewnym momencie za raptownym zakrętem wpadamy między stado wielbłądów, liczące około stu sztuk. Szofer zwalnia i trąbi, zwierzęta się płoszą, a małe wielbłądki poprostu szaleją. Powstaje zamieszanie i galimatjas, wśród opanowanych strachem zwierząt. Po chwili samochód staje w samym środku stłoczonej gromady.

Widok wspaniały. To wędrujące z całym dobytkiem plemię Tuaregów. Na grzebietach zwierząt liche sprzęty. Garnek, jeden i drugi palik drewniany, trochę szmat. Maleńkie dzieci siedzą, wysoko uwiązane sznurami do garbów. Starsi idą pieszo. Wszyscy ubrani w ciemno granatowe jakby koszule, bez rękawów, głęboko rozcięte z przodu i boków. Chude ciała spalone na bronzowo. Nogi bose lub w nędznych pantoflach. Usta i dolna część twarzy mężczyzn owiązane szczelnie gałganem. Widnieje tylko ostry profil nosa i gorejące oczy. Idzie od nich jakaś ponura groza.

Nagle widzę utkwione w nas cudne oczy, wyglądające z pod ciemnego zawoju na głowie. Bronzowa dłoń przytrzymuje jakąś szmatkę, którą młoda dziewczyna starannie zakrywa twarz. Obok niej profilem rysuje się na tle jasnego nieba, czarna jak węgiel, ledwie gdzie niegdzie łachmanem okryta postać niewolnicy.

Dziki gardłowy okrzyk z piersi starego Tuarego płoszy je obie.

Uspokojono już tymczasem wielbłądy i przeprowadzono je bokiem. Ruszamy w dalszą drogę.

Dno doliny rozpłaszcza się i wyjeżdżamy na wielką równinę. Tu drogi już wogóle niema. Na płaszczyźnie prowadzi nas szlak wytyczony dwoma rzędami co kilka metrów leżących kamieni. Tempo jazdy zwalnia się bardzo, trzeba bowiem uważać na wyrwy i doły.

Właściwie nie można nawet powiedzieć, by to, przez co jedziemy, było szlakiem. Mamy tu do czynienia z całą ich plątaniną, to rozchodzących się, to znów schodzących. Większość ich zastawiona jest na środku przy swym początku małym kopczykiem kamieni, lub jakimś większym leżącym wpoprzek głazem. Oznacza to, że na samym szlaku, gdzieś kilkadziesiąt czy kilkaset metrów dalej woda w porze deszczowej zrobiła olbrzymie wyrwy. Nie opłacało się ich reparować. Łatwiej wyznaczyć rzędami kamieni objazd po twardej spalonej ziemi. Jeśli i ten woda rozmyje wyznaczy się nowy. Stąd powstała cała ta plątanina i dlatego jedziemy tak krętą trasą. Dziwnie to musi wyglądać zdaleka, gdy nasz autobus kołuje po zdawałoby się zupełnie płaskiej powierzchni.

Wreszcie pojawia się droga, idąca wgórę stromemi serpentynami. Motor znowu grzeje się co chwilę, wkońcu jednak po licznych przystankach wyjeżdżamy na przełęcz Tizi Maaszu, wznoszącą się na 1700 metrów nad poziomem morza.

Po drugiej stronie przełęczy dostajemy się nagle jakby do rozpalonego kotła. Pęd powietrza, wpadającego do auta, zamiast chłodzić, prawie parzy. Jest tu tak gorąco, jak nie było nam jeszcze w Marokku nigdy. Nawet sirocco, które przeszło przez Marrakesz, wydaje się nam teraz rajem. Zaczynamy się obawiać, że może nie uda się tu zrobić żadnych wspinaczek.

Zjeżdżamy coraz niżej. Wbród przedostajemy się przez potok i mijamy saliny. Wodę z zawiesiną soli przenoszą tu w workach z koziej skóry do nieckowatych wydrążeń, rozrzuconych na brzegu potoku. W tym upale prędko wyparowuje.

Stodziewięćdziesiąty szósty kilometr drogi i Nzala Argana. Wita nas młody człowiek o kruczych włosach i bladej twarzy, w sandałach na bosych stopach. Komendant wyjechał na urlop i on go zastępuje. Do chwili naszego przyjazdu był jedynym Europejczykiem na przestrzeni

wielu tysięcy kilometrów kwadratowych. Pozostali urzędnicy to wszystko Arabowie z Turcji i z Egiptu.

Gorąco straszliwie. Rozpalona ziemia niemal parzy. Powietrze, jak gdybyśmy się znaleźli we wnętrzu rozżarzonego pieca. Wszyscy jesteśmy rozklejeni nie mamy nawet siły sprawdzić, czy nasze rzeczy zostały wypakowane. W tym upale nietylko nie można pracować, ale nawet poprostu nie chce się myśleć. To też po chwili rozmowy skwapliwie korzystamy z propozycji przejścia na odpoczynek do pokojów gościnnych.

W kamiennym budynku o zamkniętych okiennicach jest nieco chłodniej. Zrzucamy z siebie ubrania i walimy się bezwładnie na łóżka. Ale nie można nawet spać. Pościel po chwili jest już mokra od potu i przylepia się do ciała. Jest straszliwie duszno.

Wstaję dopiero wtedy, gdy słońce już silnie zniżyło się ku zachodowi. Wylewam na siebie pełen dzban zimnej wody i to mnie dopiero otrzeźwia. Nie chcąc budzić drzemiących jeszcze towarzyszy, wychodzę na palcach, by zasięgnąć języka. Z leżącego na uboczu domku, w którym nas ulokowano, skierowuję się do budynku komendy.

— Może któryś z panów zna się na opatrunkach — rzuca mi odrazu pytanie nasz gospodarz. — Przed chwilą przywieźli tu z bledu kilkoletniego chłopca. Wybuch prochu poszarpał mu rękę i twarz.

Po chwili już nasz kierownik Dorawski, doktór medycyny, pochylony nad malcem oczyszcza rany, z których płynie masa krwi. Twarz chłopca kurczy się z bólu, ale z ust nie wybiega najmniejszy nawet okrzyk. Palce oberwane zupełnie. Patrząc na nie, wypowiada spokojnym głosem kilka słów i znów zapada w milczenie.

Tłómacz komendy objaśnia mi, że biedak martwi się, iż trudno mu będzie żyć i pracować uszkodzoną ręką.

— Wasze dzieci inaczejby się w takiej chwili zachowywały — ciągnie dalej. — Ale to zrozumiałe. Tutaj lu-

dzi wychowują twarde prawa bledu. Kto od niemowlęcia taką przechodzi szkołę, ten, jak ów chłopiec, nie płacze i nie krzyczy z bólu.

Tymczasem mały nagle słania się i mdleje. Kilka bryzgów zimnej wody i, nie wydawszy żadnego głosu, znów uważnie wpatruje się w swoje rany.

— Zaraz go wyślemy do Imi N'Tanut — mówi któryś z urzędników. — Żołnierz weźmie go przed siebie na muła i na jutro rano chyba tam dowiezie. Zawsze to szmat drogi. Siedemdziesiąt kilometrów.

— To najbliższy szpital dopiero w Imi N'Tanut — pytam.

— O nie. Tam niema szpitala. Stamtąd odeślą go dalej do Marrakeszu. Mamy tu coprawda okręgowego lekarza, ma on jednak taki kawał kraju do objazdu, że rzadko może do nas zajrzeć. Nawyżej raz na miesiąc. A kiedy dziś suche potoki wezbrane wodą rozmyją drogę, tak że nie można przejechać autem, to i przez kilka miesięcy go nie widać. Cóż kraj olbrzymi, a stosunkowo mało zaludniony.

Opatrunek skończony i mały Berber usadowiony przed mohraznim rusza w drogę do Imi N'Tanut. My tymczasem idziemy na kolację, przygotowaną przez kucharza, który już umie gotować po francusku, choć jeszcze nie potrafi po francusku mówić.

Gospodarz radzi nam ruszyć w dalszą drogę po nocy przy świetle księżyca. Tu w dolinie za dnia jest tak gorąco, że trudno podróżować. Chyba wyżej, gdzie górski wiatr chłodzi. Doświadczyliśmy dziś tego na sobie, to też postanawiamy, że muły bagażowe wyruszą odrazu naprzód, my zaś nocą w kilka godzin później. Narazie nie potrzebujemy się o nic kłopotać. Wszystkiego dogląda Belaid Ben Ali, eks-sierżant z czasów wielkiej wojny. Ponieważ mulnicy nie znają ani słowa po francusku, będzie on nam służył za tłumacza.

Obudzeni przez niego w nocy wypijamy na stojąco po

szklance kawy i, odprowadzani przez gospodarza, zbliżamy się do grupki ludzi i zwierząt, oczekujących nas przed komendą. Po omacku wybieram sobie pierwszego z brzegu muła i usiłuję wskoczyć na niego z fantazją. Nie udaje mi się to jednak i dopiero z pomocą poganiacza z wielkim trudem wdrapuję się na swego wierzchowca. Mimo ciemności zorjentowałem się odrazu, że siedzę jakoś dziwnie wysoko. Chyba przez pomyłkę nie dali mi wielbłąda?

Poderwałem zwierzę do biegu. Muł był dobrze ujeżdżony i, uwzględniając właściwe tym zwierzętom lenistwo, dosyć posłuszny. Po kilkudziesięciu krokach musiałem jednak skończyć swoje na nim harce, ponieważ opuszczaliśmy bielejące w ciemnościach pasemko drogi, wjeżdżając na żwirowisko wyschłego strumienia. Dalej posuwaliśmy się jego korytem naprzód wśród ciszy przerywanej tylko głuchym odgłosem kopyt, stąpających po kamieniach.

Po pewnym czasie wjechaliśmy w jakiś jar. Postrzępione skały, zwisające nad głowami, niesamowicie wyglądały w bladem świetle księżyca. Zdawało się, że jesteśmy w krainie jakiejś zaczarowanej bajki.

Dopiero w świetle promieni słonecznych ukazuje się naszym zdumionym oczom ogrom mego muła. Drugiego takiego olbrzyma niema chyba w całym Atlasie. Mój szacunek doń zwiększa się jeszcze na wiadomość, że zwykle służy on do jazdy samemu mokkademowi.

Wtedy też zaczynamy rozumieć powód niezadowolenia Dorawskiego ze swego wierzchowca. Jego mały i niepozorny muł miast zwykłej na grzbiecie derki niesie z obu stron zwisające rozbuchane torby. Poszerzają one tak bardzo grzbiet, że zaraz chrzcimy je mianem kanapy. Siedzi się na nich podobno względnie wygodnie, za to niezbyt pewnie. Rzeczywiście w niewiele czasu potem okazuje się, że niczem do grzbietu nieprzytwierdzona kanapa lubi przechylać się na jedną lub drugą stronę, albo nawet zu-

pełnie się z pod jeźdźca wysunąć. Nie groziło to jednak narazie, podczas jazdy przez płaskie czerwone zbocza dalekich jeszcze gór.

Minąwszy jakąś biedną osadę, wjechaliśmy do rozległej doliny, pokrytej gąszczem bujnej roślinności ponad nikłą strugą wody. Ścieżka, przewijając się przez nią krętym szlakiem, wiodła nieopodal białego jak śnieg grobu marabuta. Grobowce takie są rozsiane po całym Marokku i wszędzie można je w podróży spotkać. Biały niewielki sześcian przykryty od góry kopułką.

Niedaleko za nim ukazuje się nam nagle, idąca zboczem doliny, wspaniała samochodowa szosa. Dziwi nas, dlaczego nikt nam dotąd o jej istnieniu nie wspominał. Niedługo okaże się, że dziwna ta droga skończy się nagle w zupełnem urwisku. Niedokończona — dziś nie prowadzi nigdzie, ale za kilka lat być może będzie wiodła do malowniczo wśród gór położonego hotelu czy kasyna. Narazie służy tylko naszym mułom, które w miarę, jak słońce wznosi się do góry, posuwają się coraz wolniej. Zaczynam i ja odczuwać coraz silniej jego palące promienie, to też zmieniam beret na turban, upleciony z ręcznika.

Postanawiamy przeczekać upał w pierwszej położonej na skraju drogi osadzie. Tam zdziwieni zastajemy nasze ładunkowe muły. Nawet jadąc bardzo wolno, powinny być już daleko przed nami, nie możemy więc narazie zrozumieć, jaki jest powód takiego ich opóźnienia.

Okazuje się, że najzwyczajniej w świecie „spuchły". Widać pokarm ze słomy i kłujących suchorostów nie wiele im przysparza siły. Są o wiele słabsze od mułów, jakie mieliśmy na poprzedniej wyprawie, i nie mogą dać rady nawet niewielkim zdawałoby się ciężarom. Po chwili więc podejmowani przez mokkadema w zacisznej komnacie o stropie pokrytym pękami suchych traw, wydzielających zapach odstraszający moskity, zaczynamy prowadzić pertraktacje o donajęcie jeszcze jednego muła. Do-

wiadujemy się jednak, że w całej tej okolicy jest bardzo mało mułów i wszystkie zdatne do dłuższej podróży zostały już zmobilizowane, tworząc właśnie naszą karawanę. Musimy się zadowolić wobec tego jedynym posiadanym tu małym osiołkiem.

Przeczekawszy południe, polecamy ładować zwierzęta do dalszej drogi. Osiołek dostaje dwie najmniejsze paczki. Ledwie ruszamy, wyjaśnia się nam zupełnie tajemnica powolnego tempa, w jakim posuwa się nasz tabor. Co chwila walą się na ziemię worki i skrzynki to z jednego, to z drugiego muła. Kiedy się je zpowrotem na grzbiecie zwierząt umieści, po kilkudziesięciu krokach następuje nowa katastrofa.

Belaid ben Ali komenderuje i zwija się, jak tylko może, ale jego współplemieńcy są jacyś powolni i ospali. Marnie im idzie praca i wszystko robią niemrawo. Choć wychowani przecież w tym klimacie, nie mogą dorównać nam aktywnością. Brak im jakiegokolwiek bodźca psychicznego, jaki cechuje nawet tu Europejczyka.

Na szczęście jednak upadki są coraz rzadsze i stale jakoś kończą się szczęśliwie. Posuwamy się za to bardzo wolno i na noc zakładamy obóz w osadzie, położonej dosyć daleko od głównego łańcucha Atlasu.

Jeszcze nie rozbiliśmy namiotu, gdy otoczył nas już pierścień złożony przeważnie z dzieciarni, ciekawie obserwującej każdy nasz ruch. Dosłownie nic nie można zrobić, nie będąc podpatrywanym przez kilka par uważnie śledzących oczu. Krępuje nas to mocno i wywołuje z westchnieniem wypowiedzianą uwagę, że nie tak było na poprzedniej wyprawie. Tam rzeczywiście nikt nam w obozie nie przeszkadzał.

Ale tutaj nietylko ciekawość każe sterczeć całemi godzinami zarówno dzieciom jak i dorosłym w naszem pobliżu. Nęci ich skarb przez nas mało szanowany — opróżnione po konserwach puszki. Gdy który z nas, kończąc jedzenie, ciska taką puszkę na bok, rzuca się na

nią cały tłum i rozpoczyna się zaciekła walka wśród sterty ciał ludzkich, leżących na ziemi.

Jeśli puszka jest mała, wkońcu jakiś zwycięzca, wydostawszy ją z pod zwału ciał, prędko ucieka,, przyciskając cenną zdobycz do piersi. Ale nikomu nie uda się porwać dużej, ładnej puszki. Tej nie wyrzekną się za nic nasi mulnicy. To też bagaż nasz w miarę upływu dni będzie zmniejszał raczej swą wagę niż objętość. Dziesiątki pustych puszek będą wszędzie jechały z nami, pilnie strzeżone przez właścicieli. Wydaje mi się, że sprawiały im one większą radość niż papierowe pieniądze. Bądź co bądź przedstawiały bardziej konkretną wartość.

Z nastaniem zmroku mieliśmy powtórnie możność stwierdzenia, że jednak nie tak było na poprzedniej wyprawie. Chociaż i w Ait Attik porządnie gryzło, tu dopiero moskity, mrówki i najrozmaitsze robactwo obległo nas naprawdę ze wszystkich stron. Nie pomagał ani amonjak lany wszędzie, gdzie tylko się dało, ani wszelkie maści przeciwko ukąszeniom, ani też inne tajemnicze środki, które każdy stosował na swoją rękę.

Chwilami zdawało się, że już nic więcej nie może ukąsić poprostu z powodu braku miejsca między bąblami.

Nieprawda. Zawsze jeszcze gdzieś jakiś tajemniczy stwór wynajdował kawałek miejsca dla siebie. A już najnieznośniejsze to te maleństwa, których wcale nie widać, choć ukłucia ich dobrze się dają we znaki.

Rano wstaliśmy pokąsani, jak jeszcze nigdy. To też wiele upłynęło czasu, zanim ruszyliśmy w dalszą drogę. Tu jednak na wysokości tysiąca kilkuset metrów nad poziomem morza, mogliśmy sobie pozwolić na podróżowanie niemal w samo południe. Rozpalone wnętrze gorejącego kotła zostało daleko za nami w Nzala Argana.

I tu jednak słońce dawało się ludziom i ziemi we znaki. Gdy jechaliśmy wgórę wyschniętym korytem rzeki, zbocza dolin pokrywały tylko gdzie niegdzie kaktusy. I te jednak nie miały tutaj intensywnej zieleni.

Dopiero w pobliżu osiedli ukazywał się wąski paseczek wody wydobytej na wierzch przez rozkopanie dna potoku. Co pewien czas musi Bereber pogłębiać taki rów, by dotrzeć do wciąż głębiej wsiąkającego strumienia. Wydobyta w ten sposób na jaw woda, przepłynąwszy kilkadziesiąt czy kilkanaście metrów po rozoranem dnie, znów znika pod ziemią, by ukazać się gdzieś w niższym biegu strumienia w odkopanem w podobny sposób źródle.

Po kilku godzinach jazdy, minąwszy w drodze do gór ostatnie osiedla, weszliśmy w głęboką, wysoką dolinę. Ścieżka tu wiodła ponad jej dnem po przez strome i urwiste zbocza. W niektórych miejscach nie sięgała nawet pół metra szerokości, wijąc się nakształt gzymsu poprzez pionowo wdół i wgórę biegnące żebra.

Na szczęście ani razu nie spadł na niej bagaż z żadnego muła. Widocznie zwierzęta szły tu bardzo ostrożnie, czując, że to nie miejsce na żarty.

Gdy ciasna dotąd dolina rozszerzyła się nieco, tworząc zasłaną gruzem arenę, zatrzymaliśmy się. Tu rozbiliśmy namioty i założyli obóz na czas zbadania otaczających dolinę szczytów.

MASYW ZACHODNI.

Zanim zagotowała się herbata, zapomocą tamy wybudowanej z kamieni i żwiru podnieśliśmy poziom wody w strumieniu. W basenie, który powstał w ten sposób, odbyła się narada co do dalszego postępowania.

Dolina nasza rozszerzała się w tem miejscu na dwa bystro wgórę wznoszące się, ramiona. Wysoko ponad dzielącym je żebrem widniała wspaniała pionowa ściana. O niej mówił nam w Ait Arus porucznik Gauthier:

— Pionowe kilkusetmetrowe urwisko, którego chyba nikt nigdy nie przejdzie.

Od szczytu biegnie poszarpana grań. Na nią mają chęć Kiełpiński i Szczepański. Pójdą prawą doliną, stamtąd gdzieś wygodnie wydostaną się na grzbiet, a dalej już prosto poprzez wszystkie zęby grani na szczyt.

Dorawski i ja pojedziemy mułami lewą doliną tak wysoko, jak tylko się da, a potem dopiero, rozpatrzywszy się w terenie, ruszymy może na Aulim, a może właśnie spróbujemy przejść urwisko Tinergetu. Zresztą, jeśliby trzeba było, zostaniemy dwa dni w terenie, biwakując gdzieś po drodze. Wyruszyć trzeba będzie jak najwcześniej. Jeszcze przy świetle księżyca. Perć wskaże nam miejscowy pasterz, któregośmy zabrali z ostatniej po drodze wsi.

Kiedy ruszamy w drogę, jest jeszcze zupełnie ciemno. Muł - kanapa Dorawskiego i mój olbrzym idą wolno, potykając się co chwilę. Ścieżyna skończyła się bardzo prędko i pasterz, wynajdując drogę, lawiruje z jednego

prożku na drugi. Powoli posuwamy się naprzód wgórę, zupełnie zdani na łaskę wierzchowców.

Wkrótce jednak zaczyna szarzeć i robi się zupełnie widno. W samą porę. Droga coraz bardziej śtyrbna i coraz częściej „kanapa" z naszemi plecakami wylatuje z pod Dorawskiego. Po takich zbyrkach jeszcześmy w Atlasie nie jeździli.

Wąskim gzymsikiem wjeżdża muł Dorawskiego na malutką płasienkę. Tam, drepcząc ściągniętemi razem na niewielkiej przestrzeni kopytkami, powolutku obraca się wbok i rusza wprost wgórę po przez strome korytko, zasłane sypkim piargiem.

Widzę, jak trzęsą się i gną jego nogi, jak rozpaczliwie szarpie się naprzód w poszukiwaniu jakiegoś stałego punktu oparcia. Nagle wali się na bok i, porzucając jeźdźca, sunie wdół. Na szczęście zatrzymał się po kilku metrach na płasience tuż ponad zerwą. W ten sposób dopiero w ostatnich dniach pobytu w Atlasie Dorawski, cichy lecz dzielny człowiek klubu ścigantów, wstąpił do klubu dżentelmenów.

Mam zaufanie do swojego muła, to też daję mu solidny doping piętami i z dziarską miną wjeżdżam na stromy piarg. Olbrzym rwie się do góry, ale i jemu gdzieś się zapodziewają nóżki, więc ciężko pada na brzuch i powoli sunie z całym strumieniem szutru wdół.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów takiej drogi i przewodnik nasz oświadcza na migi, że dalej muły nie wyjdą.

Bardzo chętnie mu wierząc, zeskakujemy jak najszybciej na ziemię. Stąd widać dobrze, że Aulim opada tu niezbyt stromą ścianą. Decydujemy się więc na spróbowanie urwiska Tinergetu.

Od szczytu dzieli nas jeszcze 1250 metrów wzniesienia. Trzeba się spieszyć, by jak największą część drogi przebyć w cieniu, zanim ukaże się słońce.

Wspaniałym zachodem wydostajemy się na żebro skalne, potem schodzimy wdół na dno głębokiej depre-

sji i nią posuwamy się wgórę, aż zmienia się w głęboki żleb o dnie wypełnionem śniegiem.

W przepaścistej szczelinie brzeżnej ukazał się pasiasty układ nawarstwień lodu. Ten jedyny chyba w całej tej górskiej grupie biały skrawek był więc maleńkim lodowczykiem. Korzystając z tego, że to ostatnia sposobność nabrania do manierek wody, wypływającej z pod śniegu, zasiedliśmy do śniadania.

Po odpoczynku jeszcze kawałek wgórę między skrzesanemi skałami i wreszcie dochodzimy do ściany.

Przez środek przecina ją potężny komin. Nim mamy zamiar poprowadzić naszą drogę.

By nie tracić czasu, nie wiążemy się narazie liną. Dopóki będzie można, będziemy szli bez asekuracji.

Ostrożnie, metr po metrze, zdobywamy komin. Widok z niego na prawo i na lewo wspaniały. Zupełnie gładka ściana niemal wszędzie opada pionowo. Pod nami roztwiera się coraz głębsza przepaść. Nagle zagradza nam drogę przewieszka, zasłana od góry ruchomemi głazami.

Rozwiązujemy więc linę i wiążemy się. Mimo tego zabezpieczenia trudno jednak atakować przewieszkę, z której w każdej chwili może ruszyć kamienna lawina. To też postanawiamy ją obejść.

Ponieważ znaduję się właśnie pod nią, jak mogę najgłębiej, wciskam się pod kamienny dach i, zaparłszy się nogami o występy skalne, zabezpieczam Dorawskiego, wspinającego się boczną ścianą komina. Gdy jest już na jednej wysokości ze mną, zamiast iść dalej wgórę, zmienia kierunek i wspinając się skośnym trawersem, wychodzi nade mną ponad przewieszkę.

Teraz zatrzymał się w dogodnem miejscu. By nie obarczać mnie ciężarem obu plecaków, postanawiamy na tym odcinku przetransportować je drogą powietrzną. Wędrując jeden po drugim, zgodnie ze swoim zwyczajem zacinają się po drodze w jakichś szparach. Dorawski szarpie liną z jednej strony, ja z drugiej, w powietrzu furkocą

lecące mi nad głową kamienie. Wreszcie plecaki dojechały.

Gdy znów na mnie przypada kolej prowadzenia, mijamy się na malutkim zawieszonym ponad przepaścią balkoniku. Urwisko z obu stron zupełnie pionowe i gładkie pozwala na wdarcie się wgórę tylko kominem i rysami, biegnącemi jedna nad drugą przez sam środek ściany. Co chwila jednak zdaje się, że zaraz zamknie się przed nami wszelka możliwość posuwania się wzwyż.

Udało nam się jednak przejść całą ścianę środkiem. Żadowoleni i dumni z odniesionego zwycięstwa, w południe stajemy na szczycie Tinergetu (3555 m).

Tam przyznajemy sobie nagrodę w postaci dwóch dużych puszek świetnego kompotu i rozkładamy się na słońcu w oczekiwaniu na drugą dwójkę.

Dopiero po godzinie ukazują się daleko wdole malutkie postaci naszych towarzyszy, sunących powoli w potokach promieni słonecznych. Ich grań okazała się zupełnie nieciekawa. Piarżyste tarasy, urywające się tylko z jednej strony stromemi ścianami, nie przedstawiały w wędrówce po grzbiecie żadnych trudności. Widząc jednak, że zmęczeni nieprędko do nas dojdą, postanawiamy, wypocząwszy, skoczyć jeszcze na Aulim (3475 m).

Zbiegamy prędko kilkaset metrów wdół na przełęcz Tizi N'Tażelt (3150 m), tam zostawiamy plecaki i ruszamy pod górę. Teren tu niezbyt trudny, wskutek jednak dużego potrzaskania skał niełatwo się zorjentować, którędy dogodniej można się przedostać. To też coraz gdzieś się zapychamy w urwisko, krzycząc do siebie nawzajem: nie chodź tędy!

Przebyliśmy wreszcie plątaninę ścianek i żeberek i łatwo już wkońcu osiągnęliśmy szczyt. Tu czekał nas dobrze zasłużony odpoczynek.

Zeszliśmy o wiele łatwiej z drugiej strony grani i po zabrania plecaków puściliśmy się szybko z przełęczy wprost wdół, skacząc i biegnąc po usypiskach.

Było jeszcze zupełnie widno, gdy dotarliśmy do obozu, gdzie Belaid ben Ali przywitał nas, podając szklaneczki pełne aromatycznej herbaty.

Rozciągnięci wygodnie na dużych płytach kamiennych, czekaliśmy na kolację. Wysoko nad nami widniało dziś zdobyte urwisko Tinergetu. Wraz z zapadającym mrokiem powoli rozpływało się w ciemnościach.

Cały następny dzień poświęciliśmy na odpoczynek. Rozłożeni wokół basenu kąpaliśmy się w zimnej wodzie górskiego strumienia i skwapliwie uzupełniali zaległości w jedzeniu.

Termin wyjazdu z Marokka zbliżał się szybko i na ukończeniu były już zarówno zapasy żywności jak i pieniędzy. To też w wyniku narady postanowiliśmy przerzucić nasz obóz jeszcze bardziej na wschód, by zbadać gniazdo Ras Mulej Ali (3350 m) i tam zakończyć naszą działalność wysokogórską.

Zarówno słabość naszych mułów jak i krętość wąskich ścieżynek spowodowała, że zabrało nam to dwa dni czasu. Przełęcz Tizi N'Timirut, którą przebyliśmy po drodze w straszliwym upale, była nielada wyczynem dla naszych wierzchowców. Na stromym stoku, co kilkadziesiąt kroków zatrzymywał się każdy z nich, chwytając gorące powietrze łapczywie w zmęczone płuca.

W okolicach tych prawie jedynem pożywieniem ludności był pewien gatunek kaktusa, którego owoce, zerwane w odpowiedniej porze dnia, nadają się do jedzenia. Chcąc spróbować tego przysmaku, zerwałem owoc wielkości olbrzymiego jajka.

Kaktus uzbrojony był w duże ostre kolce. Między niemi ulokowałem ostrożnie swoje palce, zabierając swą zdobycz. Po chwili już jednak poczułem w nich swędzenie, to też z zachowaniem wszelkich ostrożności przełożyłem owoc do drugiej ręki. I tu również po chwili dało się odczuć niepokojące swędzenie. Okazało się, że zostało

ono wywołane całą masą ledwo dostrzegalnego, kłującego puszku, który powbijał mi się w skórę na dłoniach. Ten puszek właśnie złożony z mikroskopijnych igiełek jest daleko groźniejszy od dużych lecz rzadko rozmieszczonych kolców. Przy najlżejszem dotknięciu kaktusa przylega do skóry jak gdyby parząc. Prędko więc wyrzuciłem swą zdobycz, choć ominęła mnie w ten sposób okazja skosztowania nieznanej potrawy.

Ostatnią naszą bazę operacyjną w Atlasie byliśmy zmuszeni założyć tuż ponad najwyższą wioską w tej okolicy, mniejwięcej na wysokości około 1700 metrów. Dalej, choć dolina pozwalała na swobodne posuwanie się nią, nie było już nigdzie wody. Od szczytów dzielił nas zatem kawał drogi i duża różnica wzniesienia.

Okolica wydawała się, pod względem alpinistycznym, bardzo ciekawa i żal nam było, że mogliśmy tu spędzić najwyżej tylko dwa dni czasu. Wszędzie naokół rysowały się potężne granie i ściany, wystrzelające wgórę z pomiędzy kopulastych szczytów.

By możliwie jak najwięcej nowych dróg zdobyć, postanowiliśmy wyruszyć w dwie partje na dwa dni każda. Szczepański i Kiełpiński chcieli zaatakować Ras Mulej Ali, Dorawski i ja zdecydowaliśmy się na próbę wyjścia na Ars Zei Mu (około 3260 m), w razie pomyślnego końca połączoną z prześciem granią na wschód przez szereg szczytów, piętrzących się wspaniałemi uskokami.

Pobudka jak zwykle nastąpiła jeszcze przed ustąpieniem ciemności. Pośpiesznie przełkniętem śniadaniu zarzucamy przygotowane z wieczora plecaki na ramiona i wychodzimy z obozu żegnani przez Belaida.

Na razie idziemy razem dnem doliny Potem drogi nasze rozdzielają się. Towarzysze skręcają wbok do żlebu, który ich doprowadzi do początku zdaleka przez lornetkę upatrzonej grzędy. My posuwamy się dalej w głąb doliny.

Początkowo mam wielką chęć zaatakować urwisty

grzebień skrzesanej grani, rysującej się na tle nieba. Gdyby udało się nam ją przejść, co zresztą jest mocno wątpliwe, byłaby to najtrudniejsza i najładniejsza z dróg, jakie poprowadziliśmy na szczyty Atlasu.

W miarę jednak,, jak zbliżaliśmy się do niej, grań rozczłonkowuje się i rozpada na pojedyńcze fragmenty, nie wiążące się w logiczną całość. Zwycięża więc projekt Dorawskiego wydostania się na szczyt jego rozłożystą ścianą.

Rozpada się ona właściwie na trzy ściany, oddzielone od siebie żebrami. Wybieramy z nich środkową i po przez olbrzymie kostropate płyty wspinamy się ku niej. Tam, gdzie się spiętrza pionowo, robimy odpoczynek na śniadanie.

Potem, nie asekurując się, wchodzimy w urwisko. Wkrótce jednak maleńkie stopieńki i chwyty przy zupełnej ekspozycji każą zastosować zabezpieczenie linowe.

Ściana jest wysoka, więc idziemy nią długo w nieustannej wspinaczce. Całe szczęście, że jest tak wcześnie, iż nie dochodzą tu jeszcze promienie słoneczne.

Po kilku godzinach posuwania się trudnym terenem dochodzimy do punktu, w którym ściana kulminuje. Stąd czeka nas już tylko niedługa wędrówka powietrzną granią. Ars Zei Mu został zdobyty.

Teraz czeka nas długa wędrówka przez szczyty i przełęcze wciąż na zmianę wgórę i nadół. Spotyka nas jednak rozczarowanie. Piękne ściany, które zdawało się, gdy patrzyliśmy zdołu, opadały wprost uskokami na grań, teraz, okazuje się, opadają na boki i nie nastręczają nam prawie żadnych trudności.

Po łatwych skałkach wędrujemy ze szczytu na szczyt, powoli oddalając się coraz bardziej od Ars Zei Mu. Urwista od północy grań opada na południe niezbyt stromem zboczem. Daleko wdole widać punkciki pasących się kóz.

Żal nam, że nie możemy jeszcze pozostać w tej grupie górskiej kilku dni. Byłoby tu coś niecoś do zrobienia

w olbrzymiej piramidzie Ras Mulej Alego. Ciekawie również wyglądają dwa na południe odeń położone szczyty o ostrych zębatych graniach.

Po kilku godzinach wędrówki wydostajemy się na Dżebel Tassiut (3348 m), opadający ku zachodowi wspaniałą ścianą utworzoną z gładkiego płytowego pancerza.

Ze szczytu widać jednak, że dalej przed nami ciągnąca się grań traci swój wysokogórski charakter, przekształcając się w szeroki grzbiet.

Dziś więc wyczerpaliśmy cały nasz program i może uda się nam jeszcze zdążyć na noc do obozu. Pijemy wobec tego większą porcję wody i zjadamy zapas przygotowanych na dwa dni kompotów.

Nagle wynurza się z za kamienia długa lufa arabskiej strzelby. Za nią ukazuje się ciemna twarz uważnie w nas wpatrzona.

W mgnieniu oka chwytam za kolbę zwisającego u pasa nagana.

W zupełnej ciszy stoimy naprzeciwko siebie bez ruchu. Tylko oczy badawczo wpatrzone badają przeciwnika, by przy pierwszym podejrzanym ruchu pocisnąć za cyngiel.

Mija długa chwila, wreszcie Berber unosi prawą dłoń do góry i mówi:

— Salam!

Odpowiadamy mu tem samem słowem, więc zbliża się do nas i staje oparty na swej strzelbie.

— Janek fotografuj — mówię do Dorawskiego i usiłuję zawiązać rozmowę na migi.

Berber sprawia bardzo podejrzane wrażenie. Na nogach ma buty wojskowe a i z pod sylhemu widać mu strzępy wojskowego płaszcza. Coś bardzo wygląda na niedawnego rebeljanta.

Dziś chyba już tylko zajmuje się kłusownictwem, nie bacząc na wprowadzoną przez Francuzów ochronę zwierzyny. W górach to normalny proceder, a trudno go na-

wet zwalczać i na łatwiej dostępnych terenach. Niedarmo każdy Marokańczyk ma żywe poczucie tego, że niedawno jeszcze panowało tu zupełnie inne prawo. Wtedy wolno było wszędzie polować i łowić ryby, bowiem Sidi Khalil w 1230 artykule swego kodeksu, wyjaśniał, że nikt nie może zabronić polowania i łowienia nawet na swoich własnych terenach.

Dzięki takiemu prawu przetrzebiono już bardzo liczbę muflonów i prawie zupełnie wytępiono lwy i pantery. To też ochrona zwierzyny stała się dziś już palącą koniecznością.

Podczas gdy Dorawski potajemnie fotografował Berbera, dowiedziałem się, że wie on dobrze o tem, iż jest nas kilku w okolicy i że rozłożyliśmy się obozem w Assif El Halu.

Należało się jednak śpieszyć, czekało nas bowiem jeszcze zejście zupełnie nieznanym terenem. By skończyć pogawędkę, ofiarowaliśmy mu wielką puszkę od kompotu.

Przedtem już wypatrzyłem z góry możliwość przejścia przez urwiste ścianki, opadające z pobliskiej przełęczy. Podeszliśmy więc tam i, zupełnie łatwo lawirując między prożkami, ruszyliśmy wdół. Potem zbiegliśmy po ogromnym stożku stromego piargu do szerokiego żlebu, wysłanego olbrzymiemi płytami. To dnem jego, to lawirując po lewem i prawem zboczu, schodziliśmy coraz niżej, by wreszcie dotrzeć na dno głębokiej dolinki, która nas łatwo już doprowadziła wprost do obozu.

Zmęczeni długą wędrówką ułożyliśmy się w namiocie do snu, tym razem tylko we dwóch.

Ledwie obudziliśmy się rankiem, nadjeżdża do naszego obozu gość, mieszkający w tej okolicy mokkadem. Cały ubrany na biało,siada przy nas z podwiniętemi nogami i przez kilka minut monotonnym głosem recytuje formułki powitalne.

Belaid ben Ali dzielnie mu sekunduje. Zupełnie swo-

bodnie nie rozumiejąc, nawet ani jednego wyrazu, można uchwycić uchem moment, gdy kończą oni wymianę przyjętych grzeczności i przechodzą do normalnej żywej rozmowy.

Gość nasz grzecznie tłumaczy się, dlaczego nie zjawił się u nas wcześniej i, w myśl zasady lepiej późno niż nigdy, prosi nas do siebie na ucztę. Dowiadujemy się przy sposobności, że na pobliskiej przełęczy, przez którą wiedzie szlak mułowy na południe, już od kilku dni czuwa dniem i nocą dwu gońców. Mają oni, jak tylko tam dotrzemy, natychmiast zawiadomić sziurów południa, szykujących na naszą cześć przyjęcia.

Napróżno niestety wyczekują tam Gdzie indziej wiedzie nasza powrotna droga.

Obiecujemy mokkademowi zjawić się u niego, jak tylko wrócą nasi towarzysze. Nie wiemy, kiedy to nastąpi, ale będziemy na nich czekać.

Właśnie rozmawialiśmy o tem, gdy zbliża się Szczepański.

— Jak wam poszło? Gdzie Kiełpiński? — rzucamy pytania.

Okazuje się, że wyszli na Ras Mulej Ali nową drogą. Zabrało to im cały dzień czasu, tak że biwakowali pod szczytem. Kiełpiński nadciągnie niedługo. Buty, jakby przeczuwając, że to ostatni dzień chodzenia po górach, rozleciały mu się zupełnie. Kleterki też już podarł. Wobec tego pozawijał nogi w sweter i w ten sposób nadchodzi powoli kuśtykając.

Śmiejemy się z potwornie wyglądającej w tych owijakach stopy i ściskamy sobie dłonie w poczuciu, że oto i w tej grupie górskiej wywiązaliśmy się dobrze z naszego zadania.

Czeka nas jeszcze powrót do Imi N'Tanut. By dotrzeć tam na jutro wieczór, postanawiamy zaraz wyruszyć. Po drodze odwiedzamy mokkadema, który nas go-

ści wspaniale. Po krótkim jednak u niego odpoczynku podążamy dalej.

Muły bagażowe naładowane pustemi puszkami skwapliwie wiezionemi przez mulników, niosą teraz niewielki ciężar, więc też posuwamy się względnie szybko.

Ostatni w Atlasie nocleg wypada nam nad strumieniem pod potężnemi orzechami. Tam na pożegnanie dają się nam we znaki porządnie moskity.

Daleka jeszcze przed nami droga, to też o świcie dosiadamy mułów. Szybko przesuwają się przed oczyma wysokie przełęcze i głębokie doliny o łagodnych konturach. Kraj urwistych szczytów zostawiamy coraz bardziej za sobą.

Atlas żegna nas czarowną doliną Ued Seksaua. Wije się ona fantastycznie na przestrzeni kilkunastu kilometrów, tworząc cały szereg przełomów. W takich miejscach wysokie ściany zwierają się ciasno nad doliną, by potem znów się nieco rozsunąć, tworząc tysiące załomów.

Wąska droga wiedzie nad dnem potoku pomiędzy wysokiemi na kilka metrów krzakami alili. Każdy z nich, to olbrzymi bukiet różowego kwiecia. W niektórych miejscach rosną tak gęsto i tak wysoko, że ścieżka biegnąca między niemi wydaje się wąwozem.

Czasem bujna roślinność spycha nas do strumienia. W takim właśnie momencie widzę, jak jadący przede mną Dorawski nagle wykonuje jakiś dziwny ruch całem ciałem i zaczyna zataczać się wraz ze swoim wierzchowcem, którego nogi robią się jakgdyby coraz to krótsze.

Wreszcie zapadają się pod ziemię prawie zupełnie. Dopiero po chwili udaje się Dorawskiemu wydobyć siebie i muła z dziwnego trzęsawiska. Wszędzie naokół dno jest twarde i kamieniste. Tylko na tym właśnie małym odcinku tworzy je bardzo grząski ił.

Przejeżdżam ostrożnie koło tego miejsca, przyczem muł wyraźnie się boi.

— Szczęściarz jesteś — mówię do Dorawskiego. — To chyba nasza ostatnia w Atlasie przygoda i zdarzyła się właśnie tobie.

Nie miałem jednak, mówiąc to, racji Zaraz zaczęła się rozwijać przygoda następna.

Oto okazało się, że nasi koledzy, zostając w tyle coraz bardziej, musieli gdzieś w gąszczu zgubić drogę.

Ponieważ żaden z pomiędzy idących z nimi mulników nie znał jej, rozesłaliśmy towarzyszących nam ludzi na wszystkie strony. Gromkie nawoływania rozchodziły się budząc tysiączne echa.

Wreszcie zdaleka doleciał nas odgłos odpowiedzi. I ta więc przygoda skończyła się szczęśliwie. W szybkiem tempie ruszyliśmy naprzód, by jak najprędzej nadrobić stracony na poszukiwaniach czas.

Im bliżej miasta, tem coraz częściej spotykamy na szlaku wędrowców pieszych, oraz jadących orszakiem miejscowych dostojników.

Komicznie wygląda taki potentat ubrany w białą szatę i skrywający się przed słońcem pod zwyczajnym czarnym parasolem.

Skręcamy wreszcie z wąskiej ścieżyny na szeroką bitą drogę. Muły zmęczone całodzienną jazdą stawiają coraz wolniej kroki i w żaden sposób nie można ich skłonić do szybszego biegu.

Ale oto już Imi N'Tanut. Zatrzymujemy się przed biurem miejscowej komendy i tu następuje rozwiązanie karawany.

Aluminjowe pogięte garnki, czajnik oraz cała masa sprzętu, którego się nie opłaca wieźć ze sobą do kraju, zostaje sprawiedliwie podzielona między naszych ludzi. Resztę bagażu ładujemy na autobus, który właśnie za chwilę ma odejść. Postanowiliśmy bowiem, mimo zaprosin komendanta do pozostania w gościnie, jak najprędzej wrócić do Marrakeszu.

Usadowieni w aucie rzucamy ostatnie spojrzenia na

góry. Były one dla nas terenem licznych walk i świadkami naszych ciągłych zwycięstw. Poprzez najurwistrze ściany i granie Wielkiego Atlasu poprowadziliśmy wiele nowych dróg. Dziś znamy te góry tak dobrze jak nikt dotąd. Żal nam więc trochę rozstawać się z niemi.

Autobus dopiero nocą dociera do Marrakeszu. Tu załatwiamy ostatnie przed wyjazdem sprawy i w dwa dni potem następuje ostateczne rozwiązanie wyprawy. Rozdzielamy się w Casablance.

Sam jeden ruszam do Europy. Trudno mi jednak odrazu zerwać z płóciennym dachem namiotu. Mój maleńki „wigwam", w długiej powrotnej drodze, znaczonej wieloma etapami, będzie mi służył za dom zarówno na plaży w San Remo, jak też i w górskich dolinach Dolomitów.

PO POWROCIE.

Powróciwszy z wyprawy, jesteśmy z wyników jej zadowoleni. Śmiało można powiedzieć, że nikt nie spodziewał się, by wyprawa mogła odnieść tak wielkie sukcesy. Ogólna przed naszym wyjazdem opinja speców brzmiała w ten sposób, że wypełnienie tylko w 50 procentach tego, co osiągnięto, byłoby uważane za rezultat nadzwyczaj szczęśliwy. Tak sądzili ci wszyscy, którym nieobce były pustynne piaski afrykańskie i w palących promieniach słońca skąpany, groźny świat gór.

A tymczasem — faktem niewątpliwym jest, że w przyszłości kronikarz i historyk Atlasu, będzie zmuszony wyodrębnić w rozwoju poznawania tych gór świetną epokę Polaków, tak jak naprzykład w Alpach istniała epoka Anglików. W ogólnym bowiem obrachunku wyniki przez nas osiągnięte podczas czterdziestu czterech dni działalności wysokogórskiej przewyższają w sumie to wszystko, co przez całe lata zrobiły razem wyprawy francuskie, niemieckie, szwajcarska, włoska oraz członkowie Sekcji Marokańskiej Francuskiego Klubu Alpejskiego.

W ciągnącym się setki kilometrów paśmie Wysokiego Atlasu zwiedzono trzy najciekawsze gniazda górskie: masyw centralny, wschodni i zachodni. Dotarto do okolic nietylko niezbadanych dotąd, ale jeszcze wogóle nietkniętych stopą Europejczyka. I jako wynik ostateczny mamy przeszło pół setki zwiedzonych przez nas szczytów i kilkadziesiąt nowych zupełnie przejść.

W masywie centralnym najlepiej dotąd znanym, zwiedzono wszystkie prawie szczyty i wykonano pierwsze przejścia najurwistrzemi i dotąd niezdobytemi ścianami i graniami. Ogólna liczbą zdobytych po raz pierwszy urwisk wyraża się w masywie centralnym pokaźną cyfrą dwudziestu dziewięciu, w czem kilku zasługuje na miano bardzo trudnych.

Posiadłszy dzięki tak licznym przejściom dokładną znajomość terenu, uzupełniono i poprawiono błędne w szczegółach szkice, wykonane przez alpinistów uprzednio w Atlasie działających.

Rozległy kraj górski masywu wschodniego mniej był ciekawy pod względem ściśle alpinistycznym. Niedawno jednak odkryty, ze swem niezbadanem jeszcze wnętrzem, przedstawiał za to szerokie pola działania pod względem pionierskiej pracy kartograficznej.

I w tej grupie dokonano w warunkach klimatycznych od uprzednich o wiele cięższych i przy niejednokrotnie dającym się odczuwać braku wody bardzo wielu wyjść szczytowych oraz przejść najważniejszych grani.

Szkice, wykonane w tej grupie, w rezultacie niemal zupełnie usuną jedną z białych plam z mapy Marokka. Poza tem ulegnie zasadniczym zmianom przedstawianie okolic już błędnie naniesionych na mapach wojskowych. W nowem ich wydaniu nietylko doliny zmienią swój kształt i nieprzerwane łańcuchy górskie rozpadną się, by dać miejsce głębokim wąwozom, ale nawet ukażą się nowe działy wód, tak że rzeki zaczną płynąć w odwrotnym kierunku. Praca wykonana tu przez ekspedycję spotkała się z całem uznaniem francuskich władz administracyjnych, które zresztą przez cały czas naszego w Marokku pobytu otaczały nas opieką i dostarczały jak najdalej idącej pomocy, czego najlepszym dowodem jest bezpłatne zorganizowanie nam karawany.

W masyw zachodni Wysokiego Atlasu ekspedycja ruszyła, wskutek konieczności powrotu większości uczest-

ników do kraju, w składzie zmniejszonym do czterech osób. Pomimo to, że najwyższe szczyty w tej grupie nie wiele przewyższają 3500 m, teren ten pod względem alpinistycznym okazał się bardzo ciekawy. O wiele mniej od masywu centralnego znany i zaledwie z grubsza zwiedzony, dostarczył niespodziewanie kilku ścian, będących problemem w wielkim stylu. Zwiedzono też cały szereg szczytów nowemi drogami. Osiągnięcie tego rodzaju wyników przy zupełnym braku wody w terenie i straszliwym upale (masyw zachodni jest najdalej wysuniętym na południe) umożliwiła kilkutygodniowa aklimatyzacja w kolejno coraz to cięższych i stawiających wyższe wymagania warunkach.

Tak przedstawia się w ogólnym zarysie dorobek alpinistyczny polskiej wyprawy w góry Wysokiego Atlasu. Odbił się on szerokim echem w miejscowej prasie francuskiej. W szeregu artykułów podkreślono tu dzielność i tężyznę Polaków.

Jak widzimy więc poza dorobkiem alpinistycznym wyprawa zdziałała wiele pod względem propagandy na rzecz Polski.

Alpinizm polski wszedł obecnie bezsprzecznie na drogę przodujących. Fakt ten dla Państwa naszego ma duże znaczenie. Ten luźny na pierwszy rzut oka związek, staje się bardziej zrozumiały, gdy wszystko sprobójemy sprowadzić do wspólnego mianownika mocarstwowego w świecie stanowiska Polski.

Ekspansja i wielkość narodu objawia się bowiem we wszelkich przejawach życia. Narody, przodujące w ogólnoświatowym pochodzie cywilizacji i kultury, są pierwsze nietylko w różnych dziedzinach nauki, sztuki i techniki, lecz także i w sporcie.

OBJAŚNIENIE WYRAZÓW.

akem — nazwa berberska, nadawana przez tubylców oficerom administracji francuskiej.

apéritif — nazwa francuska nadawana różnym napojom, jak woda mineralna lub lekko alkoholizowana lemonjada.

bałucha — szeroki, kopulasty szczyt.

bled — każda okolica oprócz miast.

burnus — długi płaszcz z kapturem, noszony jako zwierzchnie odzienie przez Arabów i Berberów.

celta Zdziarskiego — płachta zszyta w kształt koperty z bardzo lekkiego gumowanego batystu, używana przez alpinistów na biwakach, dla ochrony przed deszczem i zimnem.

dr. Chałubiński Tytus (1820—1889). Profesor Szkoły Głównej w Warszawie. Jeden z pierwszych taterników, znany popularyzator turystyki górskiej.

christjanja — skręt na nartach.

czar-czaf — zasłona, którą sobie zakrywają twarz kobiety muzułmańskie.

czausz — najwyższy stopień podoficerski w wojskach, składających się z tubylców.

dżellaba — to samo co burnus.

ekspozycja — przepaścistość.

Empire Cherifien — Szeryfowie, po arabsku, potomkowie Mahometa, do których zalicza się obecny sułtan Marokka.

fotogrametryczne zdjęcie — metoda pomiarowa, która zastępuje bezpośredni pomiar terenu, mierzeniem jego obrazów, otrzymanych przy pomocy dokładnych zdjęć fotograficznych.

grań — ostry grzbiet góry.

grzęda — wypukłość ograniczająca boczne krawędzie żlebów.

gzymsik — wąska półeczka, ciągnąca się w poprzek skały
haik — zawój na g.owę.
kaid — zwierzchnik tubylczy pewnego okręgu, sprawujący władzę administracyjną i sądowniczą.
kazba — zamek obronny.
komin — pionowa szczelina większych rozmiarów w ścianie skalnej.
makhzen — rezydent francuski w Rabacie lub nawet w ogólności władza francuska w Marokku.
marabut — pobożny muzułmanin, asceta wiodący życie pełne kontemplacji w pustelni.
młaka — podmoknięta łąka, w gwarze górali zakopiańskich
mohrazni — konna policja, złożona z tubylców na służbie francuskiej, utrzymująca porządek na obszarach, podległych administracji wojskowej.
mokkadem — przewodniczący pobożnych bractw świeckich.
nawis — śnieg nawiany przez wiatr i wywieszony na drugą stronę grani. Utrzymuje się w powietrzu jedynie dzięki spoistości ze śniegiem, leżącym na grani.
neolityczne stanowisko — miejsce, w którem znajdują się zabytki przedhistoryczne z młodszej epoki kamiennej t. zw. kamienia gładzonego.
nomada — koczownik.
paleolit — starsza epoka kamienna t. zw. kamienia łupanego
palludyzm — odmiana malarji tropikalnej, charakterystyczna dla północnej Afryki.
piarg — usypisko odłamków skalnych, zaścielające zbocza gór
płaśń, płasienka — równa pozioma powierzchnia w gwarze górali zakopiańskich.
przewieszka — ściana bardziej niż prostopadła, nachylona pod kątem większym niż 90°.
rynna — mało wybitny i krótszy żleb.
rysa — komin skalny, tak wąski, że nie może się w nim zmieścić turysta.
siklawa — wodospad w gwarze górali zakopiańskich.
skorpjony — tworzą rodzinę w klasie pająków. Zamieszkują przeważnie kraje gorące. Są to stworzenia jadowite, których ukłucie żądłem, znajdującem się na końcu ogona, jest niebezpieczne nawet dla człowieka.
spahis — kawalerzysta tubylec, służący w specjalnych formacjach miejscowych wojsk francuskich.

spaszty — pionowe, wygładzone skały w gwarze górali zakopiańskich.
suk — dzielnica targowa.
sylhem — to samo co burnus, dżellaba.
sziur — najniższa władza administracyjna tubylcza.
szutr — bardzo drobne odłamki skalne.
śtyrbny — przepaścisty w gwarze górali zakopiańskich.
tarantula — jadowity gatunek pająka
trawers — posuwanie się poziomo w poprzek stoku czy ściany
turnia — mniej wybitny skalisty szczyt.
wanta — duży głaz w gwarze górali zakopiańskich.
zachód — poziomy lub podnoszący się, płaski występ w ścianie, ciągnący się w poprzek góry.
zbyrki — luźne złomy skalne lub nawet głazy, stanowiące niepewne podłoże dla przechodzącego.
żebro — spadzista wypukłość w kierunku pionowym, wyodrębniająca się na zboczu góry.
żleb — głębokie wyżłobienie, przerzynające w kierunku pionowym zbocze góry.

Centrala Bibljotek Ruchomych
Wydziału Powiatowego
w Chełmie
Nr. inw. 2121

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
w Chełmie

SPIS ROZDZIAŁÓW

	str.
Wypraw w Atlas	3
Droga do Afryki	7
Marrakesz, miasto handlarzy i niewolników	15
Na najwyższym szczycie Atlasu	29
Na afrykańskich kolosach	42
W dolinie Imminen	55
W drodze do Demnat	67
Ighir N'Igherm	81
Białe plamy	96
Dżebel Amsod	109
Wyjazd do Casablanki	125
W upale słońca afrykańskiego	127
Masyw zachodni	141
Po powrocie	154
Objaśnienie wyrazów	157

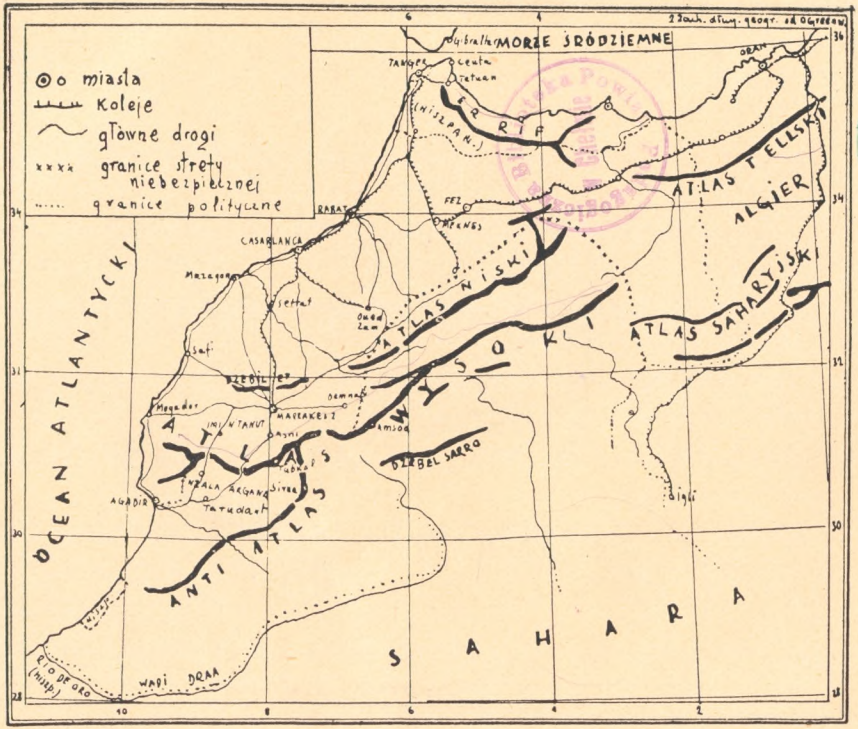

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA w Chełmie

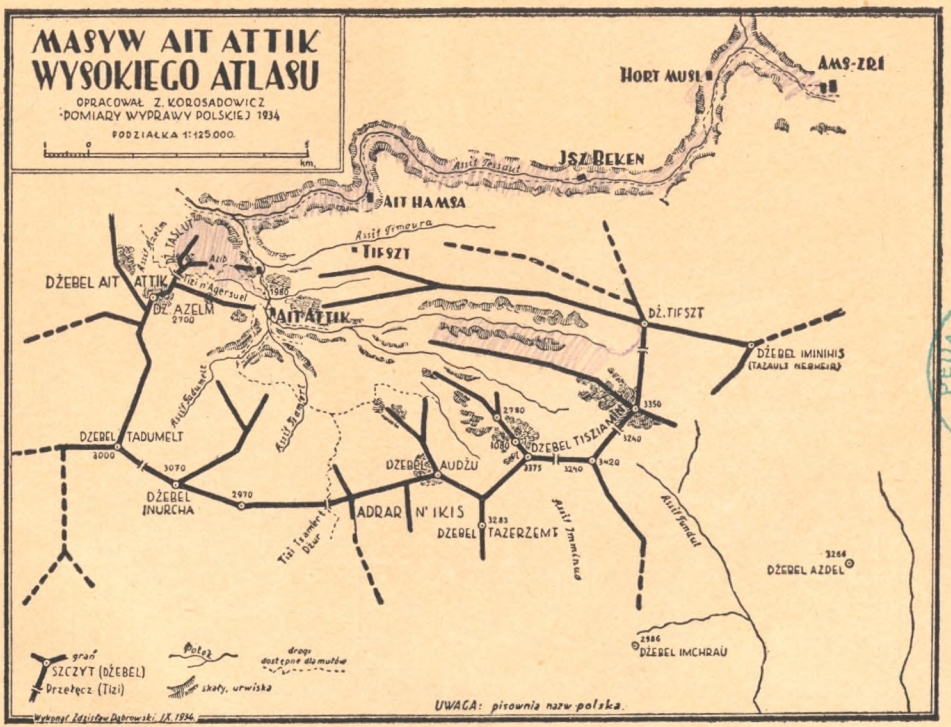

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA * Chełmie *

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
W CHEŁMIE

CZYTELNIA

CHW
WSR

91